

Zbigniew Noska

# Studnia nieszczęścia

Okruchy historii Piły i okolic



*Joannie Barańskiej*  
*w podziękowaniu za bezinteresowną pomoc i wsparcie*  
*w trudnym momencie mojego życia*  
*Autor*

# STUDNIA NIESZCZĘŚCIA

okruchy historii Piły i okolic

*tekst:*

**Zbigniew Noska**

*rysunki:*

**Krystyna Noska**



Piła 2022



powiat pilski

Patronat Honorowy  
Starosta Pilski Eligiusz Komarowski

Sfinansowano ze środków Powiatu Pilskiego

Zebranie i literackie opracowanie tekstów:  
Zbigniew Noska

Rysunki:  
Krystyna Noska

Projekt okładki i opracowanie graficzne:  
Alicja Noska-Figiel, Krystyna Noska, Aldona Winiarczyk-Bryszak

Skład komputerowy:  
Aldona Winiarczyk-Bryszak

Korekta:  
Halina Frank

Wydawca:  
Studio Projektu Graficznego ART-WENA  
Alicja Noska-Figiel  
[www.art-wena.pl](http://www.art-wena.pl)  
mail: [grafika@art-wena.pl](mailto:grafika@art-wena.pl)  
tel. 501 186 165

Wydanie I

ISBN 978-83-938823-9-7



## Od autora

*Historia to świadek czasów,  
światło prawdy, żywa pamięć,  
mistrzyni życia, zwiastunka przeszłości.  
(Tytus Liwiusz)*

„Jaka ta historia jest nudna! Do czego mi się ona przyda? Kto jest w stanie zapamiętać te nikomu niepotrzebne bzdury?”. Wielokrotnie słyszałem te jęki i rzucane w próżnię pytania, najpierw z ust moich dzieci, a potem wnuków, gdy musiały zakuwać przed klasówką z wojen szwedzkich czy narodowych powstań. Dopiero już jako licealiści starszych klas, głównie dzięki komputerowym grom, odkrywali (choć nie wszyscy) historię jako fascynującą dziedzinę nauki. Podejrzewam, że podobne doświadczenia życiowe ma większość dorosłych, zainteresowanych edukacją swoich potomków.

Któż nie pamięta podręczników do historii ze swych szkolnych lat? A czy zaglądaliście do ich współczesnych odpowiedników? Trochę się zmieniło: szata graficzna, jakość papieru, wstawki z ciekawostek oraz dokumentów źródłowych itp. Jednak trzon wciąż stanowi drętwy tekst, gęsto naszpikowany faktami, datami i nazwiskami.

Czy w takim razie jest jakiś sposób, żeby uczący się historii w szkole polubili ją i by była dla nich ciekawym opowiadaniem, a nie jedynie konglomeratem nudnych i suchych informacji?

Oczywiście, że tak! Sądzę, że moja książka jest taką próbą. Dla mnie historia to intrygująca opowieść. Opowieść o ludziach, ich życiu, troskach, sukcesach, o miłości, walce i szaleństwie. O decyzjach i ich powodach. O tym, czym ludzie walczyli z sobą, jak się ubierali, co jedli, jak tańczyli, gdzie się myli i czy w ogóle dbali o higienę.

Sam odkryłem fenomen historii bardzo wcześnie - w opowiadaniach matki, która była jej pasjonatką, a gdy nauczyłem się czytać, zacząłem przyswajać ją poprzez książki. Takie, w których na pierwszym miejscu stał człowiek i jego życiowe perypetie.

Było to oszałamiające odkrycie, wpadłem w tę pasję po uszy. I tak jest do dziś. Dlatego przystępując do pisania zbeletryzowanych okrucich historii naszego regionu, chciałem, żeby czytelnicy wchłaniali wiedzę bez nauki, wyłącznie przez czystą przyjemność czytania.

Pisząc „Studnię nieszczęścia. Okrucich historii Piły i okolic”, opierałem się na naukowych publikacjach i pracach, na beletrystyce, artykułach oraz audycjach, w których wypowiadają się naukowcy - historycy i regionaliści. Szukałem informacji w Internecie, studiowałem ryciny, mapy, stare plany Piły, przewodniki, zdjęcia, wydawnictwa poświęcone dziejom wojskowości, mody, kuchni itp. Wszystko po to, by historyczna wiedza w tej książce była rzetelna.

Mimo to moja książka nie jest podręcznikiem historii Piły i okolic. Nie ma z nim nic wspólnego, ponieważ zawiera opowiadania, ukazujące mniej lub bardziej znane epizody z przeszłości. Stąd nie bez kozery nazywam je okrucichami historii. Moim celem było bowiem poszukać ich jak najwięcej, wybrać te najciekawsze i sprawić, by stały się smaczkowym kąskiem dla czytającego.

Czy się to udało? Oceńcie sami.

•

Wydając „Studnię nieszczęścia. Okrucich historii Piły i okolic”, wykorzystałem swój dziennikarski dorobek - materiały, które udało mi się zebrać i opublikować na łamach „Tygodnika Nowego” w cyklu pt. „Opowieści z przeszłości”. Podjąłem ten temat po raz pierwszy w czerwcu 2019 roku i do dziś go kontynuuję, czerpiąc z prac naukowych oraz z zasłyszanych i zapisanych w Internecie opowieści ludzi.

Własnej wyobraźni używałem raczej ostrożnie, jedynie w celu uatrakcyjnienia i ubarwienia opowiadań. Chodziło mi o to, aby okrucich historii Piły i okolic - wydobyte z przepastnej studni niepamięci - zainteresowały czytelnika.

Panu Staroście Pilskiemu Eligiuszowi Komarowskiemu serdecznie dziękuję za życzliwość wobec mojej książki i sfinansowanie jej druku.

**Zbigniew Noska**

## Upadek księstwa Dzierżykraja



zierzykraj to zapewne najstarszy, znany z imienia, protopla-  
sta rodu osiadłego w północnej Wielkopolsce, choć nikt do-  
tąd nie wie na pewno, na ile jego losy są historyczną prawdą  
i jak bardzo ubarwiła je legenda.

W drugiej połowie X wieku, kiedy pierwsi Piastowie zakładali pań-  
stwo wokół Gniezna i Poznania, na północ od Noteci istniało prawdo-  
podobnie wolne, niewielkie księstwo, należące do rodu Dzierżykrajów.  
Na zachodzie swoją granicę opierało na rzece Drawie, na południu  
o wygięty (koło Czarnkowa) łuk Noteci, dalej o rzekę Gwdę, a na pół-  
nocy jego ziemie sięgały jezior wokół Tuczna i Wałcza. Tereny te były  
słabo zaludnione, a dziewicze puszcze oddzielały je zarówno od po-  
gańskich Pomorzan, jak i od bitnych Polan, którzy od niedawna zaczęli  
wyznawać nową religię.

Akt fundacyjny klasztoru w Trzemesznie Lubuskim wymienia  
władcę tych terenów, Dzierżykraja, jako donatora klasztoru, który  
w 966 roku miał wraz z księciem Polan Mieszkiem przyjąć chrzest.  
Tak więc już wtedy chrześcijaństwo dotarło za linię Noteci, ale lud na-  
dal wyznawał starą wiarę swoich ojców, gdyż życie w lasach przebie-  
gało powoli i spokojnie.

Historia zapisała imię kolejnego Dzierżykraja (zapewne wnuka),  
który próbował utrzymać niezależność i tron książęcy. Lecz właśnie  
wtedy z południa zaczął zagrażać mu nie mniej ambitny książę Bo-  
lesław, zwany Chrobrym, syn Mieszka, późniejszy król Polski. Zrazu  
wydawało się, że książę Dzierżykraj ochroni swą krainę, lecz kiedy Bo-  
lesław założył grody w Ujściu i Wieleniu, ten drugi oddalony o pół dnia  
drogi konno od Dzierżężna, książę przeniósł swoją główną siedzibę na  
północ, do Człopy, nad rozległe jezioro i silnie ją ufortyfikował.



Nastał czas wojny. Od południa nadciągali wojowie księcia Polan  
Bolesława z wyraźnym zamiarem podbicia ziem za Notecią, które stały  
im na drodze ku Pomorzu. Książę Dzierżykraj, wysłuchawszy wpródy



rady plemiennej, nakazał, by starcy, kobiety i dzieci zebrali się w głównym grodzie - w Człopie i głośno wznosili modły do starych bogów. A ponieważ był człowiekiem przezornym, postawił także krzyż na środku starego grodu, Dzierżązna, gdzie jego dziad w młodości poznał nową religię i przyjął ją w 966 roku wraz z księciem Polan Mieszkiem. W ten sposób wnuk próbował zapewnić sobie pomoc zarówno bogów słowiańskich, jak i Boga chrześcijan.

Rozesłał też ksiązę wici po wsiach i grodach, aby wszyscy mężowie zdolni do walki, uzbrojeni w oszczepy, łuki i miecze, pieszo lub konno stawili się w Człopie. Nakazał wreszcie pościnać drzewa na traktach, by utrudnić wojom Chrobrego przebycie rozległej puszczy, rozciągającej się na północ od Noteci.

Na nic się jednak zdały owe zabiegi. Wojska Polan przekroczyły Notec i ruszyły na północ, docierając do Dzierżązna, gdzie znajdował się rodowy gród Dzierżykraj, broniony przez jego syna Wielisława. Po krótkiej, ale zacieklej walce wojowie Bolesława zdobyli i spalili kasztel. Z pożogi ocalał tylko krzyż, postawiony na pamiątkę chrztu dziada Dzierżykraj. Uratował się także Wielisław, który dowodził obroną grodu.

Po triumfie nad wrogiem Polanie natychmiast ruszyli ku Człopie, by dopełnić zwycięstwa, ale zapadł zmrok i ksiązę Bolesław nakazał zatrzymać się na popas. Upojeni sukcesem wojowie - jak to było wówczas w zwyczaju - rozpoczęli wielkie ucztowanie. Pieczono dziki, sarny i jelenie, dzielono łupy, zdobyte w Dzierżąźnie. Miód i piwo lały się strumieniami.

Wielisław, zaproszony na ucztę, udając pijanego, uciekł z niewoli i jeszcze tej nocy zdołał dotrzeć do Człopy, by powiadomić ojca o klęsce i spaleniu przez wroga rodowej siedziby.

Ksiązę Dzierżykraj zapalał żądzą odwetu. Zebrał najbardziej bitnych wojów i wraz z nimi pod osłoną ciemności zakradł się blisko obozu Polan, którzy pijani spali po uczcie. Posnęły nawet straże, co to miały czuć nad ich bezpieczeństwem. Dzierżykraj rozkazał swoim przepasać się nałęczą, czyli białą chustą, związaną z przodu, by w ciemnościach wzajemnie się rozpoznawali. Tak uderzyli na najeźdźców.

Początkowo zaskoczeni Polanie nie stawiali oporu, ale gdy Wielisław wraz z gromadą wojów dotarł do namiotu Bolesława, drogę zastąpiła mu przyboczna drużyna Chrobrego - weterani zaprawieni w licznych wojnach. Niemal z minuty na minutę szala bitwy przechyliła się na stronę Polan.

Gdy Dzierżykraj się zorientował, że nie pokona wojsk Bolesława, rozkazał synowi ustąpić do Człopy, a sam z resztą wojów zaczął się wycofywać na zachód, wołając ku swoim:

- Nałęcz! Jezioro!

Jego wojowie w mig zrozumieli, o co chodzi wodzowi. Wycofali się w kierunku jeziora. Osłoniwszy w ten sposób tyły, bronili się desperacko.

Walka była tak zacięta, że krew poległych zabarwiła taflę jeziora. Koło południa bój wygasł. Wojowie Dzierżykrają polegli. On sam ranny, bronił się jeszcze ostatkiem sił, gdy przystąpił do niego Bolesław i nakazawszy swoim zaprzestania walki, rzekł:

- Jeśli przyjmiesz chrzest, jak twój dziad, w dowód męstwa zostaniesz z mojej woli panem na grodzie w Czarnkowie. Twój syn zaś otrzyma we władanie Wieleń.

Chwyciwszy pokonanego księcia za białe płótno, podniósł go z kolan i mówił dalej:

- Zaś twoim znakiem rodowym będzie biała nałęcz na czerwonym tle, a zawołaniem „Nałęcz Jezioro”.

Książę Bolesław dotrzymał słowa. Co więcej, około 1020 roku mianował Dzierżykrają z Człopy pierwszym, znanym do dziś z imienia, wojewodą poznańskim.



Źródła historyczne dość skąpo wspominają o Dzierżykrajcu. Imię jego wymienia m.in. Kasper Niesiecki, żyjący w latach 1682-1744 jezuita, zajmujący się genealogią. W swoim „Herbarzu polskim” wspomina go jako Dzierżykrają z Człopy herbu Nałęcz. Ówże Dzierżykraj miał przyjąć chrzest ok. roku 1000 za sprawą władcy Polski Bolesława Chrobrego, zrzec się tytułu i pozycji niezawisłego księcia i zostać mianowany wojewodą poznańskim. Informację o Dzierżykrajcu przekazuje

także tablica-epitafium umieszczona w kościele w Czarnkowie. Inne przekazy źródłowe, a dokładnie wspomniany już tu przywilej fundacyjny klasztoru z ok. 966 roku, wymieniają Dzierżykraj wśród fundatorów klasztoru w Trzemesznie Lubuskim.

Ślady istnienia księcia Dzierżykraj pozostały także w nazwach miejscowości. Na drodze między Wielaniem a Człopą znajdują się dwie wsie: Dzierżążno Wielkie i Dzierżążno Małe. Natomiast ród Nałęczów odcisnął trwałe piętno na dziejach północnej Wielkopolski, a jego przedstawiciele wymieniani są w wielu dokumentach z okresu średniowiecza, dotyczących Czarnkowa, Wielenia i Człopy.

Po wiekach ród Nałęczów rozrósł się w liczne gałęzie i przybrał wiele nazwisk, wśród których szczególne miejsce zajęli Czarnkowscy. Łączy ich to, że pieczętują się herbem Nałęcz i zawołaniami „Nałęcz” lub „Nałęcz Jezioro”.



## Plwacz księciem na Ujściu



adchodził zmierzch. W krajeńskiej puszczy było już niemal ciemno. Pomiędzy grubymi pniami dębów, sosen, buków i cisów wił się wyboisty trakt, którym posuwał się oddział wojów. Z oddali wyły stada nienasyconych wilków, co ciągnęły za wojskiem w nadziei, że dopadną jakiegoś konnego wojownika, pozostającego w tyle.

- Zapalcie kagańce - rozkazał pachołkom miecznik Bronisz, jadący na karym rumaku przy czterokonnym wozie. - Noc idzie!

- A ludzkiej sadyby ani śladu - ozwał się, wpół siedząc, wpół leżąc na wyscielających wóz niedźwiedzich skórach, książę Władysław Odonic, zwany Plwaczem.

- Jeno wilcze ślepiea świecą między drzewami - westchnął, kuląc się u książęcych kolan, igrzec Domagoj i oburącz przycisnął gęśle do chudej piersi.

- A niechaj mnie lichy porwie, jeśli wiem, co gorsze: ogary Laskonogiego czy te krajeńskie basiory. A tu nas, nieboraków, wilczyśka na kiel wziąć mogą, nim ujrzym ujskie grodzisko.

- Nie kracz, grajku, nie kracz - skrzywił się Plwacz, znużony długą podróżą z Gdańska ku północnej Wielkopolsce.

- Czas na postój - nakazał miecznikowi. - A ty, Domagoj, zagraj coś, zamiast strachać się wyciem wilków.

Wozy zatoczyły koło, a kusznicy i oszczepnicy skrzesali ogień. Stary igrzec posłusznie uderzył w struny i zaśpiewał cicho piosenkę o sierocie, wypędzonym z ojcowskiego dworu przez złego stryjca, laskonogiego kościeja. Twarz księcia wykrzywił grymas nagłego gniewu.

- Dość! - warknął groźnie. - Zamilcz, bo język wyrwać ci każę!

Po siedemnastu latach walki czuł śmiertelną nienawiść do najprzebieglejszego z Mieszkowiców, kulawego rozpustnika. Nie mógł spokojnie słuchać imienia ni przyzwiska przekłętogo stryja. Zdawał sobie w skrytości ducha sprawę, że nie dorównuje mu ani rozumem, ani walecznością. Daremnie próbował stawić mu czoła.

Wyrzucony z Kalisza, przepędzony z Wielkopolski, tułał się po świecie, szukając sprzymierzeńców. W Gnieźnie skarżył się zaprzysięgiemu



wrogowi Laskonogiego, dumnemu metropolicie Kietliczowi. We Wrocławiu prosił o wstawiennictwo Henryka Brodacza. Na Węgrzech zabiegał o względy króla Andrzeja.

Wracając znad Dunaju, wstąpił wraz z Henrykiem Pobożnym na Wawel, ofiarując swe usługi Leszkowi Białemu. Ten skłonił go, by wybrał się na Pomorze do Świętopełka i namówił do wspólnej wyprawy na pogańskie Prusy. Nie dotrzymał słowa. Skumał się z Świętopełkiem, który chciał wyzwolić się z krakowskiego lenna.

Otrzymawszy od księcia z Pomorza Gdańskiego pomoc, ruszył Władysław Odonic ku Ujściu, by tym razem zaatakować od północy księstwo znenawidzonego stryja.

- Daleko do Ujścia? - spytał miecznika, który dobrze znał te okolice.
- Pół dnia drogi, panie. Jutro w południe gród będzie nasz, chyba że Laskonogi obsadził go wojami.
- Wtedy dobywać go będziem - dodał sennym głosem książę i rychło potem, otuliwszy się niedźwiedzimi skórami, zasnął.



Następnego dnia, 9 września 1223 roku, Władysław Odonic przy pomocy wojów Świętopełka opanował Ujście. Odtąd tytułował się w dokumentach jako „książę na Ujściu” („dux de Usce”). W miesiąc później podbił Nakło. Nie wiadomo, czy Władysław Laskonogi interweniował zbrojnie, jednak bardzo szybko, bo już 30 listopada w Kcyni doszło do zawarcia pokoju pomiędzy książętami, podczas którego nastąpiło wyznaczenie granic władztwa Odonica, czyli księstwa ujskiego. Obejmowało ono prócz Ujścia kasztelanję nakielską, na wschód okolice Gąsawy, na południu rozciągało się do Rogoźna, a na północnym zachodzie do Wąłcza. Widać więc, iż w Kcyni otrzymał Odonic całkiem spory dział ziemi. Były to jednak tereny niezbyt ludne, pokryte lasami i pustkowiami.

Umowa w Kcyni okazała się rozwiązaniem jedynie tymczasowym, a jej warunki nie zadowalały Odonica. Kolejny etap konfliktu rozpoczął się w 1225 roku. Wówczas Plwacz zmienił, czy też może ujawnił swoje prawdziwe cele. Porzucił tytuł dux Usce i przyjął tytułaturę dux Polonie, która była manifestacją roszczeń do całości ziem stryja.

Konflikt zbrojny osiągnął apogeum w 1227 roku, gdy Władysław Laskonogi postanowił ostatecznie rozprawić się z bratankiem. W tym też celu wysłał silne oddziały pod dowództwem wojewody Dobrogosta, który obległ Ujście. Niespodziewanie nie tylko wtedy nie udało się zdobyć silnie umocnionego grodu, ale młodszy z Władysławów, korzystając z zaskoczenia, uderzył na oddziały Dobrogosta i w dniu 15 lipca je rozbił, zabijając wojewodę. To zwycięstwo umożliwiło Odonicowi opanowanie większości Wielkopolski.

Niebezpieczeństwo definitywnej utraty dzielnicy skłoniło Władysława Laskonogiego do podjęcia rozmów w sprawie pokojowego rozwiązania sporu. W tym celu został zwołany w listopadzie 1227 roku uroczysty zjazd książąt, duchownych i możnych do położonej na Kujawach Gąsawy.

W owym niewielkim grodzie zebrali się niemal wszyscy książęta i komplet biskupów dzielnicowej Polski. Jednym z tematów zjazdu było postawienie w stan oskarżenia Władysława Odonica i Świętopełka II Pomorskiego. Obaj się na zjeździe nie pojawili, albowiem obawiali się decyzji o oddaniu całej Wielkopolski Władysławowi Laskonogiemu oraz przegnaniu pomorskiego księcia, który uzurpował sobie piastowskie ziemie nad Bałtykiem. Obrady trwały kilkanaście dni. I oto nadszedł 24 listopada.



Wczesnym rankiem, gdy było jeszcze ciemno, do Gąsawy wpadli Pomorcy Świętopełka. Błyskawicznie rozprawili się z wartownikami i, prowadzeni przez szpiegów Odonica, ruszyli do komnat książęcych. Henryka Brodatego zastali jeszcze w łożu. Ciężko poraniony książę przeżył tylko dzięki bohaterskiemu poświęceniu rycerza Peregryna z Wesenburga. Ów Niemiec z pochodzenia własnym ciałem zasłonił swego pana.

Konrada Mazowieckiego mordercy albo nie znaleźli, albo ich nie interesował. Natomiast Leszka Białego dopadli w łaźni. 41-letni książę, sprawniejszy od Henryka, był bezbronny i nagi. Zdołał jednak się wyrwać, dopadł konia i popędził przez pola, bo napastnicy odcięli

mu drogę do zamku. Mroźny poranek sprzyjał zbrodniarzom. W ruch poszły łuki i piki, aż w końcu księżę krakowski runął na ziemię.

Zabójcy zbiegli, a zjazd skończył się niczym, bowiem ocaleli jego uczestnicy czym prędzej się rozjechali. Pozostało... funkcjonujące do dziś w polszczyźnie określenie „krwawa łaźnia”.

Winni mordu zaś nie tylko nie zostali ukarani, ale w dodatku osiągnęli pełny sukces. Świętopełk w zamieszaniu, jakie zdołał wywołać zbrodnią, całkowicie uniezależnił swoje księstwo od Piastów, zadbał o jego rozwój i nawet uzyskał przydomek Wielkiego. Władysław Odonic prowadził zaś nadal zacieklą walkę ze stryjem. I w końcu zwyciężył. Zmusił Laskonogiego do opuszczenia Wielkopolski.

Swoisty epilog zbrodni w Gąsawie miał miejsce cztery lata później - 3 listopada 1231 r. w Środzie Śląskiej. Władysław Laskonogi dożywał tam swoich dni na łaskawym chlebie Henryka Brodatego. Stary księżę, który przez całe życie znany był jako rozpustnik, rzucił się na jakąś dziewczynę, ponoć Niemkę, dybiąc na jej cnotę. Ta nożem rozpruła księciu brzuch, pozbawiając go życia.

Władysław Odonic, zwany też Płwaczem, zmarł osiem lat później. Po jego śmierci w 1239 roku skończyła się rola Ujścia jako stolicy samodzielnego księstwa.

## Klęska czarnych krzyży



apadał mrok. Powoli ogarniał komnatę w ujskim zamku, gdzie siedzący przy stole rycerze, gwałtownie gestykulując, rozprawiali ze sobą. Byli to Jan Jargoniewski, Dobrogost Koleński z Kolna i Bartosz III Wezemborg.

- Panowie bracia! Radźmy, co nam czynić trzeba. Król jegomość ze Świdrygiełłą na Wołyniu się znosi, a nam granicy strzec trzeba, bo Krzyżaki najazdem i rabunkiem grożą - mówił najstarszy z nich, rycerz Bartosz III Wezemborg. - Chorągwie poznańska i kaliska za królem podążyły, a nas jeno trzech pozostawiono. Na łasce losu - utyskiwał.

- Skąd masz, panie bracie, takie złe wieści? - zapytał drugi z nich, Dobrogost Koleński.

- Zawołaj mi tu Ulryka - rzekł Bartosz do stojącego za jego plecami i usługującego mu pacholika. Ten porwał się i wybiegł z komnaty.

Rycerze na chwilę zamilkli, sięgnęli do mis z mięsiwem, którym się posilając, obficie popijali piwem. Po chwili wszedł wprowadzony przez Bartoszowego sługę mąż słusznego wzrostu, ubrany po niemiecku, więc można było w nim z łatwością rozpoznać krzyżackiego knechta.

- To moje ucho w Człuchowie, Ulryk, człek w niemieckiej mowie biegły, który pod tamtejszym komturem służy. Posłuchajcie go, panowie bracia.

Ze słów Ulryka wynikało, że Krzyżacy, wykorzystując sytuację, iż główne siły polskie są zaangażowane na Wołyniu, zamierzają najechać na ziemię dobrzyńską, Kujawy i Krajnę. Wyprawę ma poprowadzić marszałek inflancki Werner von Nesselrode, mający pod swymi rozkazami oprócz siedmuset konnych i kilkuset piechurów inflanckich również posiłki z Kurlandii, Świecia, Tucholi i Człuchowa. Przewodnikiem najazdu miał być komtur tucholski Jost von Hohenkirchen, dobrze znający teren. Rycerze zakonni jako miejsce koncentracji swych sił wyznaczyli Tucholę.

Gdy Ulryk skończył opowiadać o swoich obserwacjach, odezwał się trzeci w rycerzy, Jan Jargoniewski.







- Czas skończyć biesiadę, panowie rycerze. Trzeba nam natychmiast wici rozesłać, kmieci zebrać i opór stawić. A ty, panie z Kolna - tu zwrócił się do Dobrogosta Koleńskiego - dowództwo objąć musisz, boś z nas w sztuce wojennej najbardziej biegły.



Po zwycięstwie pod Grunwaldem w lipcu 1410 roku zarówno król Władysław Jagiełło, jak i książę Witold nie potrafili w pełni wykorzystać jego owoców. Mimo „wieczystego” pokoju, zawartego 1 lutego 1411 roku w Toruniu, nadal Zakon prowokował Polaków do wojny, tym bardziej że popierał go Zygmunt Luksemburski, najpotężniejszy wówczas monarcha zachodniej Europy. A jednak podczas kolejnego pokoju, zawartego w Melnie koło Grudziądza w 1422 roku, Krzyżacy zrezygnować musieli między innymi ze Żmudzi na Litwie.

Sytuacja Królestwa Polskiego skomplikowała się po śmierci wielkiego księcia Litwy Witolda w 1430 roku, ponieważ jego stryjeczny brat i następca, Świdrygiełło, wyniesiony na tron książęcy, za namową krzyżacką zapragnął zerwania unii z Polską i korony królewskiej dla siebie. Przeciwno niemu Władysław Jagiełło zmuszony był zorganizować wyprawę na Wołyń w połowie 1431 roku. W tej sytuacji wielki mistrz krzyżacki Paweł von Russdorf złamał pokój melneński i w sierpniu tegoż roku podjął decyzję o uderzeniu na Polskę. Nad Kujawami, ziemią dobrzyńską i Krajną zawisło niebezpieczeństwo.



Tak jak doniósł polskim rycerzom na naradzie w Ujściu szpieg Bartosza, Ulryk, wyprawę na Krajnę poprowadził marszałek inflancki Werner von Nesselrode. Oddziały inflancko-pomorskie skoncentrowane w Tucholi i Człuchowie po dotarciu posiłków inflanckich miały do dyspozycji około 600 konnych i 500 chłopów kurlandzkich, wspieranych przez komtura tucholskiego z liczbą około 400 zbrojnych.

W dniu 10 września Krzyżacy, przekroczywszy rzekę Kamionkę, ruszyli w głąb Krajny. Najpierw zajęli i spalili Łobżenicę, po czym ograbiwszy miasto i okoliczne wsie oraz nabrawszy jeńców spośród

miejscowych kmieci, skierowali się na południowy-wschód, ku Nakłu. Tu, pod wsią Dąbki (dziś nieopodal Wyrzyska), nieoczekiwanie napotkali uzbrojone oddziały chłopów wielkopolskich.



Był czwartek 13 września 1431 roku. Dobrogost Koleński ukrył swe wojsko w zaroślach nad rzeczką Wierzą. Bał się ataku ciężkiej konnicy krzyżackiej na piechotę chłopską, która w takim starciu była bez szans. Liczył na zaskoczenie. Przed nim rozpościerały się pola należące do wsi Dąbki. To tu zamierzał zaskoczyć nieprzyjaciela i stoczyć z nim bitwę.

Od strony Łobżenicy widać było łunę płonących wiosek. Nagle wyłonił się z niej Krzyżacy. Była to przednia straż wojsk Wernera von Nesselrode.

Gdy znaleźli się na dąbkowskim polu, z zarośli ruszyli na nich chłopci. Początkowo biegli w milczeniu, ale gdy bitwa rozciągnęła się i rozpałała na całej linii, z chłopskich piersi wyszedł jeden olbrzymi głos do grzmotu niebieskiego podobny:

*Bogurodzica dziewica, Bogiem sławiena Maryja,  
U twego syna Gospodzina, Matko zwolena, Maryja!  
Zyszczy nam, spuści nam.*

*Kyrieleison.*

Zanim echo powtórzyło w odpowiedzi: „Kiryjelejzooon!” - wrzała już bitwa zacięta i zbliżała się ku środkowi pola.

- Naprzód! - zachęcał swych żołnierzy walczący w pierwszym szeregu rycerz Dobrogost.

- Naprzód! Ławą! Równo! - rozległy się wołania dowódców rot.

- Bywaj! Na psubraty! W nich!

Nacierali jak wezbrana rzeka na rozchybotane przęsła mostu. Kmiecie z Kujaw i Wielkopolski, pachołkowie miejscy. Zajaśniało i rozbłysło od grotów na oszczepach i od kos całe pole.

- Bij! - zakrzyknęli dowódcy.

- Zabij! - odpowiedzieli chłopci.

Wrzask i krzyki wzbłyły się aż ku niebiosom. Zaskoczeni Krzyżacy, którzy lekkomyślnie szli w szyku rozproszonym, jęli się skupiać wokół

wozów z łupami, podążającymi za nimi. Zamknęło się żelazne koło wojsk chłopskich wokół taboru. Bitwa zmieniła się w rzeź i w klęskę najeźdźców. Śmigły ramiona, grzmiały cepy, zgrzytały kosy, bodły oszczepy, chlastały topory. Wycinano Krzyżaków jak bór, nie brano jeńca.



Wedle kronikarza Jana Długosza, który żył w tym czasie, gdy przednia straż sił inflancko-krzyżackich została rozbita, napastnicy rzucili się do ucieczki, pozostawiwszy swój obóz i wozy ze zdobyczą. Chłopi rozpoczęli pościg, zabijając każdego, kto wpadł im w ręce. Przeciwnik został całkowicie pobity i zaledwie garstka najeźdźców uszła z życiem. 16 września dotarło do Debrzna około 150 rannych uciekinierów.

W ręce polskie wpadły 4 chorągwie inflanckie z chorągwią mistrza inflanckiego na czele. Poległ jeden z głównych dowódców – komtur tucholski Hohenkirchen, którego nagie zwłoki, odarte ze zbroi i szat, leżały na polu walki. Padł także komtur mitawski. Natomiast głównodowodzący marszałek inflancki Nesselrode wraz z komturem goldyńskim, wójtem grobińskim oraz komturem domowym człuchowskim dostali się do niewoli i wraz z innymi znaczniejszymi jeńcami (łącznie ok. 50) byli przewiezieni do Poznania.

Dowódca sił polskich Dobrogost Koleński zabrał do niewoli grupę rycerzy z Tucholi, Człuchowa, Chojnic i osadził ich w więzieniu w swojej wsi Prusy, żądając okupu za ich uwolnienie.

Sukces dąbkowski uczczono w Krakowie biciem w dzwony i iluminacją. W katedrze na Wawelu zawieszono obok chorągwi krzyżackich spod Grunwaldu 4 zdobyte pod Dąbkami chorągwie inflanckie. Do Krakowa przewieziono też z Poznania jeńców inflanckich i pruskich.

## Żałosny koniec prywatnej wojny ambitnego kasztelana



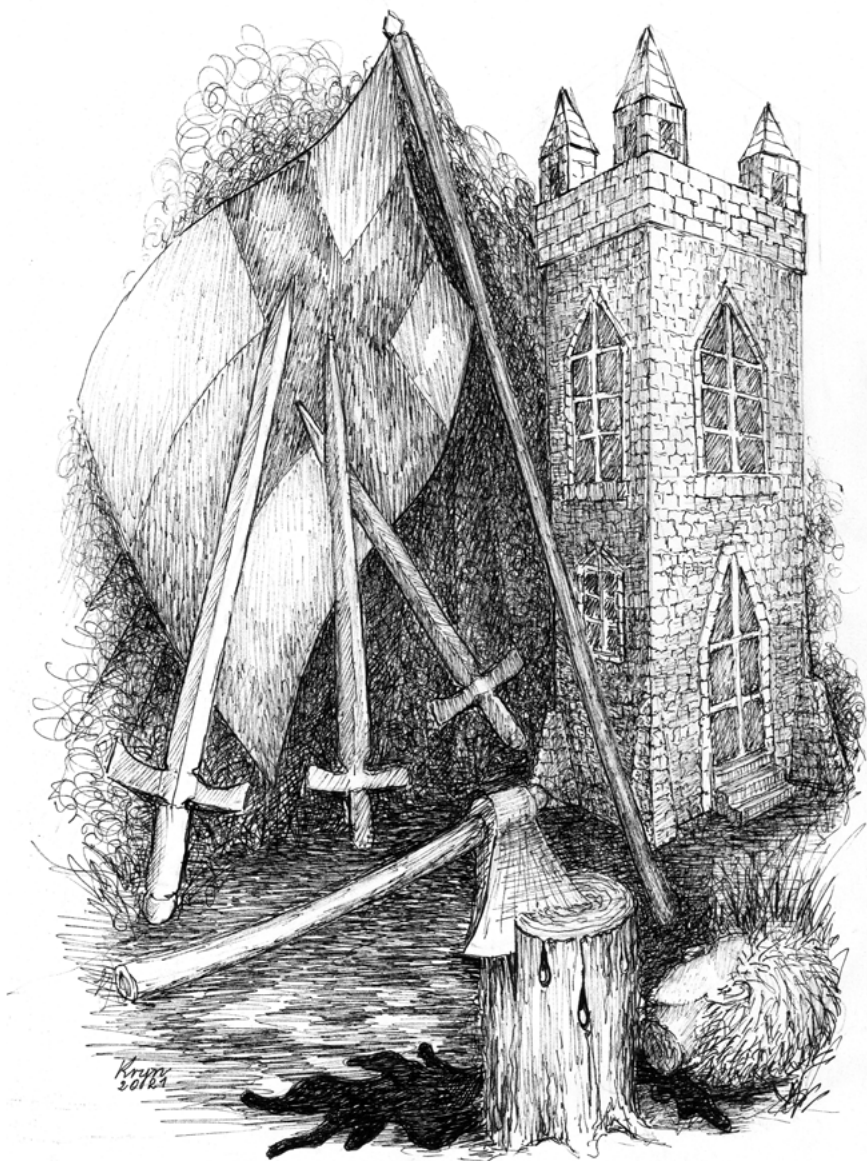
choć na krajeńskiej wsi nigdy nie brakowało pracy, był to okres odpoczynku. Już miesiąc minął od żniw, zboże zostało zebrane do spichlerzy. Co prawda, zbliżał się czas zbiorów bulw, ale w tym regionie nieliczni je uprawiali. Dlatego wielu mogło sobie pozwolić na chwilę wytchnienia. Pogoda była na tyle słoneczna, że mało kto miał ochotę i siły, aby przykładać się do pracy w południe. Z niewielkiej gospody słychać było szcęk kufla i kilka rozochoconych głosów bywalców, którzy gasili pragnienie piwem. Przed jednym z domów jakiś staruszek siedział na krześle i wygrzewał kości, z lubością wystawiając twarz do słońca. Ucichło dzwonięcie metalu dobiegające z kuźni - kowal zrobił sobie przerwę, aby otrzeć pot z czoła. Może gdzieś tam w dalekim Krakowie król Kazimierz toczył spory z Zakonem, ale ich to nie dotyczyło. Na razie.

- Krzyżaki nadchodzą! – rozległ się głos. Do sioła wbiegł mężczyzna. Na jego twarzy było wypisane przerażenie. Nim dobiegł do studni znajdującej się w centrum wsi, gdzie zwykli się gromadzić chłopci, do wsi wpadli jezdni z czarnymi krzyżami na płaszczach.



W 1454 roku znowu zapłonęła nie raz już przecież krwawiąca granica między Królestwem Polskim a Krzyżakami. Zakon, choć osłabiony klęską grunwaldzką, nie wyzbył się marzeń o ekspansji na polskie ziemie, a król Kazimierz Jagiellończyk nigdy nie poniechał myśli o przywróceniu Polsce terytoriów zagrabionych niegdyś przez Krzyżaków, a zwłaszcza Gdańska. Miał w tym względzie poparcie szlachty, której brak dostępu do morza utrudniał handel zbożem i hamował rozwój powstających właśnie folwarków pańszczyźnianych. Wojna wisiała więc w powietrzu.

W taki czas najbardziej cierpiały obszary pograniczne takie jak Krajna; ówczesne granice przekroczyć było łatwo, z czego chętnie korzystali najprzeróżniejsi awanturnicy i rabusie, choć nie tylko oni. Chaos ułatwiał także prowadzenie prywatnych wojenek możliwym, którzy bogacąc się w ten sposób, toczyli je pod przykrywką ogólnonarodowego interesu.



Najpotężniejszym panem na Krajnie był wonczas Władko Danaborski, kasztelan nakielski, którego ród wywodził swe korzenie z pobliskich Pałuk, a jego dziedzina obejmowała Złotów, Krajenkę, Łobżenicę i liczne okoliczne wsie. Był to rycerz waleczny, obdarzony gorącym temperamentem i wybujałymi ambicjami, które coraz trudniej mu było przykroić do granic nakielskiej kasztelanii. Kiedy zamyślił ożenek, to wprawd długo szukał stosownej kandydatki, bo nie każda mogła spełnić wygórowane wymagania pana kasztelana. Odpowiednią partię znalazł dopiero pośród księżniczek z raciborskiej odrośli dynastii Piastów. Małżeństwo z Piastówną podłechtowało nie tylko jego próżność, ale wzmogło apetyt na posiadanie własnego księstwa.

Tymczasem sen z oczu kasztelana spędzały łupieżcze napady krzyżackich panów na jego dobra. Zwłaszcza dał mu się we znaki niejaki Kacper Nostitz, jeden z dowódców krzyżackich wojsk zaciężnych, który m.in. doszczętnie złupił Władkową Łobżenicę, czego nie mógł mu przepuścić kasztelan. W rewanżu najechał więc pograniczne tereny człuchowskiej komturii i - jak można przypuszczać - odbił sobie z nawiązką to, co utracił w Łobżenicy. Odtąd chętnie zapuszczał się w głąb krzyżackiego terytorium, siejąc tam zniszczenie i łupiąc niemilosierne wioski oraz mniejsze, słabo bronione grody. Tak trwała ta prywatna wojenka, której ofiarami byli przede wszystkim mieszkający po obu stronach granicy chłopci, najczęściej mówiący tym samym słowiańskim językiem.

Trzeba przyznać, że król Kazimierz Jagiellończyk z aprobatą obserwował zbrojne wycieczki zagraniczne krewkiego kasztelana i bynajmniej nie zamierzał go od nich odwozić, a Władko bardzo sobie cenił królewskie poparcie moralne, choć oczekiwał czegoś więcej. Wykorzystał więc obecność króla na Kujawach, wyjednał u niego audiencję, podczas której poprosił o pieniądze potrzebne do opłacenia żołnierzy zaciężnych, jako że jego wojowie na skutek licznych pogranicznych utarczek szybko się wykruszali. Król przychylił się do tej prośby, upoważnił kasztelana do zaciągania obcego żołnierza i obciążania królewskiej kasy kosztami wojowania z Zakonem.

Władko zadowolony powrócił na Krajnę i zgromadziwszy wojsko, począł nękać ziemie zakonne. Ponieważ pieniądze z Krakowa nie nadchodziły, jako że kasa państwowa świeciła pustkami, musiał sobie

radzić sam. Tymczasem Krzyżacy, wiedząc już o jego apetytach na ich dobra i znając sposoby, jakich używał, dobrze się pilnowali. Nakielski kasztelan rozejrzał się więc za łupem, nie wymagającym aż międzynarodowych zatargów. W 1459 roku najechał i obrabował dobra swoich polskich sąsiadów, nie szczczędząc nawet włości arcybiskupich. Podobno było tych łupów tak dużo, że kasztelan musiał pobudować na złotowskim zamku osobną basztę dla ich przechowywania. Nazwał ją basztą św. Mikołaja, który był patronem m.in. złodziei.

Król Kazimierz znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Nie mógł przecież udawać, że nie wie nic o skargach na rozzuchwalonego kasztelana, napływających na dwór, ale nie mógł też zignorować racji Danaborskiego, któremu koronny skarb zalegał z wypłatą niebagatelnej kwoty 19 tys. dukatów. Mając na uwadze potrzeby wojny, którą od sześciu już lat ze zmiennym szczęściem prowadził z Zakonem, król Kazimierz postanowił przejściowo zignorować skargi arcybiskupie i innych poszkodowanych.

Jednak Danaborski opacznie zrozumiał wielkoduszność monarszą i w końcu przeciągnął strunę. Co innego bowiem, pod osłoną królewskiej pobłażliwości, zdobywać środki na walkę z Krzyżakami; co innego jednak z tymiż Krzyżakami się układać. Tego już żadną miarą nie można było usprawiedliwić polską racją stanu. Na dodatek ambitny kasztelan nabrał ochoty na własne udzielne księstwo pograniczne i dopóki Polska mocowała się z Zakonem w wojnie trzynastoletniej, mogło mu się to pragnienie wydawać bliskie spełnienia.

W 1466 roku podpisano w Toruniu pokój kończący wojnę. Kazimierz Jagiellończyk zrealizował jedno z najważniejszych swych politycznych zamierzeń — przywrócił Polsce bogate ziemie i miasta Prus Królewskich oraz Gdańsk wraz z Pomorzem. Polskie zboże popłynęło Wisłą do Gdańska, a stamtąd do całej Europy. Szlachta się bogaciła, a pozycja króla rosła.

Uporządkowawszy sprawy państwowe, mógł Kazimierz zająć się krajeńskim watażką, któremu się zdało, że już nie ma żadnej nad nim władzy. 3 maja 1467 roku Władko Danaborski został pojmany. Proces był krótki, bo i przewiny oczywiste. 14 maja 1467 roku Władko został ścięty na kaliskim rynku, a fakt ten uwieczniła płaskorzeźba, która przetrwała do dziś.



## Złoty wiek Łobzenicy



Szymon Turnowski płakał. Łzy spływały mu po policzkach jedna za drugą. Potrzebował tego, przecież był tylko chłopcem, którego potraktowano jak dorosłego. Kiedyś był szczęśliwy. Uśmiechy rodziców, rozmowy z kolegami, spotkania w zborze Jednoty. Słowem: wielka kochająca się rodzina. A teraz wszystko runęło niczym domek z kart. Nie miał wyjścia, musiał pozostawić rodzinny dom i ruszyć w świat.

Szymon uciekał wraz z rodzicami. Jego polskie nazwisko – Turnowski – wzięło się od miasteczka, które musiał zostawić. Był jednym z tysięcy innowierców, którzy opuszczali swe rodzinne strony, gdy Ferdynand I, król Czech, Niemiec i Węgier, postawił członkom kościoła Jednoty Braci Czeskich ultimatum. Mieli 42 dni na zmianę wiary albo...

„Wyszły tedy, obróciwszy drogę na Śląsk, dnia 15 czerwca 1548 roku, całe gminy tych wygnańców Brandeis, Turnowa, Bidsova, Litomyśla i innych miejsc, w liczbie około 1000 dusz wynoszącej. Starców, niedołęgów, chorych, niewiasty ciężarne i dzieci umieszczono na 120 wozach” – pisał badacz reformacji, Józef Łukaszewicz. Uchodźcy chcieli dotrzeć przez ziemie polskie do protestanckich Prus Książęcych. Jednak w Wielkopolsce nikt uciekinierów nie prześladował. Wręcz przeciwnie. Gdy przybyli do Poznania, zostali przyjęci łaskawie przez Andrzeja Górkę, starostę generalnego wielkopolskiego. Pozwolono im zamieszkać na przedmieściach miasta oraz w dobrach Górków. A co najważniejsze, mogli odprawiać nabożeństwa w swoim obrządku.

Biskup poznański Benedykt Izdbieński był zaniepokojony tym, że przybysze z Czech zadomowili się w jego diecezji. Miał bowiem świadomość, że ich obecność, tryb życia i pobożność wzmacniają ducha reformacji, który rozszerzał się wśród mieszczaństwa oraz szlachty wielkopolskiej. Wystarał się więc u króla Zygmunta Augusta o dekret, na mocy którego uchodźcy mieli opuścić Wielkopolskę.

Bracia czescy znowu ruszyli w drogę. Kierując się ku Prusom Wschodnim, trafili do Torunia. Tu historia się powtórzyła. Przyjęci przychylnie przez mieszkańców, wkrótce po interwencji miejscowych



duchownych katolickich musieli opuścić miasto. W ten sposób usunięto ich z miast królewskich, ale szlachta nie pozwalała panoszyć się duchownym w swoich dobrach. Uchodźcy znaleźli schronienie we włościach Andrzeja Krotoskiego, Jakuba Ostroroga, Rafała Leszczyńskiego i innych możnych z Wielkopolski, którzy sami przystąpili do innowierców różnych wyznań. Interwencja magnatów u króla Zygmunta Augusta sprawiła, że bracia czescy i ich duchowni mogli pozostać w Wielkopolsce i na Kujawach. I tak między innymi osiedli na stałe w Łobżenicy, w dobrach Krotoskich. Tu skończyła się odyseja Szymona Turnowskiego. Znalazł nowy dom.



Krotoscy herbu Leszczyc to wielkopolska rodzina szlachecka, której nazwisko wzięło się od miejscowości Krotoszyn, będącej ich własnością. Protoplastą rodu był, żyjący na przełomie XIV i XV wieku, Wirzbięta, posiadający liczne dobra na południu Wielkopolski. Od króla Władysława Jagiełły uzyskał przywilej lokacyjny i w ten sposób stał się właścicielem miasta Krotoszyn, które stało się zalążkiem fortuny jego rodu. Przez kolejne dekady Krotoscy pomnażali majątek, wykupując dobra ziemskie oraz wchodząc w przemysłane związki małżeńskie. Pełnili także szereg funkcji publicznych, przynoszących znaczne korzyści materialne.

Łobżenica (wykupiona od Łobżeńskich jeszcze pod koniec XV wieku) była w ich rękach ponad sto lat, kiedy to przeżywała niebываły rozkwit gospodarczy, kulturalny i polityczny. Liczyła wtedy ponad dwa i pół tysiąca mieszkańców, co stawiało ją w rzędzie miast średniej wielkości w Polsce i dużych na Krajnie.

Największe zasługi dla miasta położyły ostatnie pokolenia Krotoskich, których szereg rozpoczyna Andrzej, wojewoda brzesko-kujawski. To on pozwolił osiedlić się w mieście wygnanym z rodzinnego kraju braciom czeskim. Byli to głównie rzemieślnicy i kupcy, którym Andrzej Krotoski nadał przywileje bardzo korzystne dla rozwoju rzemiosła i handlu.

Syn Andrzeja, Jan Erazm, człowiek światły i wszechstronnie wykształcony, posiadający wpływy polityczne na dworze królewskim,

poszedł śladami ojca, a nawet dalej. Został członkiem Jednoty Braci Czeskich i otworzył szeroko bramy miasta dla innowierców innych wyznań. Pozwolił na osiedlanie się w Łobżenicy luteranom, przybywającym z Tyrolu, Salzburga, Marchii i Pomorza, a w 1566 roku nadał rzeźmieśnikom kolejne przywileje. Jan Erazm doskonale rozumiał potrzeby miasta. To za jego rządów Łobżenica stała się największym miastem Krajny. Płaciła też największy podatek, tzw. szos, czyli 38 florenów, podczas gdy pobliskie Sępólno zaledwie 5, a Nakło 10 florenów. Jan Erazm popełnił jednak jeden błąd. Przekazał farę łobżenicką braciom czeskim, a po śmierci kazał się w niej pochować, co po latach zemściło się na opinii jego rodu.

Kolejnym zasłużonym dla miasta Krotoskim był Jan, dziedzic ogromnej fortuny, a także wzorem swoich poprzedników wysokiej rangi urzędnik królewski. To jemu przypisuje się uruchomienie mennicy łobżenickiej.



Budowa mennicy łobżenickiej stanowi niewątpliwie jedno z najważniejszych wydarzeń w historii Krajny. Jej powstanie łączy się z reformą monetarną króla Stefana Batorego.

Po śmierci ostatniego z Jagiellonów przestała funkcjonować mennica wileńska - najważniejsza w Rzeczypospolitej. W kraju zabrakło środków płatniczych. W dodatku kupcy zagraniczni wywozili z Polski dobrą monetę wileńską, a przywozili obcą, mało wartościową. W lutym 1578 r. na sejmie warszawskim zapowiedziano wznowienie emisji własnego pieniądza. Wkrótce potem król Stefan Batory polecił staroście radziejowskiemu Rafałowi Leszczyńskiemu założyć mennicę w dogodnym dla siebie miejscu, dodając jednocześnie aktualną ordynację menniczą dla bicia szelągów, trojaków, półtalarów i talarów. Leszczyński, członek Jednoty Braci Czeskich, namówił do założenia mennicy swego krewniaka i współwyznawcę, Jana Krotoskiego, który był dobrze znany Batoremu, pełniąc przez pewien czas funkcję sekretarza królewskiego.

Nie sposób ustalić dokładniej dat pierwszych emisji łobżenickich.

Nastąpiło to zapewne przed 11 lutym 1583 roku, tj. w końcowych latach życia Jana Krotoskiego. Produkcja nie musiała być jednak wielka. Stąd aby monety łobżenickie zyskały uznanie na rynku lokalnym, musiało upłynąć nieco czasu. O „monecie tutecznej” mówi się w księgach sądowych dopiero od 1586 r.

„Przed urzędem Bormistrzowskim [...] stanąwszy Stanisław Kazimierz [...] wyznał, iż jest winien istnego własnego długu Ickowi Żydowi i żenie jego siedemdziesiąt i sześć złotych polskich każdy po groszy 30 licząc tuteczny monety” - to pierwszy zapis świadczący o istnieniu łobżenickiej mennicy.

Po śmierci Jana mennicą zarządzał jego młodszy brat Andrzej - ostatni z rodu Krotoskich. Za jego rządów bito monety w łobżenickiej mennicy na niespotykaną dotąd skalę. Gdy zmarł, olbrzymi majątek przejęła jedynaczka Urszula, w której wianie ślubnym Łobżenica przeszła w ręce rodu Sieniawskich.



Krotoscy, zagorzali kalwińscy, faworyzując innowierców, narazili się miejscowej ludności polskiej, w przeważającej części katolickiej. Szczególnie we znaki dała się im trzecia żona Jana, Urszula Ostrożanka, której solą w oku było miejsce kultu maryjnego w Górcie. Jak pisze kronikarz tamtych lat: „Niepomna na boskie ostrzeżenia, kazała wóz załadować słomą i sama osobiście dopilnowała wykonania rozkazu spalenia kościoła. Ogień strawił go doszczętnie wraz ze wszystkimi sprzętami. Czyn ten nie pozostał jednak bezkarnym. Jędza Ostrożanka poniosła karę Bożą, kiedy mocą wyroku sądowego ukarana, dla uniknięcia kary za swe zbrodnie, upadła z urwiska Błonie i wnet zakończyła życie podpalaczka świątyni Pańskiej”.

Zemsta katolików dotknęła także nieżyjącego już dawno Jana Erazma Krotoskiego. Trumnę z jego zwłokami, odzierając ją ze złotych ozdób i epitafrum, usunięto z kościoła w Łobżenicy przywróconego katolikom.

Nastały czasy kontrreformacji i wojen. Miasto powoli traciło na znaczeniu, by nigdy nie osiągnąć pozycji, jaką zajmowało pod władaniem rodu Krotoskich - w złotym wieku swoich dziejów.

## Pod patronatem królowej



Joachim, stary Żyd, mieszkający w Pile w sąsiedztwie kościoła, nie był tego ranka w najlepszym humorze. Doskwierały mu upały, które latem 1626 roku były szczególnie długotrwałe i mocno dokuczały człowiekowi o jego posturze. Ledwo wytoczył się z łóżka i odział w przyciasne ubranie, starając się ukryć podchodzące mu niemal pod brodę brzuszysko, a już żona zaczęła lamentację, jakimi niemal codziennie witała go o poranku. Tym razem chodziło o piec, przy którym warzyła strawę. Coś niedobrego z nim się działo, bo ogień tlił się ledwie i przygasał co chwila.

Zniecierpliwiony zrządzeniem żony, Joachim złapał pogrzebacz i z taką siłą zaczął nim w palenisku przewracać, że aż posypały się iskry. Jedna a może kilka z nich, wydobywszy się przez komin, padły na dach ze strzechy, który okrywał chatę Joachima. Nim się ktokolwiek zorientował, iskra zmieniła się w płomyk, co rychło rozgorzał jak żagiew. Ogień przerzucił się na sąsiednią posesję - warsztat stolarza, gdzie suchego drewna i trocin nie brakowało. Dopiero wtedy ludzie się zorientowali, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi miastu. Pożaru chałupy Joachima oraz warsztatu stolarza nie udało się ugasić. Stały w płomieniach, a silny wiatr wkrótce rozniósł ogień.

Zabudowa miasta - wąskie ulice, ciasno zastawione drewnianymi domami, pokrytymi strzechami, z rzadka gontem - była podatna na ten żywioł zwłaszcza w sytuacji, gdy przez dwa miesiące tego lata w Pile nie spadła ani kropla deszczu. Wysuszone dachy i popękane gonty stały się dogodną pożywką dla ognia. Ponadto wielu mieszkańców na strychach swoich domów trzymało najróżniejsze rupiecie, szmaty, papiery czy stare sprzęty. Ogień trawił je błyskawicznie.

Wprawdzie ludzie już biegli z miasta, by tłumnie udzielać pomocy, brakowało jednak najprostszych narzędzi, choćby wiader i bosaków. Siekierami, a często wręcz gołymi rękoma zrywano więc dachy domów, by ograniczyć skalę pożogi. Na próżno. Podjęty przez ludzi wysiłek zakończył się niepowodzeniem. Ogień szybko objął sąsiednie zabudowania, niesiony coraz dalej silnym wiatrem. Kolejno







w płomieniach stawały kościół, dom wójta i warsztaty sukiennicze. Wiatr pchnął płomień nawet ponad rzeką, gdzie strawił zabudowę dzielnicy, zwanej dziś Zamościem.

Dym i płomień osiadały nad miastem, zasłaniając przed wzrokiem całe niebo. Wicher szalał, niosąc palące się głównie, gonty, iskry, zasypując nimi dachy domów i rozrzucając to zarzewie aż na pola odległe od miasta. Trzask palących się strzech, huk upadających dachów, płacz, krzyk, lament ludzi, unoszących w popłochu, co kto mógł w nagłości z rzeczy swych pochwycić, wołanie ludzi ratujących: „Wody!... Wody!”. Było to tak okropne widowisko, że przerażone niewiasty miast pożar gasić, wynosiły z chałup obrazy świętego Floriana i padały na kolana, modląc się żarliwie.

Wieczorem pożar przestał się rozszerzać. Na obszarze pogorzelniska raz po raz pojawiały się nowe ogniska płomieni, które starano się szybko zlikwidować. Płonęły nadal pojedyncze budynki. Kolejne godziny mijały w miarę spokojnie na sukcesywnym dogaszaniu tłących się jeszcze zgliszczy.

Był to najtragiczniejszy w dziejach Piły pożar, bo zamienił miasto w ruinę. Pilanie wpadli w wielką rozpacz, gdyż stracili cały dobytek. Nadzieje swoje pokładali w królowej Konstancji Habsburżance, która od 1605 roku stała się właścicielką starostwa ujsko - pilskiego wraz z miastem. Była to tak zwana oprawa poślubna, podarowana drugiej żonie przez króla Zygmunta III Wazę.



Królowa Konstancja miała w zwyczaju siadać każdego ranka przy swym sekretarzyku i uważnie przeglądać pocztę, którą jej o tej porze przynoszono. Była bowiem osobą zapobiegliwą, skrupulatną i oszczędną. Dbiała o interesy rodziny. Jej talenty gospodarskie okazały się na tyle duże, że przejęła zarząd dworem. Umiała rozporządzać pieniędzmi. Przygotowywana od dziecka do roli królowej, została bardzo dobrze wykształcona. Oprócz ojczyztego języka niemieckiego znała łacinę, hiszpański, włoski i polski. Nauczyła się go zaraz po swojej koronacji, ale rzadko się nim posługiwała.

Dbała o podarowane jej starostwo ujsko - pilskie, kupiła też dobra żywieckie, aby po śmierci stały się zabezpieczeniem jej synów. Sfinansowała również budowę kilku pałaców w Warszawie dla swoich dzieci. Była także opiekunką księży, malarzy i poetów. Mimo to nie potrafiła sobie zjednać sympatii Polaków, którzy nie lubili Habsburgów, bo bali się potęgi tego rodu. W dodatku nie wyróżniała się urodą. Wysoka, chuda, miała trochę wyłupiaste oczy zapewne wskutek choroby tarczycy. Nie była też przystępna, a dumne spojrzenie sprawiało wrażenie wyniosłości. Do polityki oficjalnie się nie wtrącała, ale król liczył się z nią i często zasięgał jej rad.

O Piłę dbała. Jako gorliwa katoliczka i zwolenniczka kontrreformacji rozpoczęła walkę o odrodzenie religii rzymskiej w mieście nad Gwdą. W 1619 roku wystawiono tu z jej inicjatywy kościół farny z murowanym prezbiterium i drewnianą nawą. Aby zwiększyć dochody miejscowego proboszcza, włączyła do parafii wieś Łubiankę. Z rąk królowej Piła otrzymała też herb, który jest jej godłem do dziś.

Dlatego list, który właśnie przeczytała, zmartwił ją. Jego autor, starosta ujski, donosił o dramacie, jaki spotkał jej miasto - Piłę. Natychmiast kazała wezwać swego sekretarza Samuela Tarjowskiego, a gdy ten zjawił się w jej komnacie, rzekła:

- Pojedziesz, waść, natychmiast do Piły, która - jak mi przed chwilą doniesiono - cała spłonęła. Pokierujesz jej odbudowę. Najsamprzede przeprowadzisz odpowiednie pomiary i opracujesz nowy plan zabudowy. Taki, by zapewnić miastu bezpieczeństwo w przypadku wybuchu kolejnego pożaru. Coś zbyt często ta moja Piła płonie. Spraw więc, waćpan, by domy nie tylko z drewna tam budowano. Pieniądze weź z mojej kiesy. To na początek. Resztę niech starosta i mieszczanie dołożą. Zadbaj zwłaszcza o kościół, który także ucierpiał - dodała i skinieniem ręki odprawiła dworzanina.



Królewski sekretarz skrupulatnie wykonał polecenie swej pani. Wytoczył nowy plan miasta z obszernym, kwadratowym rynkiem i ratuszem pośrodku. Z rynku wybiegać miało 5 ulic po 16 łokci (przeszło

8 m) szerokości. Nad rzeką, przy moście przewidziano obszerny plac, całkowicie niezabudowany i bez żadnych płotów, aby w razie pożaru mogła się na nim schronić ludność miejska wraz ze swym dobytkiem. Na życzenie królowej Żydzi mogli odbudowywać swe domy na specjalnie wyznaczonym osobnym placu. Zadbano także o to, aby wszystkie domy kryte były nie słomianą strzechą czy trzcina, lecz wyłącznie dachówką lub w wyjątkowych sytuacjach gontami. Ponadto, zgodnie z nowym planem, parcele budowlane zwrócone miały być frontem do ulicy.

Taka Piła byłaby z pewnością miastem bezpiecznym i wygodnym dla mieszkańców. Niestety, nie wiadomo, na ile plany te udało się zrealizować i co z nich pozostało po kolejnym kataklizmie, jaki przeżyło miasto w trzydzieści lat potem, gdy dotarł tu potop szwedzki. Fragmentaryczne zapiski, które dotrwały do dziś, świadczą o tym, że budowa miasta szła opornie, a królowa Konstancja, jego patronka, nigdy nie zobaczyła nowej Piły. Zmarła bowiem w 1631 roku od ...udaru słonecznego.

## Ojciec Mu Niko



potkali się w Wysokiej latem 1636 roku. Lubili to miasteczko, jedną z licznych rodowych posiadłości. Położone zaledwie kilka mil od Smogulca - skąd wywodzili swoje nazwisko - przypominało im beztrioskie lata dzieciństwa. Tu bowiem, jeszcze jak żył ich ojciec, spędzali często letnie wakacje.

Jan Mikołaj Smogulecki zaprosił do Wysokiej brata, bo wiedział, że czeka go burzliwa z nim rozmowa. Liczył, że miejsce i związane z nimi wspomnienia złagodzą jej przebieg.

Usiedli naprzeciw siebie w ogrodowej altanie. Mikołaj spojrział w pytające oczy brata i przeszedł od razu do rzeczy.

- Postanowiłem, panie bracie, a decyzja moja jest nieodwołalna, porzucić świat świeckich zaszczytów i wdziąć habit zakonnika. Jesienią wstąpię do nowicjatu jezuitów w Krakowie. Jeśli Bóg pozwoli, a bracia pobłogosławią, zamierzam jako misjonarz pojechać do zamorskich krajów, by tam szerzyć nauki Chrystusa.

- Na Boga, bracie, chcesz porzucić to wszystko, co z takim trudem osiągnąłeś? Matka i krewni inną dla ciebie drogę wybrali.

- Wiem, ale ja mam powołanie służyć Chrystusowi. By wiara nasza dotarła do najdalszej krainy wschodu - do Indii i Chin.

Na takie dictum brat zamilkł. Ale tylko na chwilę, bo zaraz odezwał się znowu.

- Czego więc ode mnie oczekujesz, panie bracie?

- Chciałbym, abyś przejął po mnie starostwo nakielskie.

- Jak sobie życzysz - w głosie młodszego z braci nie słychać było entuzjazmu.



Jan Mikołaj Smogulecki to niezwykła i zagadkowa postać, niesłusznie dziś zupełnie zapomniana. Urodził się w 1610 roku, w tym samym, kiedy do Europy przywieziono korzeń żeń-szenia, a Galileusz skonstruował teleskop. Był synem starosty bydgoskiego Macieja Smoguleckiego oraz Zofii Zebrzydowskiej, córki Mikołaja Zebrzydowskiego, założyciela i budowniczego słynnej Kalwarii Zebrzydowskiej.



Szlacheckie pochodzenie zapewniło młodzieńcowi wykształcenie na europejskim poziomie. Początki jego edukacji związane były z kolegium jezuickim w Braniewie, skąd wkrótce przeniósł się do Akademii Lubrańskiego w Poznaniu, by po trzech latach wyruszyć do Fryburga.

Na tamtejszym uniwersytecie młody szlachcic zaczął odnosić sukcesy w naukach ścisłych. Gdy miał zaledwie szesnaście lat, opublikował swoją pierwszą, odkrywczą jak na owe czasy, pracę naukową pt. „Sol illustratus ac propugnatus” - rozprawę na temat plam słonecznych, która przyniosła mu chwałę i szacunek świata naukowego. Kontynuował w Rzymie filozofię, a w Padwie prawo.

Tak wszechstronne wykształcenie oraz bogaty wachlarz doświadczeń z zagranicznych wojaży uprawniały Smoguleckiego do rozpoczęcia w kraju błyskotliwej kariery politycznej. Wydaje się zresztą, że takie były plany rodzinne i że sam Jan Mikołaj zamierzał początkowo podążać w tym kierunku, czego dowodzi jego udział w najważniejszych wydarzeniach politycznych ówczesnej Rzeczypospolitej oraz sukcesy w sprawowaniu powierzanych młodemu szlachcicowi urzędów. Najpierw został starostą nakielskim, rok później dworzaninem królewskim, a potem posłem i deputatem do Trybunału Głównego Koronnego.

Nagle w 1636 zrezygnował z kariery politycznej i wstąpił do nowicjatu zakonu jezuitów w Krakowie. Przyczyny tej decyzji pozostają nieznanne. Można jedynie domniemywać, że jezuickie wykształcenie wykroczyło poza granice stricte naukowe, a fascynacja wiedzą, która niewątpliwie rozpałała umysł młodego Smoguleckiego, połączyła się w trakcie studiów z urzeczeniem duchowością ignacjańską.

Ten silny splot żarliwości religijnej oraz szczególnych zdolności intelektualnych zaowocował wkrótce skierowaniem Smoguleckiego przez władze zakonne do Rzymu, by ukończył tam studia teologiczne. I kiedy się wydawało, że młodzieńca rodem ze Smogulca czeka kolejny sukces, wśród jezuitów mówiło się nawet o jego kandydaturze na papieża, następuje znowu gwałtowny zwrot. Porzucenie wszystkiego i wyjazd na zagraniczne misje.



Nie każdy zakonnik mógł płynąć z pionierską misją ewangelizacyjną. Wybierano najlepszych. Musieli cechować się odpowiednim zdrowiem,

zdolnościami językowymi, wiedzą z przedmiotów ścisłych czy umiejętnościami rzemieślniczymi. Tylko nieliczni byli w stanie sprostać wszystkim wymaganiom. Polak, dzięki swemu starannemu wykształceniu, wpisał się idealnie w profil uczonego misjonarza w Chinach, gdzie główną sferę porozumienia między jezuitami i mandarynami stanowiła nauka.

Smogulecki udał się do Lizbony, bowiem stamtąd wypływały statki na Daleki Wschód. Tu król Portugalii Jan IV, poznawszy talenty i możliwości Polaka, zaproponował mu posadę na swym dworze - obowiązki kapłana, spowiednika i doradcy królewskiego. Przyszły misjonarz odmówił zaszczytów i 12 kwietnia 1644 wypłynął wraz z siedmioma współbraćmi na wschód.



Smogulecki, który szczęśliwie przeżył rejs na Jawę, pozostawił w swym liście do generała zakonu smutną relację z tej podróży: „Po moim wyjeździe z Portugalii przez dziesięć miesięcy pozostawaliśmy na morzu, nie zarzuciwszy przez cały czas ani raz kotwicy z powodu gwałtownych a przeciwnych nam wiatrów. Wskutek tego doszliśmy do ostatecznego braku pożywienia, przede wszystkim wody, tak iż przez cztery miesiące używaliśmy wyłącznie wody deszczowej. Nawiedziły nas nadto ogromne choroby morskie. Mój towarzysz, o. Raffaele, zmarł, ja po dwunastokrotnym puszczeniu krwi z trudem uniknąłem śmierci. Prawie wszyscy inni złożeni chorobą, zaledwie sześciu mieliśmy zdrowych, którzy nastawiali żagle. Piorun uderzył w okręt i uszkodził go tak, że groziło nam wielkie niebezpieczeństwo. To wszystko doprowadziło nas do takiej ostateczności, iż gdybyśmy byli zmuszeni do pozostania na morzu jeszcze przez dziesięć dni, bez wątplenia byłibyśmy wszyscy zginęli”.

Dopłynął do Batawii 2 stycznia 1645r. Był prawdopodobnie pierwszym Polakiem na Jawie. W rok potem dotarł do Chin.

Po początkowych trudnych miesiącach, gdy - by nie zostać ofiarą walk i rozruchów społecznych, towarzyszących zmianie dynastii w Chinach - niejednokrotnie musiał ratować się ucieczką, osiadł w 1647 roku w prowincji Fujian.



Młody jezuita z Polski wykazał się niezwykleymi zdolnościami, więc szybko nauczył się języka chińskiego i gruntownie poznał miejscowe obyczaje. Przyjął chińskie nazwisko Mu Niko, tworząc je prawdopodobnie od pierwszych liter polskiego imienia Mikołaj i łacińskiego Nicolaus. Ewangelizując, przekazywał Chińczykom dorobek europejskich nauk ścisłych. Wraz z uczonym Xue Fengzuo, którego zapoznał z zasadami europejskiej matematyki, wydał dzieło „Obliczanie zaćmień według metod zachodnich”.

Smogulecki był zwolennikiem heliocentryzmu Kopernika, ale prezentował on to w swych pracach z okresu chińskiego w zakamuflowany sposób (rebusy, ukryte zapisy). Jawne głoszenie teorii kopernikańskich w tamtym czasie było bowiem przeciwstawieniem się dwóm potęgom - Rzymowi, który zakazał jej w 1616 roku, oraz cesarzowi, ponieważ w Chinach obowiązywał wówczas geocentryzm.

Jego sława doskonałego naukowca i nauczyciela spowodowała, że w 1653 roku cesarz Shunzi wezwał Smoguleckiego na swój dwór w Pekinie. Po raz kolejny Polak zrezygnował z proponowanych godności i opuścił stolicę. Udało mu się wszakże wyjednać u cesarza list żelazny i pozwolenie na ewangelizację Mandżurii.

Mu Niko rozpoczął wędrówkę po tej krainie, zyskując powszechny szacunek i nawracając wiele osób. W 1655 przeniósł się w okolice Kantonu, a następnie na wyspę Hajnan. Stamtąd wyjechał do Kantonu, ale w czasie tej podróży zachorował i zmarł w domu swego przyjaciela, mandaryna Zhaoqing.

Mimo że odszedł w wieku 45 lat, miał bogate i fascynujące życie. Był pionierem jezuickich misji w Chinach, a także zwolennikiem prowadzenia otwartego dialogu kulturowego i naukowego, stając się swoistym pomostem między odmiennymi systemami religijno-kulturowymi Chin i Europy.

## Szwedzka zawierucha w Pile



ojewoda kaliski Andrzej Grudziński siedział przy stole w izbie nowo wybudowanego ratusza w Pile i kończył pisanie listu. Jeszcze tylko data: „Dane w Pile 20 czerwca 1655”. Przyłożywszy pieczęć, wezwał swojego sekretarza i podał mu dokument.

- To pismo do kaliskiej szlachty. Trzeba je rozesłać. Ale wprzódę wezwijcie mi tu rotmistrza Skoraszewskiego.

Gdy tenże się pojawił, wojewoda jął go wypytywać, jak rozporządził wojskami zaciężnymi, które do czasu przybycia pospolitego ruszenia miały bronić granic Rzeczypospolitej przed zbliżającą się wojną ze Szwedami.

- Wasza miłość! - odrzekł stary wiarus. - Mam jeno 1400 żołnierzy piechoty łanowej. Osadziłem ich w trzech obozach: w Wieleniu, pod Piłą i w Ujściu. Nie wiadomo, którędy Szwedy pójdą. Szpiedzy nasi donieśli, że feldmarszałek Wittenberg zbiera na Pomorzu wojsko liczniejsze od naszego. Kilkanaście tysięcy zaprawionego w wojnach żołnierza. Z moją piechotą nie podolamy im.

- Nie turbuj się, waszmość. Właśnie wysłałem wezwanie do szlachty kaliskiej, by stawiała się za tydzień w Ujściu. Wojewoda poznański uczynił to samo. Będzie tego kilkanaście tysięcy.

- Pospolitego ruszenia? - Skoraszewski pogardliwie wyduł wargi, a wojewoda udał, że tego nie widzi.



Miesiąc później feldmarszałek Arwid Wittenberg bez przeszkód przekroczył granicę Rzeczypospolitej w rejonie Czaplinka i ruszył w kierunku Wałcza. Tu nakazał założyć obóz warowny. Czekał na wieści o polskim wojsku, które zaległo obozem pod Ujściem, ale jak twierdzili szpiedzy, nie sprawiało wrażenia armii rwącej się do boju. Mimo to wysłał podjazd w kierunku Piły, który natknął się na wysunięty oddział jazdy polskiej. Po krótkiej potyczce Polacy umknęli do Ujścia, a Szwedzi weszli do Piły, której nikt nie bronił.

Miasto przeżyło swój sądny dzień, a jego mieszkańcy jako pierwsi w tej wojnie mieli doświadczyć cierpień, rabunku i zniszczeń,



znaczących trasę przemarszu szwedzkich regimentów. W ostatniej chwili pilscy mieszczanie zdołali wyprowadzić i ukryć w okolicznych, zabagnionych lasach większość trzód - a Piła ówczesna, choć miasto, stała hodowlą - i ta część ich dobytku ocalała. Natomiast w granicach miasta działały się dantejskie sceny. Rozbestwione i bezkarne żołdactwo rabowało, gwałciło i zabijało, ze szczególną zawziętością polując na Żydów. Trzydzieści trzy osoby z gminy żydowskiej poniosły męczeńską śmierć. Szwedzcy żołnierze nie oszczędzili kobiet ni dzieci. Zniszczyli także święte księgi ludu Izraela. Okazało się też, że mają Szwedzi wśród pilskich mieszczan swoich popleczników, bo oto niektórzy niemieccy ewangelicy pospołu z najeźdźcami zabrali się do rabowania dobytku katolickich rodzin polskich.



- Szwedy idą! - Przemko, syn kmiecia z Dziembowa, pognał z krzykiem do wsi, porzuciwszy stado krów, które pał na łące nad Notecią.

Istotnie, na trakcie prowadzącym od północy najpierw słuchać było werble, a potem z kurzu wyłoniła się kolumna szwedzkiego wojska. Przodem szła brygada gwardii królewskiej, którą dowodził Benedykt Horn. Byli to weterani zaprawieni w boju – lud dorodny, rośli, ubrany w grzebieniaste hełmy z czółnami zachodzącymi na uszy, w żółte skórzane kaftany, zbrojni w rapiery i w muszkiety. Kolejne brygady składały się z równie doświadczonych żołnierzy, kochających wojnę i rozlew krwi. Razem 14 tysięcy ludzi i 72 działa, które wiódł stary, doświadczony wódz Arvid Wittenberg.

W tym samym czasie, gdy Przemko biegł do wsi, by uprzedzić włóścian o zbliżającym się niebezpieczeństwie, z okopu pod Ujściem na wojska Wittenberga spoglądał rotmistrz Władysław Skoraszewski. Stary żołnierz, który na wojnach zęby zjadł, potrafił ocenić wartość nieprzyjaciela. On jeden zdawał sobie sprawę z sytuacji, w jakiej znalazło się wielkopolskie pospolite ruszenie i jakie są szanse wykonania powierzonego mu zadania.

- Kiepskie wojsko i kiepscy wodzowie - mruknął do siebie. - Bez doświadczenia i bez ochoty do walki.

Miał rację. Na naczelnego wodza sił wielkopolskich wyznaczony został podskarbi wielki koronny Bogusław Leszczyński. Nie podjął jednak zadania. Wymówiwszy się chorobą, wyjechał do Wrocławia. Ostatecznie dowództwo sprawowali wojewoda poznański Krzysztof Opaliński oraz wojewoda kaliski Andrzej Grudziński. Rotmistrz wiedział, że obaj wojennego doświadczenia nie mają. Mimo to był dobrej myśli. Polakom sprzyjała przyroda. Przeprawa pod Ujściem miała znakomite walory obronne. Północny brzeg Noteci był bagnisty. Mostów na Gwdzie i Noteci bronił trudno dostępny szaniec na kępie. Zaś zadaniem zgromadzonych sił wielkopolskich nie było zwycięstwo w otwartym boju, lecz obrona przepraw na Noteci, by dać czas na przybycie sił głównych, dowodzonych przez króla Jana Kazimierza.

24 lipca Szwedzi dotarli do Ujścia. Gdy pierwsze wezwanie do kapitulacji Polacy odrzucili, Wittenberg ustawił działa naprzeciw polskich szanieców i rozpoczął kanonadę. Piechota łanowa, wspomagana przez ochotników, przez pięć godzin broniła swych pozycji, które osłaniały mosty przez Gwdę i Noteć. Jak podają źródła, Szwedzi „wszystkie łąki i błota opanowali, bili do naszej piechoty potężnie i z potężnych dział, nasi też do nich, naszym nie szkodziło, ale owych przecie kilkunastu ubito i dwóch puszkarczów. Wieczorem naszym żołnierzom... do dział prochu nie stało i opuścili szaniec”. Grudziński wydał rozkaz ewakuowania załogi, oddając Szwedom kępę. Ci natychmiast usadowili tam swoje działa i rozpoczęli ostrzał artyleryjski jazdy polskiej, zgromadzonej na przeciwnym brzegu Noteci.

Po ustąpieniu Polaków szwedzki oddział rajtarów opanował przeprawę pod Dziembowem. Przez most przerzucono regiment gwardii pieszej. Na wieść o rysującym się oskrzydleniu w obozie polskim wybuchł popłoch. Jeden Skoraszewski zachował zimną krew i nakazał swej piechocie kopać szaniec, by osłonić zagrożone skrzydło wojsk polskich. Ale było już za późno. Wodzowie i szlachta mieli na ustach jedno słowo: „paktować!”. Wysłano parlamentarzy. W odpowiedzi przybył z obozu szwedzkiego orszak, na czele którego jechali zdrajca Radziejowski i generał Wirtz, obaj z zielonymi gałęziami w rękę.



Haniebna ugoda pozwoliła Szwedom bez przeszkód przekroczyć Noteć i ruszyć w głąb Polski. Magnaci, poddający się władzy skandynawskiego monarchy, liczyli na to, że ich dobra rodowe zostaną oszczędzone przez Szwedów. Rzeczywiście Andrzej Grudziński w pierwszych dniach sierpnia gościł nawet w swych złotowskich włościach samego króla Karola Gustawa X. Inni wielmoże polscy równie ochoczo gięli karki przed zwycięzcą.

Ale przyszło opamiętanie. Nieprzyjacielskie wojska rujnowały polskie ziemie, grabiąc, paląc i mordując. A gdy obległy Częstochowę, nawet najzagorzalsi zwolennicy szwedzkiego króla nie mogli już dalej udawać, że zamiana monarchów wyszła Rzeczypospolitej na dobre. Niebawem rozproszone dotąd siły polskie jęły gromić Szwedów, wzorem Czarnieckiego prowadząc wojnę podjazdową.

W październiku 1656 roku w bliskiej odległości od Piły pojawił się jakiś polski oddział, który - jak głosi legenda - rozbił Szwedów pod Morzewem, a przy okazji dodał otuchy zgnębionym pilanom. Wreszcie i sam wojewoda Grudziński odwrócił się od Karola Gustawa X, co przypłacił ruiną swojej złotowskiej posiadłości, którą w 1657 roku nakazał zrabować i spalić rozsierzdony król szwedzki, uciekający przez Krajnę na północ.

Kiedy zaś po ostatecznym wypędzeniu Szwedów z tych okolic pilscy Polacy upomnieli się u swych ewangelickich sąsiadów o wyrównanie rachunku krzywd, Niemcy musieli oddać zrabowane dobra i odpokutować wiarołomstwo wobec współobywateli tego samego przecież miasta.

## Łańcuch śmierci



Maciej Piskuła z Piesna wiedział, że umrze. Chciał uniknąć cierpienia. Łobżenicki kat bowiem do mistrzostwa doprowadził umiejętność zadawania bólu przy pomocy tyleż okrutnych, co przemyślnych tortur. I dumny był ze swej biegłości.

Kmieć Maciej to wiedział, bo doświadczył jej na własnej skórze. Dlatego teraz, stojąc przed sądem, plótł, co mu ślina na język przyniosła:

- Czarowania nauczyłem się od niejakiej Bobkowej z Piesna, z którą bywałem również na tej łysej górze, znajdującej się za Luchowem. Jedliśmy tam, piliśmy i tańcowaaliśmy. Ja sam grywałem na piszczałce. I tańcowałem z młodymi czarownicami. Miałem też diabła o imieniu Marcin, który obiecał mi, że będę miał dosyć pieniędzy i załatwi mi głuchego parobka do pomocy w gospodarstwie.

Kłamał jak najęty, ale myślał o tym, że może ponownie wpaść w ręce kata, sprawiała, że stracił kontrolę nad sobą, własnymi myślami i słowami. Opowiadał o swych sąsiadach oraz o innych osobach, które spotkał na owym sabacie czarownic. Potok słów płynął z jego ust. Chciał jednego - umrzeć i mieć wreszcie spokój. Więc mówił to, co chcieli usłyszeć jego sędziowie.



Rozprawa przeciwko Maciejowi Piskule z Piesna toczyła się 29 maja 1690 r. przed sądem burmistrzowsko - wójtowskim w Łobżenicy. Pomówili go Michał, Walenty, Paweł i Andrzej o to, że uczynił im wiele szkód za pomocą czarów. Przyłączył się do nich także Jakub Grab, ale gdy doszło do składania przysięgi, odstąpił od oskarżenia.

Wszyscy znali się od dziecka. Razem bawili się i broili. Gdy dorosli, bieda i trudy kmiecego życia sprawiły, że sąsiedzkie niesnaski przestoczyły się najpierw w spory i kłótnie, a potem w zapiekłą nienawiść. Maciejowi wiodło się lepiej niż jego sąsiadom, więc ci z zawiści zmówili się i oskarżyli przed sądem o czary. Wiedzieli, czym to się skończy, ale tylko Jakuba ruszyło sumienie. Pozostali uparcie trwali przy swoim.





Piskuła nie od razu się poddał. Po wysłuchaniu zarzutów poprosił o próbę wody, gdyż jak stwierdził przed obliczem sądu:

- Ludzie powiadają, że woda oczyści niewinnego.

W pławienie jako dowód w oskarżeniu o czary wierzono wówczas powszechnie. Polegało ono na tym, że ofierze wiązano ręce i nogi, golono głowę i rozebraną wrzucano do wody. Jeśli pławiony utrzymał się na powierzchni, dowodziło to, że jest winny.

Próba wody nie wypadła po myśli Piskuły, w związku z czym sąd postanowił poddać go torturom. W dwa dni później zapadł wyrok. Ku uciesze gawiedzi zapłonął stos.



Proces się jednak na tym nie zakończył, Piskuła bowiem w trakcie tortur, opowiadając o swych konszachtach z diabłem, świadomie czy też nie wymienił nazwiska kilku osób, które podobnie jak on parały się czarami. Posądził o nie Jagnę Figulusową, jej syna Jana i córkę Kaśkę oraz siostry Jadwigę i Reginę Bosackie. Wszyscy oskarżeni mieszkali we wsi Rataje.

Podejrzanych najpierw poddano próbie wody, ale nikt nie utonął, przekazano ich więc w ręce kata. Wymuszone zeznania, skrzętnie zapisane przez sądowego skrybę, świadczą nie tylko o powszechnej ciemności, panującej wówczas wśród ludu, ale także o jego wierzeniach i... wyobraźni.

- Od dwóch lat mam na swych usługach Parchala, który chciał ze mną legać, ale go nie dopuszczałam. Ów Parchal, a raczej diabeł imieniem Jakub, który w czarnych szatach chodził, obiecał mi wielkie dostatki. Bywałam z nim na łysej górze, gdzie na skrzypkach grał Jan Figulus - zeznała podczas tortur Jadwiga Bosacka

Podobne brednie opowiadała jej siostra, Regina. Już po pierwszych torturach przyznała się do konszachtów z diabłem Marcinem, który chodził ubrany w atlas. Sypiała z nim. Też bywała na łysej górze, dokąd dostawała się po wysmarowaniu siebie maścią, a chowała ją w skrzyni w pudełku.

- Pewnego dnia przed pół rokiem, gdy wyszedłem z miasta Łobżenicy - wyznał przed sądem Jan Figulus - zastąpił mi drogę pan, który po

francusku chodził w ceglastej barwie i na służbę namówił, obiecując mi pieniądze i szaty piękne. Miał również diabolicę Baszkę, z którą obcowałem jak z żoną, kiedy tylko chciałem.

Po tego rodzaju zeznaniach wyrok mógł być tylko jeden. Na stos sędziowie wysłali Kaśkę Figulusową i jej brata Jana, a także Jadwigę i Reginę Bosackie, ponieważ wszyscy przyznali się do kontaktów z diabłem i do szkodenia innym ludziom. Od śmierci uratowała się jedynie stara Figulusowa. Wytrzymała bowiem kilkakrotnie powtarzane tortury, zaprzeczając konsekwentnie oskarżeniom. Wyrok na pozostałych został wykonany 26 czerwca 1690 r. we wsi Piesno.



Na tym jednak łańcuch śmierci, którego pierwszym ogniwem był proces Macieja Piskuły, się nie skończył. Żony mężczyzn, którzy zostali oskarżeni o konszachty z siłami nieczystymi, uznani za winnych i spaleni, najczęściej także obwiniano o czary. W kwietniu 1691 r. we wsi Piesno rozpoczęła się kolejna rozprawa. O rzucanie uroku pomówiono Katarzynę Piskułę.

- Od czasu, kiedy Piskulina wrywała u mnie w ogrodzie kapustę, ta rość więcej nic chce - zeznawał przed obliczem sądu niejaki Michał Zedla. - Przyznaję, że kiedyś zabiłem dwie gęsi należące do Piskuliny, które to gęsi złapałem w swoim życie. Wkrótce po tym zdarzeniu moim trzem gęsiom szyje pozakręcało. Doszło również do kłótni pomiędzy mną a Piskuliną, która w jej trakcie odgrażała mi się tymi słowami: nie-  
długo wypsiejesz na tej roli.

W podobnym tonie zeznawał Paweł na Gnatowym, który opowiedział sędziom, jak to za sprawą zaklęć Piskuliny zdechło mu 5 koni i 5 wołów.

Katarzyna Piskuła była twardsza od swego męża. Dwukrotnie torturowana, nie przyznała się do winy. Dopiero za trzecim razem powiedziała, że bywała na łysej górze, gdzie grano do tańca na kozłowych rogach, a diabeł chodził w zielonej sukni. Potem jednak odwołała swoje zeznanie, twierdząc, że wbrew prawu torturowano ją ponad przepisową godzinę i zeznanie przez nią złożone wymuszono na niej po tym czasie.

Nie wiadomo, jak zakończył się ów proces, ale biorąc pod uwagę, że mąż Katarzyny wcześniej został stracony jako czarownik oraz że ona sama przyznała się do bywania na łysej górze, można przyjąć, że i Piskulina trafiła na stos jako czarownica.



Z dokumentów, które przetrwały do dziś, wynika, że podczas 26 procesów o czary przed sądem łobzeńickim oskarżone zostały 32 kobiety i 3 mężczyzn. W trakcie zeznań obwinili oni kolejne 132 kobiety i 15 mężczyzn. Na śmierć sędziowie skazali 36 kobiet i dwóch mężczyzn.

Liczyby te dowodzą, że wyroki w procesach o czary w dawnej Rzeczypospolitej były łagodniejsze niż w pozostałej części Europy. Często uniewinniano oskarżonych, bowiem szlachta nie chciała pozbywać się rąk do pracy. Misji Kościoła również nie służyły płonące stosy.

Mimo to nie zaniechano ich. Były to bowiem widowiska, które zabawiały gawieź. I zdarzało się, że osoba uniewinniona trafiła na stos, a sędziowie, którzy taką decyzję podjęli, musieli salwować się ucieczką, by nie paść ofiarą rozsierzonego tłumu.

## Czarownice z Młotkowa



nia 10 czerwca 1692 r. w Falmierowie w obecności wójta łobżenickiego Jana Kazimierza Florkowskiego zapłonęły cztery stosy. Tłum gapiów się przyglądał, jak pachotkowie z Łobżenicy, kierowani przez kata, wbijali w ziemię wielkie słupy i przywiązali do nich cztery niewiasty. Przy każdej z nich ułożyli stertę polan drewna oraz suchych gałęzi z pobliskiego lasu. Po odczytaniu przez wójta wyroku kat z łuczycwem w ręku podchodził kolejno do stosów i zapalał je osobiście. Takie było jego zadanie i za to sownie go opłacano.

Płomienie powoli ogarniały drewno, jakby nieśmiało zbliżając się do udreńczonych twarzy kobiet. Najpierw zajęły się suknie. W chwilę później rozległ się straszliwy krzyk bólu skazanych na stos czarownic. Wokół coraz intensywniej czuć było zapach palonego mięsa. Tłum wiwatował i ...oczekiwał widoku diabłów, opuszczających ciała czarownic. Nic z tego. Rychło kobiety zamilkły, ich ciała zamieniły się w popiół, stosy gasły, a ludzie powoli zaczęli rozchodzić się do swoich domostw. Byli zawiedzeni.



Kim były czarownice i jak je rozpoznawano? Według ówczesnych wierzeń to niewiasty, które: „jedna drugą będzie uczyła ofiar i posług, takżeż czart im k'temu chuci i nauki na osobnym miejscu dodawał, aby w nim zupełną naukę miały, aby im się to stało, czego żądają. Według ich wiary stanie się im tak, to jest, gdy chcą mieć deszcz, bierze piasek w ręce, rzuca przez się, obróciwszy się tyłem ku wschodowi słońca, a gdy chce mieć grad, tedy krzemienie; kiedy ludzi zwadzić albo małżeństwo, tedy drwa poprzek kładzie przeciw onemu domowi, gdzie chce złość wyrządzić, przymawiając o czartowskie słowa; chcieli też kędy lecieć, maścią to sprawi [...], aby świnię zdychały, warzy szczeciny świnię z mrowiskiem i wiele innych rzeczy takich, których wiele może czartem sprawić”.

Przytoczony cytat, czyli definicja czarownic, pochodzi z XVI - wiecznego dzieła, instruującego tępicielei czartowskich praktyk. Już sam tytuł





mógł wywołać ciarki na plecach - „Młot na czarownice”. Autorami kuriozalnego poradnika byli dwaj niemieccy profesorowie teologii, ojcowie dominikanie Jakub Sprenger i Henryk Institoris.

Zostać czarownicą naprawdę nie było trudno. Wystarczyło, że sąsiad powziął takie podejrzenie i jeśli je zgłosił stosownym władzom, musiały one rozpocząć dochodzenie. A przecież każdy niecodzienny wypadek można przypisać czartowskiej ingerencji, ot, choćby niestrawność, nagły pomór inwentarskich zwierząt, zły sen albo upadek na zlodowaciałym śniegu. Rzeczywiste powody oskarżeń o czarnoksięstwo okazywały się z reguły bardziej przyziemne: upatrzony dom, majątek oskarżonych, zemsta, różnice wyznaniowe, a nade wszystko ówczesna mentalność, ciemnota i hołdowanie zabobonom. Tak właśnie było w Młotkowie w 1692 roku.



W czwartek 29 maja 1692 r. do wsi Młotkowo przybył z Łobżenicy sąd pod przewodnictwem tamtejszego burmistrza Pawła i rozpoczął przesłuchania pięciu kobiet oskarżonych o czary. Była wśród nich Katarzyna Błachowa z Falmierowa, na którą doniósł Łukasz Przybysz, zagrodnik z Falmierowa. Zeznał on, że żona jego „już lat temu cztery powadziła się była u mielcarza o pomyje z Katarzyną Błachową, rybaczką falmierowską. Po tym zdarzeniu w polu świniarek kamyszkciem cisnął świni w łeb, aż zaraz zdechła. Od tego czasu poczęło mi zdychać bydło przez lat 3, sztuk 8 rogatego bydła, nie chorowawszy mało co”. Potem spotkały go dalsze szkody: „jałowicę osobliwie miałem, na pognaniu tę wilk zadrasnął, wziął ziela, nie pomogło, zdechła, łońskiego roku na ostatek żyto mi zniszczało” - skarżył się sądowi Przybysz, winą za te przypadłości obarczając Błachową, która jego zdaniem miała konszachty z diabłem.

Pozostałym niewiastom: Katarzynie Derlinie, Reginie, dziewczce służącej u Szymona Kotarskiego we wsi Gromadno, Annie, którą wygnano wcześniej z Żelazna, oraz Barbarze, babie ze szpitala w Gromadnie, postawiono równie absurdalne zarzuty.

Zgodnie z prawem magdeburskim sąd, obradujący w Młynkowie, zalecił najpierw poddanie oskarżonych o czary „próbie wody”, czyli



pławienie czarownic. Niewiasty ówczesne nosiły obszerne, nieraz kilkuwarstwowe spódnice, toteż bywało, że wrzucone do wody dzięki wydętym fałdom tkaniny utrzymywały się na powierzchni, a to właśnie uważano za koronny dowód konszachtów z diabłem.

Czarownice z Młotkowa pławiono po trzy razy i za każdym razem utrzymywały się na powierzchni wody. Potem, po wysłuchaniu świadków i oskarżonych kobiet, które nie przyznały się do winy, poddano je torturom. Kat rozciągał ofiary na ławie, przypiekał je pochodniami, polewał płonącymi kroplami siarki i smoły, zgniatał palce śrubami, miażdżył kości nóg „hiszpańskimi butami”. Liczyło się jedno: wydobyć przyznania się do winy.

Wysiłki kata okazały się daremne. Torturowane kobiety nie chciały się przyznać, że są czarownicami i domagały się ponownego poddania je próbie wody. Wtedy właściciel Łobzenicy, kasztelan kaliski Jan Korzbok Łącki, wpadł na niecodzienny pomysł. Postanowił poddać próbę pławienia niewinne dzieci.

Najpierw na wodę puszczono piętnastoletniego Wawrzyńca Czyża, a następnie dwunastoletnią Annę. Oboje „po wierzchu pływali”. Następnego dnia, w niedzielę, eksperyment powtórzono. Tym razem pławiono inne dzieci i to trzykrotnie. Mimo że były związane, nie tonęły. Eksperyment ten pokazał, że pławienie jest niewiarygodnym dowodem. Nie wiadomo, jak sędziowie wytłumaczyli sobie owo utrzymywanie się dzieci na powierzchni wody, w każdym razie proces był kontynuowany, toczył się już jednak nie we wsi, ale w Łobzenicy, przed sądem wójtowskim.

W końcu torturowane po raz trzeci i czwarty niewiasty nie wytrzymały bólu i z wyjątkiem Anny przyznały się do winy, opowiadając niestworzone historie, których od nich jako czarownic oczekiwano. Na przykład Katarzyna Derlina zeznała, że przed trzema laty na odpust w Gromadnie przyszła Jadwiga, żona Żydka z Żelaznego, i zadała jej w gomółce sera diabła, który pokazał się wieczorem, gdy wyszła przed dom. Ubrany był po niemiecku, w czerni, w kapeluszu. Gospodarza wówczas w domu nie było. Czart, którego nazywała „pokuśnikiem”, prosił ją, aby nikomu o nim nie opowiadała, nawet mężowi, a będzie się

dobrze miała i obiecywał, że nie opuści jej do śmierci. Bywała na łysej górze, gdzie do tańca grywał im Jan Papieżów z Falmierowa. Jadali tam „mięso takowe, co zdychało komu” i pijali piwo.

Pozostałe kobiety ze strachu przed torturami opowiadały podobne brednie. Nic dziwnego więc, że sąd uznał ich winę i skazał cztery z nich na stos, a jedną - Annę - na wygnanie.

W ten sposób okrutne instrukcje pogromców diabelskiego nasienia, ojców dominikanów, autorów „Młota na czarownice”, odbiły się echem w Młotkowie i okolicy.

## Czasy bezhołwia i anarchii



esienny dzień Anno Domini 1705, piątego roku wojny, zbliżał się ku końcowi. W sali ratusza w Jastrowiu zrobiło się ciemno. Zapalono świece. Zebrani tu burmistrz i rajcy w ponurym milczeniu słuchali pisma szwedzkiego komendanta z Piły, które odczytywał lejtnant, przybyły do miasteczka z oddziałem dragonów. Żołnierze rozgościli się w rynku, a dowodzący nimi oficer stał oto w izbie ratusza i bezbarwnym głosem wyliczał żądania swego przełożonego, który nakazywał wymienione w piśmie produkty jak najspieszniej zebrać i podwodami miejskimi dostarczyć bez zwłoki do Piły.

Spotniał burmistrz, mrowie chodziło rajcom po plecach, gdy słuchali, czego to sobie znowu życzy szwedzki pułkownik. Wprawdzie, a jakże, chwalił nawet dotychczasową uległość jastrowian, ale to, czego żądał teraz, przyprawiało słuchaczy o rozpacz. Już sami od dawna liczą skrętnie w domach każdą garść mąki czy kaszy, każdy skrawek słoniny. Umorzy ta przekłeta wojna ludzi na śmierć. Oj, umorzy!

Lejtnant, kalecząc niemiłosiernie język polski, odczytał: „Miastu Jastrowiu podaję niniejszym do wiadomości, iż jako przez pięć miesięcy prawidłowo dostawiali kontrybucję i furaz, za szósty miesiąc dawać pieniędzy nie potrzebują...”

- Dobry Boże! - burmistrz w bezsilnej furii zacisnął pięści. - Łaskawca! Dobrodziej! Nie chce pieniędzy! Wiadomo! Co po pieniądzach, kiedy coraz trudniej coś za nie kupić, bo pieniądz z dnia na dzień podlejszy. Obrzynany. Rzetelnego talara ze świecą nie znajdziesz!

„...dawać pieniędzy nie potrzebują”. Szwedzki oficer powtórzył z naciskiem, obrzucając zebranych lodowatym spojrzeniem i czytał dalej: „...ale zamiast tego następujący prowiant”. Obecni wstrzymali oddech, a lejtnant wyliczał: „4000 funtów chleba, 4000 funtów mięsa, 30 beczek piwa, 2000 funtów słoniny i 30 korców kaszy lub grochu, który to prowiant należy dostarczyć w ciągu dni 14 od poniższej daty. W przypadku przeciwnym zostaną poddani ciężkiej egzekucji”. W grobowym milczeniu spoglądali na siebie burmistrz i rajcy. Oficer położył pismo przed nimi na stole i wyszedł.



Długo deliberowali zafrasowani ojcowie miasta nad sposobem zaspokojenia szwedzkich żądań. Ileż to przekleństw i narzekań usłyszą od współziomków? Ale cóż począć? Wiedzieli, że ze Szwedami nie ma żartów. Owa „ciężka egzekucja” to nie są czcze pogrożki. Będą przeklinać, ale dać muszą. I tylko myśl jedna, rozpaczliwa, kołatała się w głowach: kiedy nastanie temu kres?



Po szwedzkim potopie Krajna, leżąca na peryferiach Rzeczypospolitej, cieszyła się prawie półwiekowym pokojem. Przerwała go dopiero w początkach XVIII stulecia wielka wojna północna między Szwecją a Rosją (1700-1721). Polska została uwikłana w zbrojny konflikt w następstwie polityki ówczesnego króla Polski i Saksonii, Augusta II Sasa, który poparł Rosję przeciwko szwedzkiemu władcy Karolowi XII. August II Mocny bez wątpienia górował siłą fizyczną nad królem Szwecji, ale talentem wojskowym ustępował mu zdecydowanie i wkrótce wojna przybrała dla Sasa obrót niepomysłny. Dla Rzeczypospolitej oznaczało to kolejną inwazję z północy. I tak się też stało.

W roku 1703 szwedzki korpus pod dowództwem Gyllenstierny zajął ziemie nad Notecią i przez Wieleń pomaszerował ku centrum Wielkopolski, zostawiając po drodze garnizony (m.in. w Wałczu i Pile), których zaopatrzenie i wyżywienie obciążało niepomiarne mieszkańców. Nie był żadną pociechą ani ulgą fakt, że Karol XII łaskawie dał Rzeczypospolitej nowego króla w osobie wojewody poznańskiego Stanisława Leszczyńskiego. Kraj, nękany najazdem obcych wojsk, stanął w obliczu wojny domowej.

Dwóch władców, korzystając z pomocy obcych, dochodziło swoich praw i racji. Dla zwyczajnych ludzi oznaczało to życie w ustawicznym lęku, w rozpaczliwym usiłowaniu przetrwania złych czasów, których końca nie było widać.



Przez Krajnę zaczęły się częste przemarsze wrogich wojsk, skorych do rabunku i mordów. Zmagania pomiędzy konfederacją sandomierską,

wierną Augustowi II Mocnemu, a konfederacją warszawską, służącą Stanisławowi Leszczyńskiemu, doświadczyły boleśnie ziemie Wielkopolski, w tym położone na północ od Noteci. Dramatycznie podzieliły też Polaków na tych, co do Sasa i tych, co do Lasa.

13 lutego 1706 roku doszło do bitwy pod Wschową. Armia szwedzka, składająca się z niespełna dziesięciu tysięcy żołnierzy Carla Gustafa Rehnskiolda, pobiła znacznie liczniejszą, bo osiemnastotysięczną armię rosyjską pod dowództwem Johanna Matthiasa von der Schulenburga. Po obu stronach walczyli Polacy.

Okolo 800 żołnierzy polskich, wiernych Augustowi II Mocnemu, uciekając przed Szwedami, znalazło się na terenie nadnoteckim. W okolicach Czarnkowa natrafili oni na polski oddział w liczbie 200 żołnierzy konfederacji warszawskiej, związanych ze Stanisławem Leszczyńskim. Grupa ta została otoczona przez zwolenników króla Augusta II i wzięta do niewoli. Sytuacja zmieniała się jak w kalejdoskopie, gdyż zwolennikom Stanisława Leszczyńskiego przyszły ze zwycięską odsieczą wojska szwedzkie. Uciekając, polsko-sascy maruderzy rozproszyli się po okolicy, plądrując ją niemiłosiernie. Spalili Wałcz i ruszyli w kierunku Piły. Tu doszło do kolejnej potyczki ze Szwedami.

Zdemoralizowane klęskami, polsko-saskie żołdactwo przypominało raczej bandę rzezimieszków niż regularne wojsko. Wynik starcia był więc z góry przesądzony. Szwedzi triumfowali, a ich przeciwnicy poszli w rozsypkę. Na polu bitwy pozostały trupy 120 Polaków, wielu innych zostało rannych i wziętych do niewoli.



Gdy wojna przycichła, w 1711 roku dotarła na Krajnę następna plaga - epidemia dżumy, zwanej wtedy morowym powietrzem. Zdziesiątkowała ludność, głównie w miastach. Jej pojawienie się tak przedstawia miejscowa legenda.

Pewnego dnia w karczmie przy trakcie nad Notecią, wiodącym z dalekiego Rzymu nad Bałtyk, zatrzymał się pątnik. Mimo że biesiadujący tu kmiecie zapraszali go do stołu, usiadł z dala od wszystkich i w milczeniu lustrował obecnych swym przepastnym, ponurym spojrzeniem.

A oczy miał czarne, głęboko osadzone, co sprawiało wrażenie jakby pustych oczodołów śmierci.

Gwar w karczmie ucichł, a serca wszystkich ścisnął jakiś niewytłumaczalny strach. Co odważniejsi zaczęli domagać się od karczmarza - Żyda, by wyrzucił owego pielgrzyma. Ten z początku się opierał, bo zwykł swych gości szanować, ale ponieważ niechęć wobec dziwnego pątnika rosła w siłę, grożąc samosądem, w końcu zażądał od niego, by sobie poszedł. Wtedy kilku krewkich młodzieńców dopadło intruza i wypchnęło go siłą na drogę. Gdy pątnik podniósł się utyłany w błocie, rzucił w ich kierunku jakieś przekleństwo w obcym języku. Jednocześnie jego czarne oczy zapłonęły wściekłością niczym rozżarzone węgle. Ludzi w karczmie trwoga chwyciła za gardło i nikt już nie miał ochoty na dalsze biesiadowanie.

Tuż przed zmierzchem niebo pokryło się ciężkimi, burymi chmurami, z których spływała gęsta mgła, a wraz z nią morowe powietrze rozeszło się po całej Krajnie. Jeszcze tego samego dnia zachorowali wszyscy biesiadnicy karczmarza. Kilka dni później żaden z nich już nie żył.

Duszne, morowe powietrze truło przy każdym oddechu i na nic zdały się chusty na twarzach, nasyczone octem. Prerażeni ludzie chowali się po swych zagrodach, ale nawet do najdalszych zakątków Krajny docierała śmierć. Byli tacy, którzy spotkali złowróżbny orszak jej towarzyszący i cudem jakimś przeżywszy, opowiadali potem, że widzieli wyrzuconego z karczmy pielgrzyma z kosturem w rękę, jak szedł obok kobiety odzianej w czarną, postrzępioną płachtę. Za nimi radośnie płażał diabeł w przebraniu myśliwego, a na końcu wolno włókł się smutny anioł z opuszczonymi skrzydłami i lilią w rękę.



Nastaly złe czasy dla całej Polski. Panował chaos i bezprawie. Kraj leżał w ruinie, a śmierć zbierała bogate żniwo. „Żadne pióro - zanotował poseł wenecki - nie jest w stanie opisać nieszczęść tego kraju zniszczonego przez Szwedów, zrabowanego przez Rosjan, złupionego przez Sasów”.



## Błyskotliwa kariera krwawego Johanna



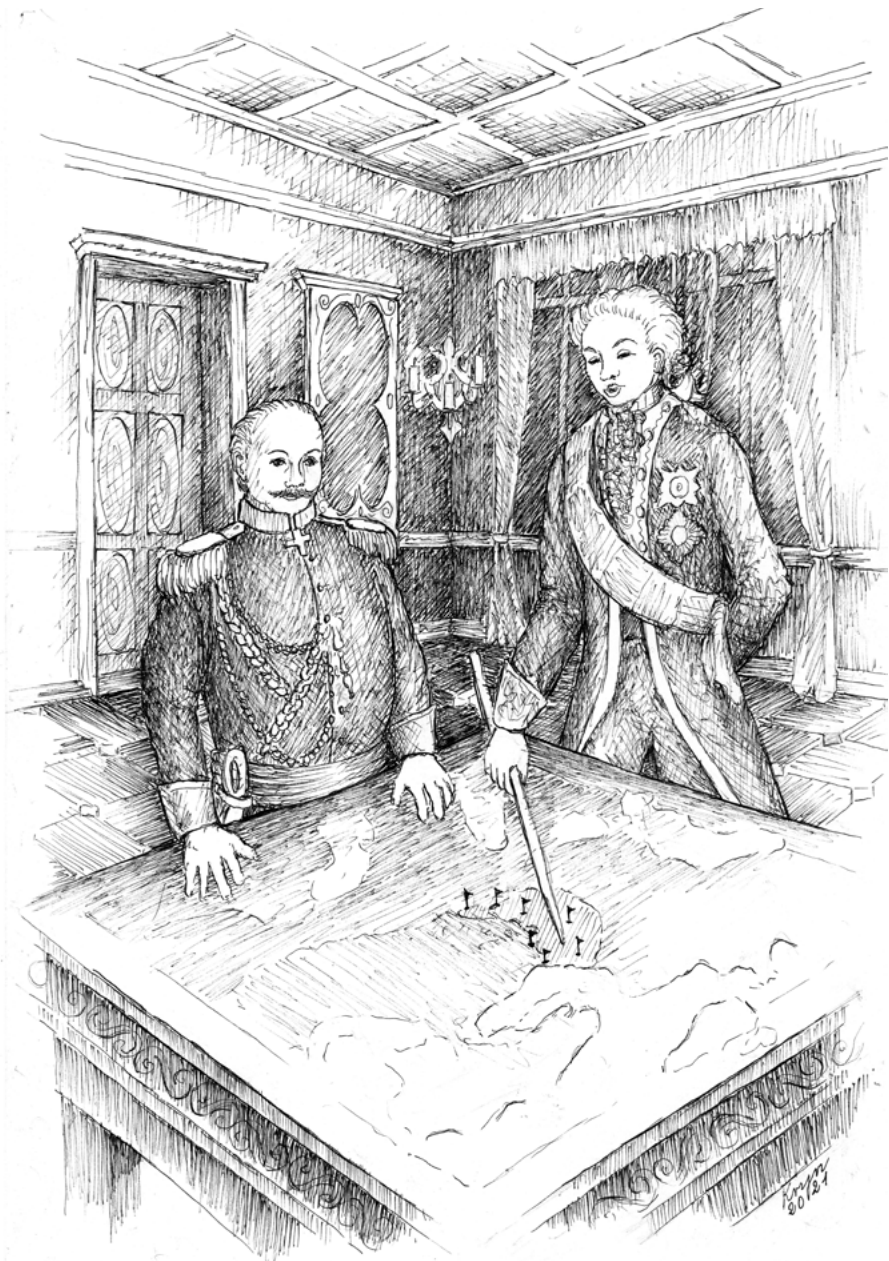
siąże Nikołaj Wasiljewicz Repnin, rosyjski poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny w Warszawie, nerwowo chodził po gabinecie. Był zaniepokojony swoją sytuacją. Jego plan bezkrwawego opanowania Polski przez Rosję właśnie legł w gruzach. Na mapie Rzeczypospolitej Obojga Narodów, która zajmowała całą powierzchnię ogromnego stołu, przybywało chorągiewek. Codziennie rano adiutant wbijał je w miejsca opanowane przez konfederatów. Pełno ich było na południowo-wschodnich kresach kraju, zwłaszcza wokół Baru, gdzie polska szlachta zawiązała konfederację, ale na zachodzie był spokój. Tak mu się dotąd zdawało.

Rankiem oficer, który zameldował się z plikiem świeżych meldunków w ręku, umieścił kilka chorągiewek na północno-zachodnim krańcu „jego królestwa”, jak zwykł w myślach nazywać Polskę powierzoną jego opiece przez carycę Katarzynę. Pochylił się nad mapą. Trzeba tam posłać kogoś bezwzględnie, kto szybko i skutecznie wybijie pragmatycznym dotąd Wielkopolanom te narodowo-katolickie fanaberie. I wtedy pomyślał o majorze Drewiczu.



Iwan Drewicz, a raczej Johann Drewitz - trzydziestoletni Niemiec w randze majora na służbie w carskiej armii, stacjonującej wówczas w Polsce - był jednym z wielu Niemców w rosyjskim wojsku. Jego umiejętności wysoko oceniano na giełdzie najemników. Sam król Fryderyk II kilkakrotnie usiłował skaptować go do służby w pruskim wojsku. Bezskutecznie. Był wierny carycy Katarzynie, podobnie jak on Niemce z krwi i kości. W jej armii łatwiej było o awans i solidny żołd.

„Krótki, gruby, silny jak dzik, a krwiożerczy jak wilk, zięjący nienawiścią do Polaków” - jak go opisywali współcześni - major Drewitz stał się niebawem postrachem wielkopolskich dworów, miast i wsi, albowiem już pierwsze poczynania ujawniły sadystyczne skrzywienie jego osobowości. Na ogół nie brał jeńców, tylko ich mordował. Bywało, że darował im życie, ale wtenczas potwornie ich kaleczył, z reguły obcinając kiście dłoni.



Zresztą zadając śmierć, też dbał o to, aby nie była nazbyt szybka - jeden ze sposobów to skazanie na długą agonię nieszczęśników nabitych na kozackie spisy.

Jego bestialstwa stały się głośne nie tylko w Polsce. Stanisław Staszic pisał po latach w „Przestrobach dla Polski”: „Drewicz, bestia nie człowiek, temu bezbronnemu, który mu się w dobrej wierze poddał, przeżynał brzuch i żywo w koło drzewa okręcał wnętrzności”.

Thesby de Belcour - Francuz, który walczył w szeregach konfederatów - widział, jak Drewitz kazał „ucinać ręce jednym, nogi drugim; innym członki obciawszy takowe w usta wkładać kazał. Oddawał na łup kozactwa osoby, których twarz nie podobała mu się była. Wszystkie te okropności odbywały się przy nim, a on uciechę w nich znajdował”. Francuz wspominał też, jak dziewczynę „przywiązano za ręce i nogi do stołu Drewitza i tak na pastwę oficerów wydano”.

Na początku grudnia 1768 roku major Johann Drewitz wraz ze swym oddziałem pojawił się w rejonie Piły.



Konfederację barską na obszarze Wielkopolski zapoczątkował jeszcze w czerwcu 1768 roku Wojciech Rydzyński, dziedzic Wyrzyska, stolnik poznański i porucznik chorągwi husarskiej stacjonującej w Pile.

Husaria w drugiej połowie XVIII wieku straciła swój dawny blask i nie była w stanie dokonać wielkich czynów. W poprzednim stuleciu pod Kirholmem, Kłuszynem czy Wiedniem szarżowała na linie wroga z użyciem kopii. Po wbiciu się w szeregi przeciwnika oraz ich skruszeniu przechodziła do walki wręcz za pomocą broni białej: szabel, koncerzy czy nadziaków. Takie szarże dobrze wyszkolone chorągwie husarskie mogły wykonywać wielokrotnie dzięki odpowiednio wyćwiczonym koniom. To one przecież miały za zadanie wynieść husarza z pola walki w razie niepowodzenia ataku.

Po śmierci króla Jana III Sobieskiego wartość bojowa husarii stopniowo malała, a z braku „drzewek” husarze służyli z bronią palną, upodabniając się do arkebuzerów. Utrzymanie ich w kompucie koronnym tłumaczyć należy raczej dużym przywiązaniem szlachty do tego „robur militiae” niż

przydatnością do walk z wyposażoną w broń palną piechotą wspartą artylerią. Chorągiew husarska, licząca około 100 jeźdźców, nie stanowiła więc istotnej siły militarnej, ale wsparta przez oddziały konfederatów pod dowództwem regimentarzy Ignacego Malczewskiego i Jakuba Ulejskiego łatwo opanowała Krajnę i na zimowe leża udała się w okolice Łobzenicy, korzystając z gościnności Józefa Radolińskiego, ostatniego z właścicieli tego miasta w okresie Rzeczypospolitej szlacheckiej.

Tu dopadł ich okrutny major.



4 grudnia 1768 roku szpiedzy - a miał ich Drewitz na Krajnie wielu, głównie wśród mieszkających tam Niemców - donieśli mu, że w Łobzenicy uczują w dworze jacyś dygnitarze konfederacy, a całe ich wojsko rozlokowało się pod miasteczkiem dosyć niefrasobliwie i bez ubezpieczeń.

Drewitz, nadciągnąwszy pod Łobzenicę, uderzył niespodziewanie na konfederatów, licząc na łatwy sukces, ale napadnięci szybko się pozbierali i stawili dzielny opór napastnikom. Bitwa w zasadzie nie została rozstrzygnięta, ale to Drewitz zdobył miasto, splądrował je i pogonił za rozproszonymi oddziałami konfederatów. Miał nad nimi znaczną przewagę. Dysponował bowiem mobilnym oddziałem, składającym się z około 1000 żołnierzy - głównie kozaków oraz piechoty z artylerią - i potrafił się bardzo szybko przemieszczać z miejsca na miejsce, nękać nieustannie wielkopolskich konfederatów. Niebawem zyskał w rosyjskim dowództwie opinię mistrza wojny partyzanckiej, a wśród Polaków złą sławą bardzo groźnej i bezwzględnej bestii, nie cofającej się przed żadną podłością.

W lutym 1769 roku Drewitz na czele nowego oddziału, jeszcze większego, bo liczącego blisko półtora tysiąca ludzi, znowu ruszył do Wielkopolski. Podjąwszy pościg za głównymi siłami konfederatów, dowodzonymi przez Ignacego Malczewskiego, nękał je nieustannie, unikając walnej bitwy. Trasa tej pogoni wiodła wzdłuż środkowego biegu Noteci. W Czarnkowie uzyskał sporo informacji o zamiarach konfederatów od swoich szpiegów. Idąc tropem wojsk Malczewskiego, ruszył następnie

na Ryczywół, Rogoźno, Wągrowiec, chcąc tak wymęczyć konfederacką jazdę, żeby straciła resztki bojowej wartości. Wreszcie sam Malczewski postanowił doprowadzić do rozstrzygającej bitwy, ale starcie pod Pakością w rejonie Inowrocławia Polacy przypłacili ciężkimi stratami, powiększonymi o setkę wyrżniętych przez Drewitza jeńców.

Wojując z konfederatami, Drewitz ani przez moment nie zapominał o nabijaniu kabzy. Łupiąc majątki konfederatów, zbił okazały majątek, który powiększył, sprzedając jeńców jako rekrutów do armii pruskiej oraz dokonując wielu malwersacji przy zaopatrzeniu armii. Za pieniądze w ten sposób zdobyte zakupił majątek w okolicach Witebska, gdzie wpisano go na listę ziemian. Służbę w wojsku zakończył w stopniu brygadiera. Nie zapłacił za swe zbrodnie. Wręcz przeciwnie. Chępił się nimi aż do śmierci.



Zupełnie inny los spotkał jego protektora. Ambasador Repnin, kiedy go pytano o stosunek do zbrodni krwawego Niemca, wyrażał ubolewanie, ale nie podejmował żadnych działań. Miał inne zmartwienia. 10 kwietnia 1769 roku został zdymisjonowany przez carycę. Opuścił Warszawę w czerwcu 1769 roku, pozostawiając tu nie tylko marzenia o władzy nad Rzeczpospolitą, ale także złamane serce. Skończył się bowiem jego romans z Izabelą Czartoryską, której owocem był - jak twierdzą niektórzy historycy - Adam Jerzy Czartoryski, późniejszy (po 1830 roku) przywódca polskiej emigracji w Paryżu. Jak głosi plotka, mąż Izabeli, książę Adam Kazimierz, który dowiedział się o romansie swej pięknej żony, miał nawet zamiar zanieść dziecko w koszyku do rosyjskiej ambasady. Nie uczynił tego.

Ale to już całkiem inna historia.

## Swawolna kupa imć Żbikowskiego



a historia zaczyna się od kupy. Kupy. I do tego swawolnej. Tym mianem nasi staropolscy przodkowie nazywali oddziały wojska, które nieopłacone bądź niezadowolone z żołdu nie chciały się rozejść, trwały w gromadzie i plądrowały kraj. W XVII i XVIII wieku na hasło „kupa swawolna” ludzie barykadowali się w domach, miasta zamykały bramy, wojsko staowało w pełnej gotowości bojowej. Kupa swawolna stała się nieodłączną towarzyszką każdej wojny i jedną z plag epoki. Zwłaszcza podczas konfederacji barskiej, która - jak każda wojna domowa - doprowadziła do anarchizacji kraju.

Władze konfederacji zarówno na szczeblu generalnym, jak i lokalnym dążyły do zaprowadzenia w podległym sobie wojsku dyscypliny. Tymczasem bandy, korzystając z zamieszania w kraju, nie czuły się skępowane żadnymi odgórnymi nakazami i z upodobaniem łupiły zwłaszcza kupców protestanckich i żydowskich. Już w pierwszym roku konfederacji, zaniepokojony taką sytuacją Adam Stanisław Krasiński, jeden z jej przywódców, pisał do Józefa Pułaskiego: „hultaje nasi, pod pretekstem konfederatów domy szlacheckie najeżdżają, egzekwują, kontrybucjami agrawują; kogo tylko, czy kupca, czy Żyda, czyli też podróżnego po niemiecku ubranego, zabijają, obdzierają”.



W tym czasie na Krajnie grasował ze swą swawolną kupą niejaki imć Żbikowski, który wywodził się prawdopodobnie z Kujaw. Tam, uciekły z jezuickiego kolegium, przystąpił do konfederatów. „Był to - jak pisze Andrzej Kitowicz, autor „Pamiętników do panowania Augusta III i Stanisława Augusta” - chłopczyzna mały, szczupły, chuderlawy, włosów płowych z warkoczem, lat około szesnaście mający: serca był wielkiego, lubo sił z przyczyny lat młodych i z przyczyny kompleksy słaby”. Zbuntowawszy kilku konfederatów od regimentarza kujawskiego, „zmyślił sobie patent na rotmistrzostwo i ordynans do wybierania podatków, za pomocą których zrekrutował 50 koni dobrze oporzędzonych, z którymi chodząc po Krajnie i Pałukach tudzież nad granicą brandenburską, pukał wioski i miasteczka, osobliwie lutrów i kalwinów”.







Jak długo trwało owo „płukanie”, nie wiadomo. Pewnego dnia, a było to późną jesienią 1768 roku, ów Żbikowski, dowiedziawszy się, że „generał pruski w jednej wsi brandenburskiej, nad granicą polską leżącą, ma piękne rumaki na stajni, wpadł do niej i wziął mu kilka co najlepszych”.



Generał Beling, dowiedziawszy się o napaści i rabunku najcenniejszych wierzchowców, wpadł we wściekłość, bo jako huzar i dowódca pułku kochał konie, dlatego nie mógł ścierpieć, że utracił najcenniejsze z nich. Zarządził więc natychmiastowy pościg za rabusiami i osobiście poprowadził silny, liczący trzysta koni oddział. Miał prawo sądzić, że ściga nie byle jakiego przeciwnika, bo czyż słaby poważyłby się na tak zuchwałą kradzież?! Ślady prowadziły na południe, do Polski, ale granica nie stanowiła wówczas żadnej przeszkody dla obcych wojsk, bezkarnie przemierzających zanarchizowaną Rzeczpospolitą. Toteż gen. Beling przekroczył ją bez najmniejszych skrupułów.

Rabusiów dopadł w Gołańczy na Pałukach, dokładnie zaś w... karczmie, gdzie świętowali udany wypad do Prus. Zdążyli wprowadzić porwać za broń i stawić krótkotrwały opór, nawet położyli trupem jedenastu Prusaków, ale przewaga huzarów była miażdżąca i w rezultacie kilkudziesięciu obwiesiów powiązано postronkami, a gen. Beling odzyskał swoje rumaki. Natomiast Żbikowskiego „jako dziwotwora odwagi posłał królowi do Berlina, któremu przypatrując się król pruski nie chciał wierzyć łatwo, aby tak nikczemny chłopczyzna miał taką odwagę i do rabunku chciwość”.

Fryderyk II kazał odesłać chłopca do pułku Belinga z przeznaczeniem na podchorążego, ale Żbikowskiemu wcale się nie uśmiechały rygory pruskiej dyscypliny wojskowej. Napisał więc list do generałowej Skórzewskiej, „aby mu wolność od służby pruskiej wyrobiła jako potrzebującemu jeszcze szkolnej edukacji, z której uszedł, ale do której chce powrócić, żałując za popełnioną płochość swoją i smutek rodziców”. Generałowa Skórzewska, „dama polska w Berlinie przesiadująca, z rozumu wysokiego i wierszów gładkich, francuskich wielkie względy u króla pruskiego mająca”, uwierzyła w szczerzy żal szesnastoletniego młodzika i wyjednała mu zwolnienie.

Żbikowski, wróciwszy do Polski, już po paru miesiącach znowu dysponował oddziałkiem kilkunastu łotrzyków i jął z nimi „biegać po kraju”, łupić i rabować. Z konfederatami miał tyle wspólnego, że nie cierpiał innowierców i grabił ich na potęgę. Często pojawiał się na Krajnie, gdzie jego zła sława zataczała coraz szersze kręgi, aż wreszcie się doigrał.

Rozkaz pojmania jego swawolnej kupy otrzymał porucznik Bętkowski, który na czele pięćdziesięciu huzarów dopadł Żbikowskiego po dwutygodniowej pogoni w Bydgoszczy. Kiedy żołnierze Bętkowskiego wtargnęli do budynku, w którym się Żbikowski schronił, nie znaleźli go. Dopiero gdy zagrożono obiciem gospodarzowi obejścia, ten wskazał na dach, gdzie znaleziono Żbikowskiego, niemal wciśniętego w ... rynnę. Porucznik Bętkowski, „który sobie imaginował, że obaczy jakiego tęgiego draba, gdy obaczył chłopczynę ni w pięć, ni w dziewięć, naśmiawszy się do woli z niego, kazał mu dać po dziecięcemu różgami” i zawiózł do Poznania.

Żbikowskiemu wciąż jednak sprzyjało szczęście. Korzystając z chwilowego zamieszania, spowodowanego atakiem wojsk rosyjskich na konfederatów wielkopolskich, uciekł z aresztu. W 1770 znalazł się na służbie u regimentarza konfederacji wielkopolskiej Józefa Zaremby, gdzie się wslawił brawurowym pojmaniem jedenastu doświadczonych żołnierzy, mając do dyspozycji jedynie swój pistolet i kilku pachółków uzbrojonych w kije.

Jednak jeszcze raz odezwała się w nim zbójecka żyłka i - porzuciwszy służbę u Zaremby - ponownie zorganizował grupę podobnych sobie rabusiów, ale fortuna już mu nie sprzyjała. Wdał się w starcie z konkurencyjną kupą swawolną. Cięty w głowę przez jednego z łotrzyków, „marnie zginął, godzien lepszego losu i chwalebniejszej śmierci, gdyby jej był w polu marsowym, a nie po kątach szukał”.

Taką przygnębiającą refleksją kończy Andrzej Kitowicz opowieść o imię Żbikowskim - watażce, który zapisał niezbyt chlubną kartę w historii Krajny i całej Wielkopolski. A choć imienia jego nie znamy, a zachwałę czyny chwalebnyimi nazwać nie możemy, przecież pozwala nam zrozumieć czasy, ludzi i zdarzenia, które przyczyniły się do upadku Rzeczypospolitej.

## Bitwa o most



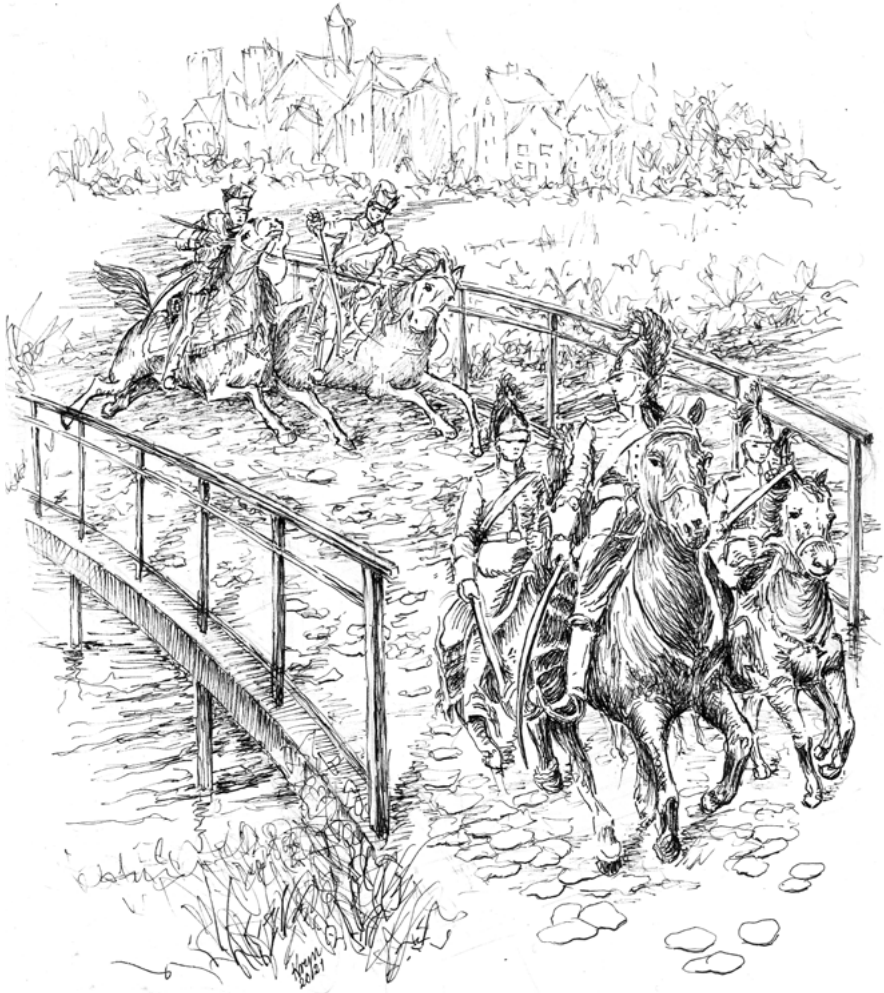
Porucznik Gebhard Leberecht von Blücher obudził się z potwornym kacem. Ze wszystkich sił starał się otworzyć oczy, lecz udało mu się to tylko z jednym. Lewa powieka go nie słuchała. Miał wrażenie, że w nocy głowa wypełniła mu się dziurawymi zębami, a z gnijących dziąseł sączy się ropa i od środka rozpuszcza szare komórki. W miarę możliwości chciałby się jeszcze odrobinię przespać. Jednak wiedział, że już nie uśnie. Zbyt źle się czuł, a ponadto za godzinę miał stawić się u swego dowódcy.

Zwlókł się więc z łóżka i spowolnionymi ruchami, typowymi dla człowieka skacowanego, zaczął ubierać się w mundur huzara - elitarniej wówczas w pruskiej armii jednostki lekkiej kawalerii. W głowie mu pulsowało, gdy wdziewał z trudem krótką, szamerowaną i obszytą barankiem kurtkę, wbijał się w obcisłe, cyfrowane rajtuzy i przepasał szabeltasem. Musiał skorzystać z pomocy ordynansa, by założyć tzw. węgierskie buty o obniżonej i miękkiej cholewie z wycięciem, zdobione chwastami. Wreszcie na obcisłą kurtkę zarzucił pelerynkę, zwaną mentykiem, a głowę przystroił wysoką czapką. Przejrzał się w lustrze i z satysfakcją stwierdził, że wygląda wspaniale, co na tyle poprawiło mu humor, że poczuł się znacznie lepiej. Wypił pełen kufel kwasu z kiszonych ogórków, który wieczorem przygotował mu ordynans, znający zwyczaje swego pana, po czym wyszedł na dziedziniec koszar w Słupsku.



Generał Wilhelm von Belling tolerował pijaństwo adiutanta tylko dlatego, że miał go za najzdolniejszego swojego oficera. Ale do awansu go nie przedstawiał, mimo że ten służył już pod jego rozkazami osiem lat, bo od 1760 roku. Liczył, że w ten sposób skłoni oficera do zreflektowania się i poważnego traktowania służby, że przestanie być bawidamkiem i hulaką. Dlatego też wezwał go do siebie, by powierzyć mu ważne zadanie bojowe.

Gdy Blücher wszedł do jego kwatery, generał przywołał go do leżącej na stole mapy, po czym wskazując na położone za Notecią terytoria Rzeczypospolitej, rozkazał:



- Weźmiecie, poruczniku, szwadron huzarów i będziecie patrolowali ten teren. - Tu wskazał na Krajnę i ziemię wałęcką.

Blüchera nie zdziwił ten rozkaz. Co prawda, formalnie rzecz biorąc, Prusy nie były stroną w konflikcie między konfederatami barskimi a Rosją, ale król pruski Fryderyk II wyraźnie rozkazał, aby nadgraniczne regimenty niemieckie wysyłały patrole w głąb polskiego terytorium, chroniły niemieckich kolonistów, a nawet znosiły napotykanne oddziały konfederackie. Ponadto miały osłaniać tych, którzy ulegając pruskiej propagandzie, opuszczali niespokojne obszary polskiego Pomorza, Krajny i Wielkopolski, aby wywędrować na Śląsk, wyludniony po wojnach prusko-austriackich.

Huzarzy świetnie się do tego zadania nadawali. Ich uzbrojenie stanowiła szabla – do walki zawieszana na temblaku, krótki karabinek kawaleryjski (bandolet), noszony po prawej stronie na bandolierze oraz para skałkowych pistoletów w olstrach. Jako wierzchowce służyły im niewielkie, lecz wytrzymałe konie o silnej budowie, ćwiczone do wykonywania w boju zwrotów bez udziału walczącego jeźdźcy. Huzarów wykorzystywano do patrolowania, szerszych działań rozpoznawczych, do pościgu i zaskakujących napadów. Większe zgrupowania zdolne były do dokonywania dalekich zagonów na terytorium przeciwnika. Tego właśnie od Blüchera oczekiwał jego dowódca.



W tym czasie na Krajnie pojawiały się oddziały konfederatów pod dowództwem dwóch rotmistrzów: Józefa Wyssogota Zakrzewskiego oraz Augusta Bończy Miaskowskiego. O tym drugim wiadomo, że służył wcześniej w chorągwi nadwornej ks. Piotra Sapiehy w Wieleniu i najprawdopodobniej za cichą zgodą samego księcia przeszedł na stronę konfederacji razem z 40 innymi husarzami i dowódcą wieleńskiej chorągwi - rotmistrzem Hieronimem Roszkowskim. Jako zastępca Roszkowskiego brał udział w rajdzie konfederatów po Krajnie.

Nie najlepiej zapisał się w pamięci mieszczan z Łobzenicy, których gnębił po tym, jak odmówili przysięgi na wierność konfederacji. W rejonie wałęckim Roszkowski i Miaskowski złupili dobra dwóch

panów von der Osten oraz spalili wsie Tarnówkę i Osówkę. W Jastrowiu za antykonfederackie kazania zapłacił głową miejscowy duchowny ewangelicki. Ekscesy te sprowokowały odwet Prusaków, którzy pod Chojnicami rozbili oddział konfederatów. Miaskowski uniknął niewoli i po wielu dramatycznych przeżyciach znalazł się w Puszczy Noteckiej u boku rotmistrza Zakrzewskiego, gdzie obaj próbowali odtworzyć silną grupę konfederacką. Pod koniec marca i na początku kwietnia raz po raz spotykali w rejonie Piły huzarów szwadronu por. Blüchera, ale do starcia nie doszło. Do czasu.

Na początku kwietnia rotmistrz Miaskowski natknął się pod Piłą na pruski pododdział, werbujący kolonistów na Śląsk. Wykorzystując przewagę liczebną, skonfiskował Prusakom 6 wozów z wywozonym mieniem. Ponieważ dowodzący konwojem oficer niemiecki usiłował stawić opór, Miaskowski go poturbował, ale ostatecznie wszystkich puścił wolno.

Na wieść o tym zajściu por. Blücher, zgodnie z otrzymanymi rozkazami, natychmiast ruszył pod Piłę. Odnalazł grupę Zakrzewskiego i Miaskowskiego niedaleko miasta, obok przeprawy przez Czernicę. 6 kwietnia 1770 roku oba oddziały stanęły naprzeciw siebie. Porucznik von Blücher dysponował podobno zaledwie 80 jeźdźcami. Natomiast polski oddział liczył 400 konnych i 7 oficerów.

Obaj konfederaccy rotmistrze, podochoceni ostatnimi sukcesami, zablokowali Prusakom przejazd przez most, nie przypuszczając, że Blücher wciąga ich w zasadzkę. Niespodziewanie bowiem natarł na konfederatów i okazało się, że dysponuje znacznie większymi siłami, niż pierwotnie ujawnił. Po krótkim boju rozbił konfederacki oddział, a obu rotmistrzów pojmał do niewoli i wysłał do Słupska. Fryderyk II kazał ich stamtąd przewieźć do Kostrzyna, gdzie przez 14 dni dla upokorzenia przykuci do tacek zostali zmuszeni do ciężkich robót, ale zwolnieni - natychmiast powrócili do konfederackich szeregów.

Tymczasem huzarzy Blüchera jeszcze przez pewien czas buszowali po Krajnie, najeżdżając między innymi Piłę, jednak historia milczy o szczegółach tych działań bojowych.



Rajd po Krajnie, a w szczególności potyczka pod Piłą ujawniły niezwykły talent dowódczy młodego porucznika, choć nie utemperowały jego charakteru. Wbrew nadziejom gen. Bellinga nie zaprzestał swawolić i mocno popijać.

Nic więc dziwnego, że dopiero w 1771 Blüchera awansowano, ale zaledwie do stopnia kapitana kawalerii. Gdy wniósł zażalenie, został ukarany kilkumiesięcznym aresztem. Wobec braku perspektyw rozstał się z armią. Ożenił się z siedemnastoletnią baronessą Caroline Amelie von Mehling i dzięki funduszom jej rodziców zakupił majątek. Rozpoczął życie ziemianina, ale nadal hulał, więc w niedługim czasie popadł w długi. Po śmierci Fryderyka Wielkiego powrócił do służby, a jego dalsza kariera wojskowa dowiodła, że był dla niej stworzony. Został marszałkiem, a podczas bitwy pod Waterloo tym, który walnie przyczynił się do klęski wielkiego Napoleona.



## Manufaktura Angielczyka w Pile



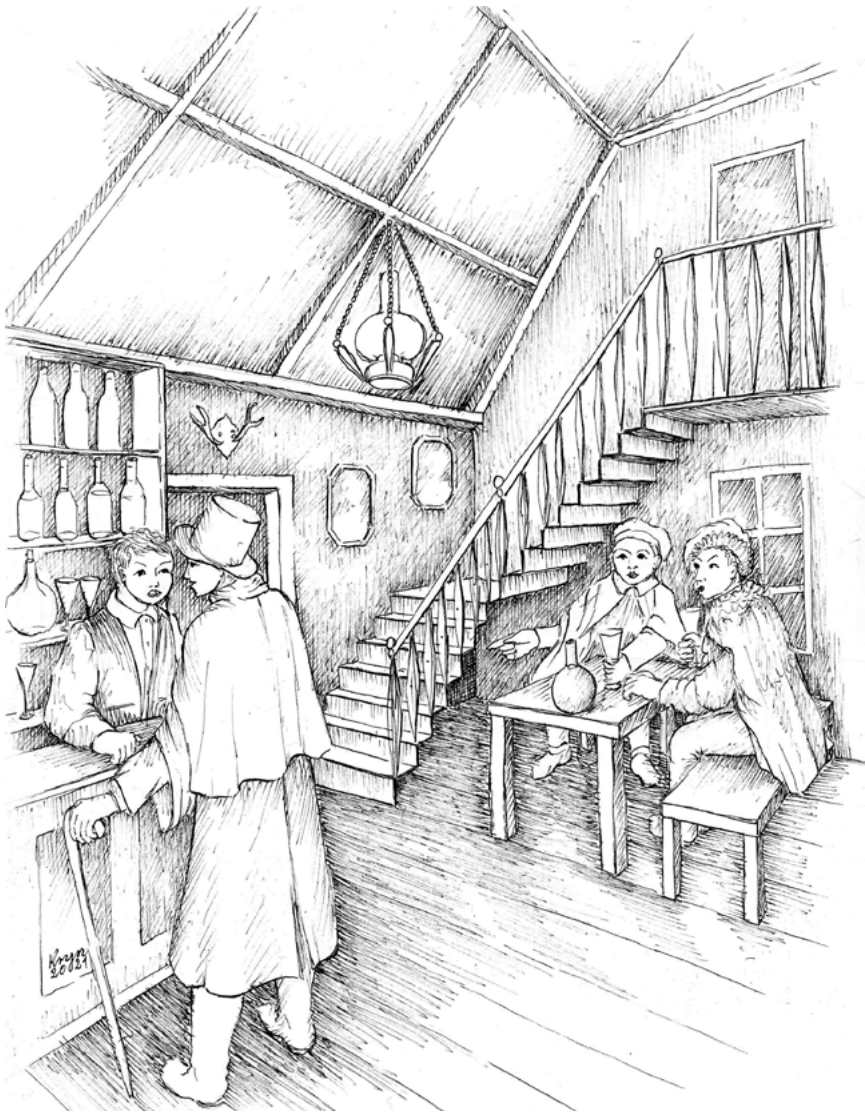
Był rok 1786. Czternasty rok panowania prusactwa w Pile. W zajeździe u kupca Neumana przy Starym Rynku było, jak zawsze zresztą po dniu targowym, rojno i gwarno. Już od kilkunastu dni krążyła po mieście wieść, że do Piły zjechał i u niego w zajeździe zamieszkał przybysz zamorski aż z dalekiej Anglii. Zasiadający zgodnie przy ławach mieszczanie polscy, niemieccy i żydowscy (tych ostatnich wówczas niewiele było, bo najbiedniejszych król w 1772 roku z Nadnotecia wyrzucić kazał) zawzięcie plotkowali o owym Angliku, którego tylko nieliczni znali zaledwie z nazwiska.

Wielu z tych, co w ów wieczór przyszli do Neumana, ściągnęło nie tylko dobre piwo, ale i nadzieja zobaczenia na własne oczy tego zamorskiego gościa. Bo różne rzeczy o nim opowiadano. Jedni kręcili głowami z niedowierzaniem i mówili:

- Po jakiego diabła niosło go aż z tak daleka?! Uwidziało się panu owe-mu Angielczykowi jakiś interes tu, w Pile, w garbarskim rzemiośle, założyć. A czemu to nie u siebie, tam w Anglii?! Chleb tutejszym tylko odbierze i ten marny zarobek.

Inni prawili ściszym głosem, że podobno skrzynię pieniędzy przywiózł. Wspólników tutaj w Pile szuka. I dodawali:

- Może ten Angielczyk wcale nie jest ani głupi, ani narwany, tylko dobrze sobie wszystko skalkulował. A że grosz gotowy pewnie ma, to i interes może rozkręcić. No bo jakżeby nie? W całej Pile jest ze dwa tuziny sukienników, kilku szewców, krawców i piekarzy, a garbarza nie uświadczysz. Wiadomo, garbarstwo miejsca i sprzętu potrzebuje. A na to pieniądź niemały mieć trzeba. A popyt na garbarskie wyroby jest. I to jaki! Szewcy muszą potrzebne im skóry z daleka sprowadzać. A ile tego dla wojska trzeba, odkąd tutaj nad Gwdą pruskie rządy nastały?! Stary Fryc na wszystkim każe oszczędzać i uczy moresu swoich poddanych, podatkami dusi, ale na armię grosza nie skąpi. Kto by tam zliczył, ile tym jego wojakom trzeba butów, tornistrów, rzemieni, pasów, uprząży, siodeł?! A toć to wszystko skóra. Surowca jest w okolicy pod dostatkiem. A ludziska, co głodem przez okrągły rok przymierają, za parę groszy się najmą. Byle robota była.



Rozprawiano tak zawzięcie i spierano, że nikt nie zauważył schodzącego schodami z pietra, gdzie pokoje dla gości były, rosłego mężczyzny, porządnie ubranego, rudego, z takimiż bokobrodami, który spokojnym krokiem do szynkwasu podszedł, gdzie dziś sam właściciel zajazdu królował. Słów parę po cichu z nim zamienił. Widać o coś pytał.

Wtedy gwar ucichł. Siedzący w zajęździe z zaciekawieniem, ale i z podejrzliwością lustrowali każdy szczegół stroju cudzoziemca, który odprowadzony spojrzeciami pijących piwo mieszczan, ruszył ku wyjściu. Ktoś usłużnie podbiegł do drzwi i przed gościem je uchylił. Gdy Anglik zniknął w wieczornym mroku, teraz dopiero szmer po izbie poszedł:

- Ani chybi, toż to on!



Przedsięwzięcie Johna Walliza, bo tak nazywał się ów Anglik, który w Pile postanowił rozwinąć swój biznes, powiodło się mimo nieufności czy wręcz niechęci miejscowych rzemieślników. On sam, pochodzący z Worcester koło Birmingham, przybył do Piły przez Gdańsk, gdzie czas jakiś bawił. Gdy pojawił się nad Gwdą, miał rzeczywiście pewien zasób kapitału, ale przede wszystkim dużo energii i pomysłowości oraz nie najgorsze rozeznanie w lokalnych stosunkach.

Zanim bowiem zjawił się w Pile, zaciągnął języka u znajomych kupców z Niemiec, z którymi od dawna handlował, a którzy w Pile bywali i znali dobrze sytuację miejscowych rzemieślników. Od nich to zapewne się dowiedział, że Piła, zwana już wówczas z niemiecka Schneidemühl, to wprawdzie niewielka miejscina, bo licząca zaledwie trochę ponad 1500 dusz, ale za to ludzi z rzemiosłem obeznanych.



Istotnie, początki rzemiosła w Pile sięgały XVI wieku, kiedy to jego dynamiczny rozwój spotęgowało nadanie miastu praw magdeburskich. W owym czasie własne, oddzielne cechy posiadali szewcy, krawcy, piekarze i sukiennicy. Potwierdzeniem są zachowane do dziś dokumenty, takie jak: przywilej króla Jana III Sobieskiego z 1676 roku dla piłskiego

cechu sukienników czy przywilej króla Augusta II o nadaniu praw cechowi piwowarów. W miarę jak rozwijało się miasto, przybywało rzemieślników różnych specjalności, a szczyt rozwoju rzemiosła pilskiego przypadł na pierwszą połowę XVII wieku. W tym czasie Piła miała swój browar i słodownię, bujnie rozwijało się sukiennictwo.

Wprawdzie początek XVIII wieku zahamował nieco rozwój miasta, a wpływ miały na to działania wojenne, przemarsze wojsk, pożary i inne klęski, ale w roku 1772, po I rozbiórce, znalazło się ono w granicach dobrze zorganizowanego państwa pruskiego, które w ramach germanizacji zabranych Rzeczypospolitej ziem prowadziło politykę, promującą niemieckich kupców i rzemieślników.

Panujący król Prus Fryderyk II Wielki bardzo pogardliwie wyrażał się o Polakach, szczególnie o polskiej szlachcie. Natomiast o zajętych terenach w czasie I rozbioru Polski pisał: „Nic w niej masz, prócz piasku, sosen, wrzosowisk i Żydów, tereny te zamieszkuje społeczeństwo doskonale głupawe, którego nazwiska kończą się na ski”. I dlatego otworzył szeroko wrota dla kolonizatorów niemieckich, którzy w czasie przyjazdu Anglika do Piły stanowili już ponad jedną trzecią mieszkańców miasta. Bogacący się Niemcy i biedniejsi Polacy to była szansa dla Anglika. Wśród tych pierwszych szukał i znalazł wspólników, a ci drudzy stanowili rezerwar taniej siły roboczej.

John Walliz liczył także na militarystyczną politykę Fryderyka II, która nakręcała koniunkturę dla robienia dobrych interesów w branży garbarskiej. Rychło znalazł jako wspólników paru miejscowych rzemieślników, jak Leopold Schwager oraz mistrz garbarski Winlder. Do spółki przystąpił także członek rodziny założyciela manufaktury, podówczas terminator garbarski, John William Walliz. Udało mu się również pozyskać życzliwe wsparcie magistratu, co zaowocowało udzieleniem przez tenże pożyczki w znacznej kwocie ok. 600 talarów.

Na Gwdzie, nazywanej wtedy Głdą, wybudowano specjalne urządzenia, wykorzystujące siłę rzecznej nurtu do poruszania „machin” (przede wszystkim pras). Rosła produkcja, a z nią i zamożność firmy. Towary, które zyskały dobrą renomę, nie leżały długo na składzie.

Produkty manufaktury „John Walliz i Spółka” rozchodziły się na odległe nawet rynki. Kupowano je nie tylko na terenie państwa pruskiego, ale także w Warszawie, Lublinie, ba, nawet nad Dunajem, w dalekim Budapeszcie.

Przez parę ładnych lat wszystko szło pomyślnie. Ale po jakimś czasie, w bliżej nieznanych okolicznościach, coś zaczęło się w interesach psuć. Wspólnicy, działający dotąd w miarę zgodnie, poczęli wieść spory, oskarżając się wzajemnie o nielojalność i nierzetelność. John Walliz, który podobno początkowo próbował łagodzić waśnie, znużony nimi, wycofał się ze spółki i przeniósł do Poczdamu. Inny wspólnik postąpił zgoła niegodnie: czmychnął potajemnie, zabierając znaczną część kapitału. To zachwiało dotkliwie pozycją firmy, na czele której pozostał już tylko Leopold Schwager, próbujący jeszcze podtrzymać chyłący się ku upadkowi interes. Ale było to coraz trudniejsze. Manufaktura wyraźnie podupadła. Powoli, lecz nieubłaganie nadchodził zmierzch z taką inwencją rozpoczętego onegdaj przedsięwzięcia. Koniec firmy „John Walliz i Spółka” przeszedł nie zauważony, bo nie odnotowały tego żadne kroniki.

Tymczasem miejscowi rzemieślnicy, choć zostali pozbawieni nadanych im jeszcze w Rzeczypospolitej uprawnień, poradzili sobie. Restrykcje pruskie zahamowały wprawdzie rozwój dominujących na początku powstania miasta branż rzemiosła, ale jednocześnie spotęgowały rozwój innych. Bujnie rozwinęło się garbarstwo, tak niefortunnie zainicjowane przez manufakturę Johna Walliza, produkcja wyrobów tytoniowych oraz koronkarstwo – z czego to ostatnie stało się specjalnością Piły, czyniąc z niej ewenement na skalę ówczesnego zaboru pruskiego.

## Po przeciwnych stronach barykady



Byli jak dwie strony tej samej karty. Obaj pochodzili z znacznych rodów szlacheckich. Jako oficerowie służyli w tym samym czasie w pruskiej armii, choć wiodły ich do niej odmiennie drogi. Obaj byli kawalerzystami - zagończykami. Obaj wreszcie brali udział w wojnach napoleońskich, zasłużywszy się tak bardzo, że znaleźli się w panteonie narodowych bohaterów. Czy się kiedykolwiek spotkali? Nie wiadomo, ale wiedzieli o sobie niemal wszystko. Los bowiem zetknął ich na Krajnie w 1807 roku. Był to wojenny los. Znajdowali się po przeciwnych stronach barykady.



Ferdinand Baptista von Schill urodził się w zniemczonej rodzinie polsko - czeskiej i od dziecka ojciec uczył go jazdy konnej oraz fechtunku. Naukę rozpoczął we Wrocławiu, ale mając 14 lat, zaciągnął się jako podchorąży do elitarnego pułku dragonów na Pomorzu. W 1793 został mianowany podporucznikiem. W 1806 walczył wraz ze swym pułkiem pod Auerstedt, gdzie został ranny. Wykazywał wybitne zdolności organizacyjne i umiejętność prowadzenia walk podjazdowych.



Wielkopolanin Franciszek Garczyński był synem generała i adiutanta króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Przeznaczony do służby wojskowej, był - jak podają współczesne mu źródła - urodziwy, ale charakteru niezgodnego i niezdiscyplinowanego. Inni piszą wprost o jego kłótności. W 1794 roku jako rotmistrz pułku kawalerii narodowej wziął udział w insurekcji kościuszkowskiej w Wielkopolsce. Za uczestnictwo w powstaniu nałożono na niego karę grzywny, którą prawdopodobnie umorzono za wstąpienie do armii pruskiej, gdzie Garczyński dosłużył się stopnia majora.



Nadszedł pamiętny dla Wielkopolan, a przełomowy w życiu Schilla i Garczyńskiego rok 1806. 1 października, ufając potęgze swej armii,







król pruski Fryderyk Wilhelm III ośmielił się zagrozić Napoleonowi Bonaparte. Zażądał w ultymatywnej formie wycofania wojsk francuskich za Ren. I drogo za to zapłacił. „Bóg wojny” potrzebował ledwie dwóch tygodni, żeby rozgromić pruską armię i położyć na łopatki pruską monarchię. Uciekając przed nim, Fryderyk Wilhelm III odetchnął dopiero w Kłajpedzie pod opieką cara Aleksandra I.

27 października 1806 roku Napoleon wkroczył do Berlina, równo miesiąc później pułki francuskie wmaszerowały do Warszawy, a Polacy, choć niejednomyślni w ocenie intencji Bonapartego, spontanicznie przystąpili do obalania pruskiej władzy. „Nigdy nie widziałem narodowego ducha wyrażonego z taką siłą” - pisał o polskich nastrojach jeden z napoleońskich marszałków.

Prusacy wszakże starali się utrzymać w kluczowych punktach okupowanego przez Francuzów państwa. W twierdzy kołobrzeskiej zamknął się silny garnizon wspierany przez partyzantkę pruską na Pomorzu, działającą w ramach korpusu ochotniczego (freikorpusu), zorganizowanego przez pierwszego z naszych bohaterów, już wówczas majora, Ferdinanda Schilla. Tak zwani „schillowcy” siali strach i pustoszyli Pomorze oraz Nadnotecie, grabiąc i mordując mieszkających tam Polaków.

Oprócz oddziałów francuskich, które wkroczyły na Pomorze, pojawiły się tam też wojska polskie pod dowództwem gen. Jana Henryka Dąbrowskiego. Z troską i niepokojem odbierał meldunki o aktywności „schillowców” na Krajnie. Aby temu zaradzić, postanowił wysłać w ten rejon polski szwadron — załążek tworzącego się 2 Pułku Strzelców Konnych - dowodzony przez płk. Franciszka Garczyńskiego.

Pułkownikowi Garczyńskiemu odpowiadała perspektywa rajdu kawaleryjskiego przez Krajnę, możliwość swobodnego dysponowania podległym sobie szwadronem i szansa na błyskotliwy sukces bojowy, czego się spodziewał, bowiem partyzanci nie mieli szans w starciu z polskimi ułanami. 22 stycznia w Bydgoszczy otrzymał z rąk gen. Dąbrowskiego rozkaz oczyszczenia Krajny z pruskiej partyzantki, po czym następnego dnia ruszył w stronę Nakła. Marszruta obejmowała Piłę, Wałcz, a później Szczecinek, ale Garczyński rychło się zorientował, że należy omijać główne trasy, którymi maszerowali wcześniej

Francuzi, „bo po nich idąc, nie byłoby co jeść”. 25 stycznia polscy ułani weszli do Łobżenicy, skąd pułkownik Garczyński wysłał do Bydgoszczy pierwszy raport, donosząc, że wciąż spotyka dezertersów z armii pruskiej, zabiera ich, konfiskuje broń, której „po wsiach bardzo wiele”, wszystkie kasy podatkowe odsyła do Bydgoszczy, a z dezertersów - Polaków sformował oddział strzelców pieszych i konnych pikinierów, który wciąż się rozrastał. 27 stycznia rano ułani Garczyńskiego opuścili Łobżenicę, by wieczorem stanąć w Pile.

2 lutego byli już w Wałczu, skąd w nocy ruszyli śpiesznie do Wieleńca na usilne prośby tamtejszej rady miejskiej, przerażonej grasującą w pobliżu grupą „schillowców”. Ponieważ supliki kierowane do niego przez polską ludność Krajny nie ustawały, Garczyński poprosił gen. Dąbrowskiego o pomoc, bowiem jego siły były za szczupłe, aby je dzielić i wysyłać do wszystkich miejscowości, które się o to zwracały. W rozkazie z 5 lutego 1807 r. gen. Dąbrowski przydzielił płk. Garczyńskiemu dodatkowych 130 kawalerzystów, jednocześnie podporządkowując jego oddział gen. Kosińskiemu i nakazując opuszczenie Krajny. Po odejściu ułanów Garczyńskiego „schillowcy” wyraźnie się ożywili, co zaniepokoiło Francuzów, zmuszając ich do umieszczenia na Krajnie własnych garnizonów.

W kilka lat potem klęska Napoleona w Rosji spowodowała upadek Księstwa Warszawskiego i wycofanie wojsk polskich z tego rejonu. Ale w Pile, Tucznie, Łobżenicy, Wałczu i innych miasteczkach długo jeszcze opowiadano o rogatych czapkach polskich ułanów i piechurów, którzy pojawili się tu zimą i wiosną 1807 roku.



A jak potoczyły się losy naszych bohaterów? W kwietniu 1808 Ferdinand von Schill został dowódcą pułku huzarów, złożonego z byłych kawalerzystów jego freikorpsu, po czym pod pretekstem manewrów opuścił Berlin i zaczął wojnę partyzancką. Początkowo powstanie, które zainicjował, odnosiło sukcesy. Opanował Dessau i Halle. W rok później oddziały napoleońskie, złożone z Holendrów i Duńczyków, rozbiły partyzantów Schilla w Stralsundzie, a on sam zginął w walkach

ulicznych. Zwłokom Schilla odcięto głowę, którą Holendrzy zawieźli do Kassel, by odebrać wysoką nagrodę (10 tysięcy franków), wyznaczoną przez króla Westfalii Hieronima Bonapartego. Następnie głowa przechowywana była na Uniwersytecie w Lejdzie w Holandii i powróciła do Prus dopiero w 1836, aż w końcu została uroczystie pochowana pod pomnikiem w St. Leonhard w Brunszwiku, wystawionym dla upamiętnienia powstania von Schilla.



Rozkaz opuszczenia Krajny rozczarował płk. Garczyńskiego i 11 lutego w Człuchowie wystąpił o zwolnienie ze służby. Zanim jednak odszedł z linii, zdążył zasłużyć się dla Polski. Zniszczył oddział pruski w Szczecinku, brał udział w oblężeniu Gdańska i przeżył chwilę chwwały podczas walk o Słupsk, bo - jak podają źródła - oddział Garczyńskiego miał jedynie pozorować walkę, aby odwrócić uwagę obrońców od głównego szturmu. Tymczasem to właśnie Garczyński ze swymi żołnierzami wdarł się do miasta, przechylając szalę zwycięstwa na stronę Polaków.

Po uzyskaniu dymisji płk Garczyński został komendantem garnizonu w Rawiczu i posłem na sejm Księstwa Warszawskiego z powiatu krobkiego. Umarł w 1812 r. Jego zasługi dla naszego regionu nie zostały zapomniane. W grudniu 2019 roku 104 Batalionowi Logistycznemu Ziemi Wałeckiej w Wałczu nadano imię płk. Franciszka Garczyńskiego.

## Heretyk z Piły



siądz Jan Czerski lubił kobiety. Z wzajemnością. Był młody, przystojny i silny, a natura wyposażyło go w...jurne libido oraz umiejętność pozyskiwania sobie ludzkiej sympatii. Miał charyzme, choć nie zawsze wykorzystywał ją tak, jak na katolickiego księdza przystało.

W marcu roku 1842, mając 29 lat, uzyskał wyższe święcenia kapłańskie i został powołany na wikariat tumski w Poznaniu. To był przydział, który otwierał przed nim szeroko wrota do kościelnej kariery. Stało się jednak zgoła inaczej.

Po wyświęceniu Czerski udał się w rodzinne strony na Kociewiu, skąd po kilkunastodniowych wakacjach powrócił do Poznania z szesnastoletnią panną Teklą Sołecką. Dziewczyna zamieszkała u młodego wikarego, co wzbudziło sensację wśród parafian i gniew przełożonych. A i opiekunowie dziewczyny domagali się coraz natarczywiej od Czerskiego, aby odesłał ją do domu. Gdy ten nie odpowiadał, rodzina wysłała po pannicę „furmankę”. Dziwnym trafem ową „furmankę” zabrała się do Poznania kolejna młódka - Marianna Gutowska, daleka krewna Czerskiego - „niewiasta uderzającej urody”. I ona także, wymieniwszy się z panną Teklą, zamieszkała u księdza Czerskiego.

Tego już było za wiele! Zgorszenie i oczywisty skandal! Przełożeni młodego kapłana postanowili zareagować zdecydowanie, tym bardziej że panna Marianna urodziła niebawem dziecko. Sprawą zajęła się „komisja konsystorska”, powołana przez kurię biskupią w Poznaniu. Zażądano do Czerskiego usunięcia Gutowskiej (z dzieckiem) z plebanii, udzielając kapłanowi surowego upomnienia. Bez skutku. Czerski w odpowiedzi umieścił zuchwałą dygresję, że „odtąd konsystorz ma mu prowadzić gospodarstwo domowe”. Była to oczywista bezczelność. I miarka się przebrała. W lutym 1844 roku zapadł kościelny wyrok: pięć dni pobytu na „pokutnych” rekolekcjach w Osieczynie i „karne” przeniesienie do Piły, do kościoła św. Janów. Czerski wyjechał do Piły, ale z Gutowską i jej dzieckiem się nie rozstał.





Piła trzęsła się od plotek. Katoliczki chętnie rozprawiały o urodziwym wikarym i garnęły się do konfesjonału, gdy spowiadał. Był, jak powiadano, wyrozumiały, kiedy dzieliły się z nim pikantnymi szczegółami pożycia małżeńskiego. Matrony z kolei nie kryły zgorzienia osobą gospodyni księdza i jej dzieckiem podobnym jak kropla wody do wikarego. Natomiast wierni byli skołowani. Czerski potrafił wszak zachwycić swymi kazania-  
mi, ale słowo, które głosił, daleko odbiegało od tego, do którego przywykli.

Nie mogli bowiem wiedzieć, że ich kapłan należał już od czasów szkolnych do niepokornych teologów i biblistów. Prowadził tak zażarte dysputy ze swoimi profesorami, że usunięto go karnie ze szkoły w Chojnicach, a w seminarium dał się poznać jako wytrwały badacz i autor referatów na temat interpretacji Biblii. Był cichym sympatykiem niemieckich teologów, Antona Theinera i Johanna Rongego, głosicieli idei katolickiego Kościoła niemieckiego, co wielu uznawało za herezję.

Po przyjeździe do Piły, gdy relacje między nim a kurią stawały się bardzo napięte, w kazaniach począł coraz śmielej krytykować wyższe duchowieństwo oraz stosunki panujące w Kościele katolickim. Te wystąpienia wzbudziły wśród wiernych zrozumiałą sensację. Jedni się dziwili, inni oburzali, jeszcze inni słuchali buntowniczych oracji kapłana z rosnącym zainteresowaniem. Nie bez oczywistej satysfakcji poczynania Czerskiego obserwowali duchowni ewangeliccy i lokalne władze pruskie. Polski duchowny katolicki, atakujący publicznie kościelną hierarchię, głosił bowiem bliskie im poglądy. Gdy więc Czerski zaatakował ówczesnego papieża oraz podstawowe doktryny katolicyzmu, poznańska kuria wykluczyła go z Kościoła i ogłosiła apostatą.



Zbuntowany kapłan nie złożył broni. Najpierw ożenił się ze swą ukochaną Marianną, a potem ... założył w Pile własny Kościół. Jego początki były skromne. Jak odnotował kronikarz: „czytał mszę w języku niemieckim w mieszkaniu swym u Żyda Mendla”. Na czele „gminy”, która rychło została formalnie zarejestrowana, stał mieszczanin, niejaki

Saenger. Jan Czerski natomiast pełnił rolę jej rzeczywistego przywódcy, „proroka” oraz ideologa. W listopadzie roku 1844 wspólnota liczyła około 30 osób, w styczniu roku następnego w Pile było 36 członków i 17 poza miastem (w tym „dwóch majorów wojsk pruskich”). Nie były to owe rzesze wyznawców, które w swej wyobraźni widział ambitny „prorok”. Ale już w latach następnych liczba członków wspólnoty i jej zasięg terytorialny wzrosły znacznie.

Wpływ na to miała coraz bliższa ewangelikom doktryna Czerskiego. Między innymi proponował on odrzucenie celibatu, spowiedzi poprzez księdza, postu, odpustu i kultu relikwii. Kwestionował dogmaty o istnieniu czyśćca, o pośrednictwie świętych na drodze do zbawienia. Domagał się wprowadzenia do liturgii w miejsce łaciny języka ojczystego.

Dzięki swej charyzmie „heretyk z Piły” pozyskiwał członków, a także - co było rzeczą nader ważną - fundusze w różnych częściach Niemiec i na ziemiach zaboru pruskiego. Jego zwolennicy znajdowali się w dużych ośrodkach miejskich, takich jak: Berlin, Oldenburg czy Królewiec. Na ziemiach polskich zaboru pruskiego grupy wyznawców Czerskiego powstały w Poznaniu, Bydgoszczy, Toruniu, Gdańsku, Grudziądzu, Nakle, Rawiczu, Swarzędzu, Rydzynie, Wschowie, Lesznie, no i oczywiście w Pile, która stała się niejako „Rzymem” dla wyznawców nowej religii. W szczytowym okresie liczbę wyznawców szacowano na kilka tysięcy. Wieść o heretyku z Piły rozeszła się po całej Europie.



Jest rzeczą oczywistą, że w tej sytuacji Kościół katolicki nie pozostawał bierny. W lutym 1845 roku ukazała się odezwa kurii na temat herezji Czerskiego, ekskomunikując przywódcę i jego zwolenników. Sprawa w owym czasie dla Wielkopolan na ziemiach zaboru pruskiego wyglądała dość niepokojąco. Wprawdzie większą część zwolenników Czerskiego stanowili Niemcy, ale nie brakowało także Polaków. Nic dziwnego więc, że przybycie ks. Czerskiego do Poznania (28-29 lipca 1845) wywołało rozruchy religijne.

Gdy pojawił się na Starym Mieście, tłum kobiet obrzucił go kamieniami, a na ulicy Wodnej jeden z szewców wystrzelił z broni palnej



w powietrze. Policja próbowała rozpedzić demonstrację. Doszło do bijatyki z polską młodzieżą. Dopiero interwencja oddziału wojska czasowo uspokoiła sytuację. Czerskiemu udało się schronić w domu nieznanego duchownego protestanckiego.

Następnego dnia rano wygłosił kazanie w kościele Świętego Krzyża na Grobli. W tym samym czasie z katedry wyruszyła ku farze procesja złożona z kilku tysięcy katolików. Prowadził ją arcybiskup Leon Przyłuski. Czerskiemu udało się przedostać do urzędu pocztowego, skąd wyjechał do Piły. Na ulicy Wodnej tłum zaatakował eskortę hereetyka, doprowadzając do kolejnej fali zamieszek. Z odwachu przybył po raz drugi oddział wojska i doszło do bitwy na kamieniu oraz bagnety. Rozruchy trwały do wieczora i samoistnie wygasły. Nikt nie zginął, kilka osób zostało rannych.



Po 1860 roku ruch religijny Czerskiego powoli zanikał. Sam Czerski ograniczył swoją działalność do wykładów i „agitacji na rzecz związków wolnoreligijnych”. Kiedy zmarł 22 grudnia 1893 roku w Pile, właściwie niewiele już o nim i jego działalności pamiętało. Został pochowany na cmentarzu, który przed laty przydzielono jego gminie przy Berlinerstrasse (dzisiejsza al. Wojska Polskiego).

## Wyspa polskości



ostań! Musimy porozmawiać - nauczyciel Maks Sell wskazał ręką Józka Morzewskiego.

- Tak jest! Proszę pana - chłopiec pobrał i kolana się pod nim ugięły. Wiedział, co to znaczy. Dostanie wciiry. W myślach robił rachunek sumienia: „Co takiego mogłem zrobić?”

Gdy zostali sami, Sell z zaciśniętą pięścią doskoczył do ucznia i wrzasnął:

- Co mówić do ciebie ksiądz, gdyś mu wczoraj wino do mszy świętej podawał?

- Nic - odpowiedział chłopiec, gdyż faktycznie nie pamiętał, aby proboszcz miał cokolwiek do niego powiedzieć. Na to otrzymał uderzenie w twarz z całej siły. Zatoczył się w tył, usłyszał dzwonięcie w uszach i jasność zabłysła mu w oczach.

- Prosto stać! - huknął nauczyciel i powtórzył pytanie. - Co ten klecha z wami knuje?

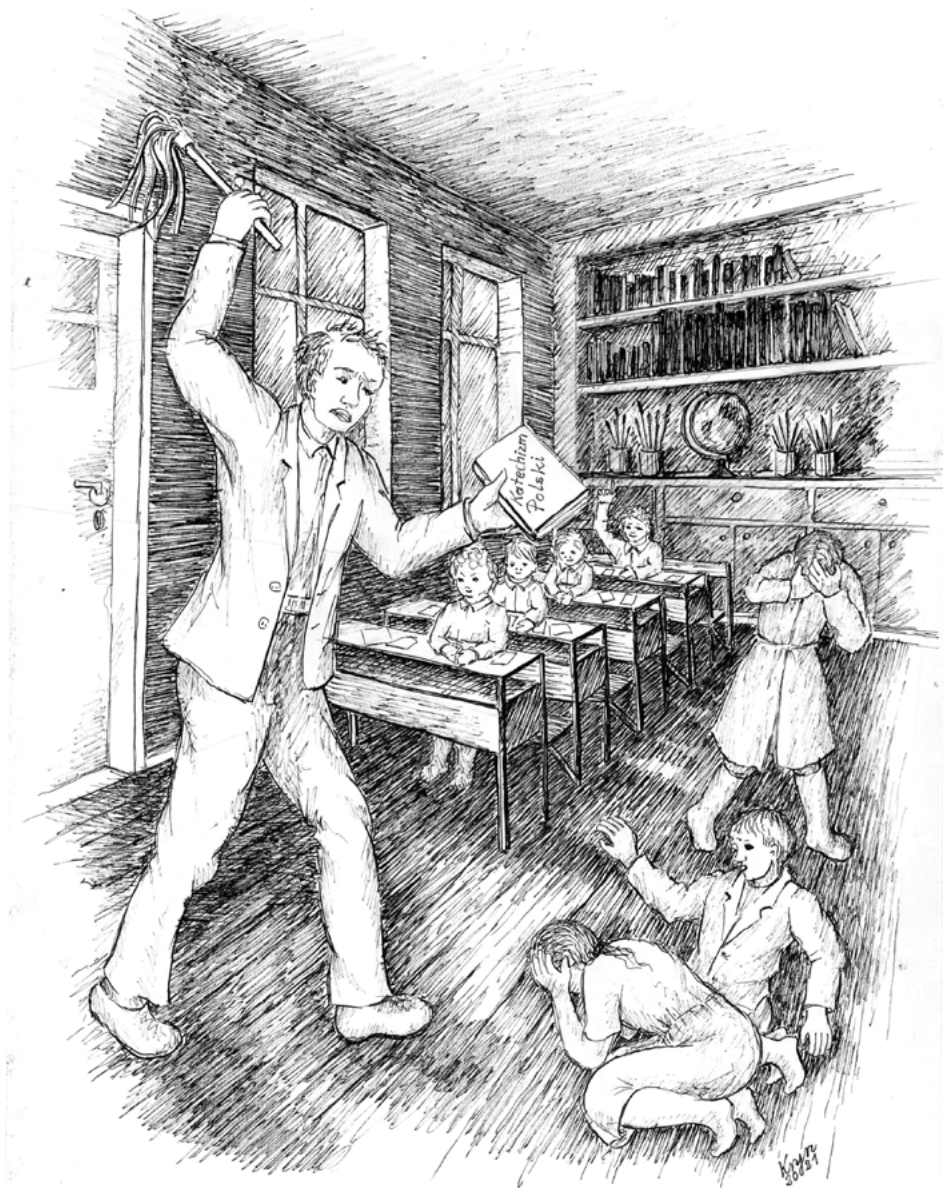
Józek znów odrzekł, że nic i otrzymał drugą ręką potężny cios w policzek oraz dodatkowe uderzenie pięścią w głowę. Tak go tarמושząc na wszystkie strony, przekonał się nareszcie nauczyciel, chłopiec nic mu powiedzieć nie może. Opamiętał się i puścił go do domu.

Scena ta rozegrała się pod koniec dziewiętnastego wieku w szkole w Morzewie, a opisał ją Józef Morzewski w książce pt. „Wyspa”.



Maks Sell był nauczycielem sadystą, co pod koniec XIX wieku nie było w pruskim zaborze czymś niezwykłym. Nienawidził Polaków, a zwłaszcza ich dzieci, z których miał zrobić Niemców. Była to syzyfowa praca, co tylko potęgowało jego niezdrowe skłonności.

Pochodził z rodziny mieszanej, polsko-niemieckiej, rodem z okolic Budzynia. Ojciec jego, z zawodu stolarz, był katolikiem, a matka luteranką. Rodzeństwo Maksa prowadziło się nienagannie, on zaś został „misjonarzem intencji pruskich, którym zostało obdarzone Morzewo w 1883”, gdzie objął stanowisko pierwszego nauczyciela w tamtejszej szkole.



Niedługo po objęciu swego urzędowania Sell z błahej przyczyny pobił siedmiolatka tak dotkliwie, że tenże obłożnie się rozchorował. Lekarz stwierdził wewnętrzne obrażenia. Wskutek tego władze szkolne zdecydowały się zdegradować nauczyciela-oprawcę. Sell wszakże „gadziniową obłudą otumanił kilku członków dozoru szkolnego, obiecując solennie poprawę”. Niebawem mieli jednak mieszkańcy wsi gorzko pożałować owej dobroduszości.

Największą zawziętością pałał Sell wobec dzieci tych rodziców, którzy brali czynny udział w życiu narodowym. Nie mogąc przeciwstawić się dorosłym, mścił się na ich potomstwie, a z braku powodu do katowania sam stwarzał ku temu sposobność.

Jeśli chodzi o ubiór szkolny, Sell wydał szereg surowych przepisów. Na przykład chłopcom wolno było przychodzić do szkoły w stroju z białym kołnierzykiem. Pewnego razu 12-letni Bronisław Kozłowski, mając obrzękłe gardło, pojawił się w szkole z chustką na szyi. Sell wpadł w szał. Porwał się na chłopca, pochwyił za oba końce chustki, zacisnął ją mocno na szyi, uniósł całego w górę i, potrząsając nim, rzucił go na ławkę. Uczeń upadł bezwładnie, a koledzy musieli odprowadzić go do domu. Trzy dni potem zmarł.

Żadne śledztwo sądowe w tej sprawie się nie odbyło. Przeciwnie, nauczyciele z charakterem Sella cieszyli się opieką rządu pruskiego. Otrzymywali dodatkową gratyfikację finansową, tzw. Ost-markenzulage, ponieważ „sam jeden Niemiec musiał walczyć z ludnością całej wsi”. Zażalenia, wnoszone przeciwko niemu do władz szkolnych, pozostawały bez skutku, bo Sell umiał zawsze przedstawić siebie jako ofiarę szykan polskich. Jego sadystyczne skłonności dzieci morzewskie musiały znosić przez 30 lat.



W ówczesnej wyobraźni Polaków z zaboru pruskiego, poddanych intensywnej germanizacji, stały naprzeciw siebie dwa żywioły: ksiądz katolicki, mówiący językiem ojczystym, a z drugiej strony landrat pruski, luteranin - Niemiec. Księża byli więc naturalnymi przywódcami ludu wiejskiego. Stąd nienawiść Sella do miejscowego proboszcza, która niekiedy przyjmowała karykaturalne formy.

Bywając z obowiązku na nabożeństwie niedzielnym, zauważył raz Sell, że żona jego złożyła ofiarę kwestującemu na potrzeby parafii kościelnemu. Po gwałtownej rozmowie wywiedziało się w domu, że ofiara wynosiła 10 fenigów. Skierował więc Sell do ks. Leona Klarowicza ostry list, w którym domagał się, aby zwrócono mu ową kwotę, gdyż żona nie była rzekomo uprawniona składać ofiarę z jego zarobku. Wietrzył też ciągle pan nauczyciel jakieś podstępne knowania przeciwko sobie ze strony proboszcza; niewinni uczniowie zaś stawali się ofiarami jego bzdurnych domysłów.



Ksiądz Leon Klarowicz otrzymał parafię w Morzewie w roku 1871 i sprawował swą posługę przez ponad 40 lat. Był przeciwieństwem Sella. Skromny, nie lubił rozgłosu, nie wysuwał się nigdy na pierwsze miejsce w życiu publicznym, ale chętnie podrzucał innym pomysły. Doradzał i pochwalał, we wszystkim się orientował, ale nikt nie widział go działającego. Mimo to ludzie wiedzieli, iż utrzymanie polskości w całej okolicy było jego zasługą.

Proboszcz udzielał osobiście wszystkim dzieciom nauki przygotowującej do pierwszej komunii, przy okazji douczając biegle czytać i pisać po polsku. Te, które były pod tym względem w domu zaniedbane, otaczał ksiądz osobnym staraniem, dopóki nie nabrały również zamiłowania do mowy ojczystej. Młodzież tak przygotowana nie zapierała się później ani swej religii, ani też swej narodowości.

Był ksiądz Leon również miłośnikiem śpiewu i muzyki. Chór kościelny pod kierunkiem organisty wykonywał nie tylko kościelne, ale i patriotyczne utwory. Miał też proboszcz bogatą bibliotekę polskich dzieł klasycznych, które chętnie wypożyczał. Działo się tak do czasu, gdy w Morzewie, Rzadkowie i Dziembowie powstały filie Towarzystwa Czytelni Ludowych.

Z inspiracji proboszcza odbywały się corocznie przedstawienia teatralne, żywym słowem i obrazem przemawiające do wyobraźni tych ludzi, którzy „na pisane słowo patriotyczne reagować jeszcze nie byli w stanie”. W Morzewie, w ogrodzie pod namiotem, odegrano „Obronę

Trembowli”. W Dziembowie zaś w podobnych warunkach wystawiono „Genowefę”. W 1894 roku z okazji stulecia insurekcji kościuszkowskiej młodzież morzevska odtworzyła obraz przysięgi na rynku w Krakowie.

„Poczęto więc - wspomina Józef Morzewski - z zapalem szyc mundury historyczne, wyrabiać stroje narodowe, szable, kosy itp. przybory. Wszystko, co było potrzebne do urządzenia widowiska, wykonano własnym kosztem i pomysłem. W wyznaczony dzień zjechali się goście nawet z dalszych okolic. Po wyczerpaniu okolicznościowych występów nastąpiło o zmierzchu wieczornym przy świetle ogni bengalskich przedstawienie obrazu, które sprawiło niezatarte wrażenie na wszystkich widzach. W ogrodach na środku wsi występowała i konnica, i wojska liniowe oraz kosynierzy. Zamiejscowi goście dopytywali się, skąd wzięto tyle kostiumów na to widowisko, a skoro dowiedzieli się prawdy, podziw ich dla odtwórców nie znał granic. Występ ten utrwalił na stałe poczucie narodowe w wiosce”.



Morzevska parafia była czymś wyjątkowym. W przeciwieństwie do wielu innych nie poddała się fali germanizacji. Wokół niej niemczyzna czyniła stałe postępy. Rodzice, mówiący do swych dzieci po polsku, dostawali niekiedy od nich odpowiedź: „Geh doch, Mutter, mit deinem ewigen Polnisch” („Daj spokój, matko, ze swoją wieczną polszczyzną”). W Morzewie i okolicy też istniał surowy nakaz, aby dzieci zarówno w szkole, jak i po drodze do niej używały pomiędzy sobą tylko języka niemieckiego. I choć za rozmowę po polsku czekała uczeniów chłosta, przecież żadne dziecko z morzevskiej parafii z własnej woli nie odezwało się do drugiego po niemiecku. Na obszarze tym, 15 kilometrów długim i 5 kilometrów szerokim, nie poczyniła niemczyzna postępu ani o krok. Nazwali przeto Niemcy to miejsce „polską wyspą”. Rzeczywiście, mieszkająca tam ludność polska była otoczona jakby morzem niemczyzny i na pograniczu Niemiec nie było drugiej takiej okolicy.

## Studnia nieszczęścia



a początku był strach. Strach przed chorobą o wiele bardziej groźną niż te, które dziś znamy - strach przed cholera. Zagrożenie epidemią sprawiło, że w 1892 roku ówczesne niemieckie władze Piły zarządziły zbadanie stanu sanitarnego miejskich studni. Wyniki okazały się fatalne. Wiele z nich skażonych było bakteriami. W tej sytuacji postanowiono dokonać odwiertu nowych studni artezyjskich. Wiercenia podjęto w wybranych punktach miasta. Prowadzili je doświadczeni i biegli w swoim fachu studniarze z firmy Hutha, piłskiego przedsiębiorcy.



Pogodny, wiosenny dzień 1893 roku. Na jednej z posesji przy ulicy Małej Kościelnej (w rejonie obecnej al. Piastów) studniarze powoli kończyli pracę. Minęło południe, wkrótce fajrant i przerwa w robocie do poniedziałku. Majster, kierujący pracą, był zawiedziony. Spodziewał się, wnioskując z głębokości wiercenia i zawartości pobieranych próbek, że już powinni osiągnąć wodonośne złożo. Trudno! Trzeba będzie zaczekać jeszcze dzień czy dwa

Nagle okrzyk jednego z wiertaczy zasygnalizował, że dzieje się coś, na co czekali od szeregu dni.

- Woda! Jest woda!

Majster podbiegł do odwiertu, gdzie już skupili się robotnicy. Ale cóż to? Wokół otworu, zabezpieczonego rurą, grunt zaczął falować, zapadać się i nagle - nim zdołano podciągnąć wiertło w górę - trysnął ku niebu z ogłuszającym łoskotem potężny słup żółtoburej wody. Bił ku górze, wypychany ogromną siłą na wysokość wielu metrów, wyżej niż dachy okolicznych domów.

Wiertacze cofnęli się zaskoczeni. Wokół poczęli gromadzić się przypadkowi przechodnie. Upływały minuty, a ta niebywała erupcja dziwnej cieczy nie słabła. Przeciwnie, zdawała się przybierać na sile, rosnać ku górze i wszcz.

Majster, doświadczony studniarz, obserwował bijący ku niebu żółtawy słup z rosnącym niepokojem. Nigdy dotąd, choć nie mało już





studni wywiercił, nie spotkał się z takim zjawiskiem. A to, co tryskało z głębi odwiertu, nie było z całą pewnością wodą, której szukali. Gdy przyniesiono wypełnione nią wiadro, nie było wątpliwości. W naczyniu znajdowała się mętna, gęsta, żółtobrunatna mieszanina wody, piasku i łu.

Tymczasem wokół odwiertu tworzyły się wielkie, błotne kałuże i strumieniem spływały na boki, ku stojącym w pobliżu zabudowaniom. Wtedy majster zdecydował.

- Zasypać otwór! - nakazał.

Poszły w ruch taczki i łopaty. Ściągnięto dodatkowych ludzi do pomocy. Wkrótce wokół odwiertu wyrósł pagórek. Otwór udało się zasklepić. Gdy zmęczeni wysiłkiem studniarze zabierali się powoli do domu, ktoś zauważył, że w ubitym i umocnionym kamieniami pagórku pojawił się mały otwór, którym poczęła wypływać woda. Początkowo powoli, ale rychło wytrysnęła w górę, rozsuwając z wielką mocą kamienie. Znowu bił w niebo potężny słup cieczy!

- Worki z piaskiem! - zawołał majster. - Tak, jak przy umacnianiu wałów, gdy napiera powodziowa fala - tłumaczył. - Może w ten sposób uda się zdławić ten przekłęty odwiert?!

Pomysł wydawał się dobry. Do pracy stanęło dodatkowo wielu ochotników. Nie liczono czasu. Otwór zatkano workami z piaskiem. Wszystko przyciśnięto kamieniami. Strumień zdławiono. Zmęczeni robotnicy zaczęli się rozchodzić. Zapadał spokojny majowy wieczór. Na wszelki wypadek postanowiono jednak, że kilku ludzi na zmianę będzie czuwało przy zasypanym odwiercie. Kto wie, co się może stać w nocy...

I stało się! Jeszcze zanim zegar wybił północ na kościelnej wieży, złowroga fontanna ożyła! Woda, wypychana z głębi ziemi kolosalnym ciśnieniem, zmieszana z piaskiem, przypominała osobliwy, błotny gejzer. Mało kto spał tej nocy w pobliskich domach. Spływająca od odwiertu woda żłobiła koryta licznych strumieni, podtapiała piwnice, tworzyła rozlewiska i bajora na podwórzach, zagłębieniami uchodziła do pobliskiej Gwdy. Jakby całe, wielkie podziemne jezioro, niebaczenie przez człowieka obudzone, chciało wydostać się na powierzchnię.



Próby powstrzymania żywiołu przez fachowców z zewnątrz oraz przez geologów sprowadzonych z Berlina również zakończyły się niepowodzeniem. Studnia zaczęła zagrażać miastu. Ściany domów w pobliżu odwiertu popękały, grożąc zawaleniem, a mieszkańców ewakuowano. Pod koniec maja zasięg zapadającej wokół otworu ziemi szybko się rozszerzył. W związku z pęknięciami jezdni wstrzymano ruch uliczny, a straż pożarna pośpiesznie wysiedliła mieszkańców kolejnych budynków.

W każdej chwili spodziewano się jeszcze gorszego nieszczęścia. Pojawiły się nawet plotki o możliwości całkowitej zagłady miasta. Podsycała je lokalna prasa oraz żądni sensacji przyjezdni korespondenci. O pilskiej katastrofie zrobiło się bowiem głośno w całych Niemczech, a nawet poza ich granicami.

Tymczasem władze miasta, przerażone rozmiarami strat, nieustannie szukały fachowej pomocy z zewnątrz. Dość nieoczekiwanie zaproponował ją technik i budowniczy studni, niejaki Beyer, który miał już na swym koncie wiele udanych wierceń na terenie Poznania oraz w pobliskiej Chodzieży. Człowiek ten obiecywał nie tylko ujarzmienie studni, ale także dostarczenie miastu z owego odwiertu zdrowej wody pitnej. Dotychczasowe rury o średnicy czterech cali zastąpił ośmiocalowymi, a następnie, po dotarciu do głębokości 16 metrów, zatrzymał wypływ wody. Miasto odetchnęło z ulgą, a zachęcony sukcesem Beyer ani myślał o zaniechaniu pracy, wszak obiecywał władzom miasta studnię ze zdrową wodą pitną. Kontynuował więc wiercenia.



15 lipca, podczas przerwy obiadowej, zadygotała ziemia w rejonie odwiertu. Całe dotychczasowe wyrobisko wraz ze zgromadzonym sprzętem, a także ciężkimi szynami i granitowymi płytami w jednej chwili zniknęło w rozpadlinie. Tylko pora, kiedy to nastąpiło, uchroniła przed ofiarami w ludziach. Błyskawicznie postępujące zapadlisko rozszerzało się w kierunku obecnej ulicy Ossolińskich. Jedna po drugiej zapadały się w ziemię i rozsypywały kamienice. Łamały się z ogłuszającym

trzaskiem belki i wiązania dachów, w niektórych budynkach runęły całe ściany, ukazując zdemolowane wnętrza pomieszczeń. Zniszczeniu uległo blisko dwadzieścia domów, 86 rodzin w jednej chwili pozostało bez dachu nad głową. Rozmiary szkód oceniono na blisko milion marek.

To tragiczne zdarzenie stało się głośne. Liczne gazety pisały o Piłę jako tonącym mieście. Organizowano zbiórki pieniędzy na rzecz mieszkańców dotkniętych kataklizmem.

Fatalnym odwiertem zaczęli ponownie zajmować się najlepsi geolodzy niemieccy. Snuto najprzeróżniejsze hipotezy. W atmosferze domysłów i zwyczajnych plotek aż do 1 września 1893 r. studnię pozostawiono w spokoju. Jedynie niestrudzony Beyer kontynuował pracę przez dwadzieścia wrześniowych dni, to jest do chwili usunięcia zatyczki, mocującej czop zatykający rurę. Bowiem kiedy to uczynił, z rury ponownie buchnął silny strumień wody. Wypływ ten skierował drewnianymi korytami, poprowadzonymi przez proboszczowski ogród (obecnie tereny hotelu „Rodło”), do Gwdy. W dniu 2 listopada 1893 r. nieopodal odwiertu pojawiło się samoczynnie drugie źródło wypływu, które własnymi siłami wyżłobionym rowkiem wartko kierowało ku rzece uchodzące wody.

Kilka dni później doszło do kolejnej katastrofy. 11 listopada 1893 r. po południu studnia zawaliła się wraz z całym osprzętem. Na szczęście znowu obyło się bez ofiar w ludziach. W tej samej chwili bez czyjejkolwiek ingerencji wypływ wody niespodziewanie ustał.



„Studnia nieszczęścia”, jak ją wówczas nazywano, kosztowała Piłę 42 zniszczone domy ze 127 mieszkaniami i ponad milion marek. Ale w historii miasta było to niewątpliwie najbardziej spektakularne wydarzenie. Wieść o nim dotarła nawet na dwór cesarza. Aby zaspokoić jego ciekawość, pilski fotograf T. Graszyński wykonał serię zdjęć i, oprawiwszy je w album, wysłał do Berlina. Z Niemiec wieść o studni trafiła do prasy francuskiej i angielskiej. Piła miała swoje - jedyne jak dotąd - pięć minut w historii Europy.

## Śmierć księdza z Miasteczka Krajeńskiego



ego październikowego dnia ks. Stanisław Woda z trudem zwlókł się z łóżka. Od kilku dni czuł się źle. Nie mógł jeść, wymiotował krwią i żółcią. Miał trudności z oddychaniem.

– Coś z moim sercem chyba nie tak. Muszę wreszcie porazić się lekarza – powiedział do ministrantów, zaniepokojonych jego wyglądem.

Msza rozpoczęła się punktualnie. Kościół, jak to w niedzielę, był pełen wiernych. Ksiądz podszedł do tabernakulum, otworzył je, wyjął kielich, pochylił się nad nim. Poczul gorzki zapach, a po chwili silny ucisk w gardle, oddychał z wysiłkiem. Zachwiał się na nogach, ale oparował słabość. Z trudem dotrwał do końca mszy.

Nadszedł czas kazania. Kapłan, próbując utrzymać równowagę, wspiął się na ambonę. Zdyszany, łapiąc otwartymi ustami powietrze, nie mógł wypowiedzieć ni słowa. Przez kościół, wypełniony wiernymi, przeszedł szmer niepokoju.

- Coś niedobrego się z księdzem dzieje. Zachorzał nagle, czy co?

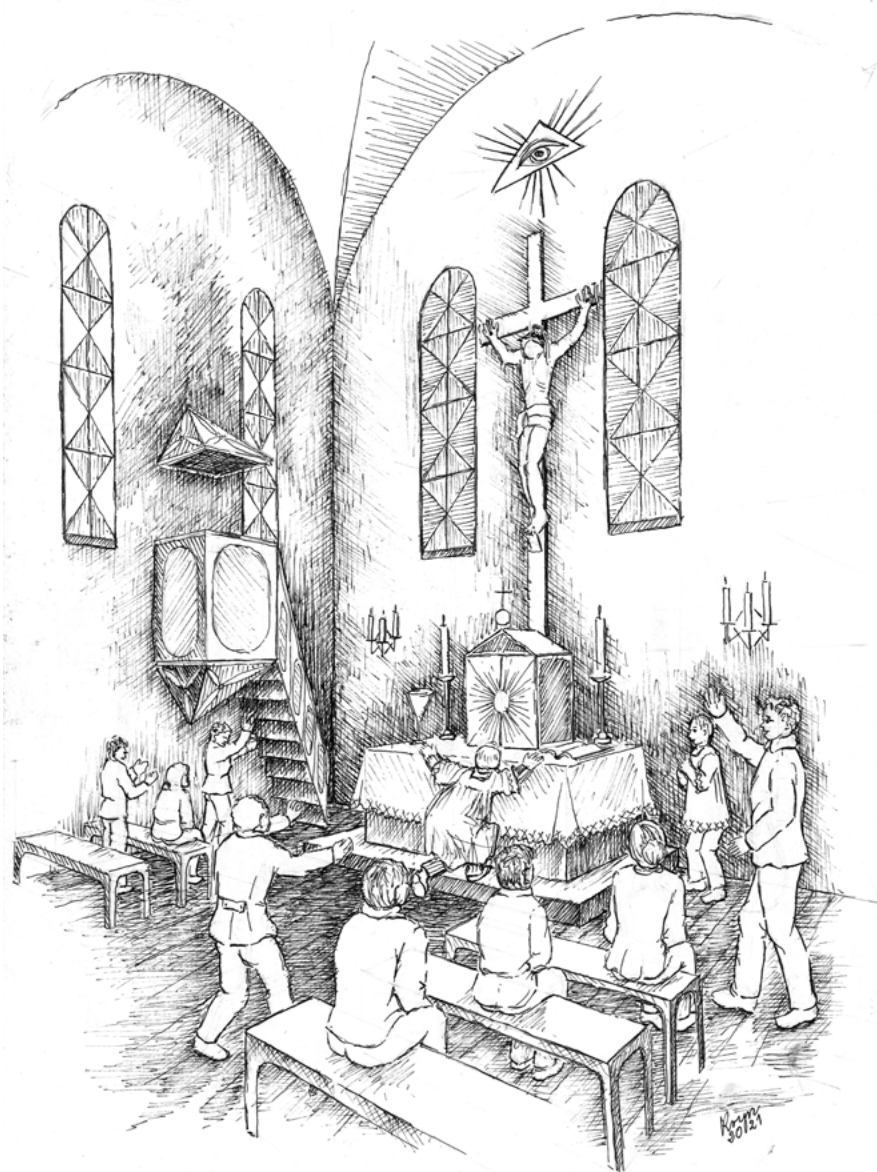
Odpowiedź nadeszła natychmiast. Ksiądz osunął się na podłogę. Kilku mężczyzn z pierwszych rzędów ławek ruszyło mu na pomoc. Gdy wzięli go na ręce i poczęli znosić z ambony, ksiądz otworzył oczy. Zawołał:

- Zostałem otruty! - i to były jego ostatnie słowa. Złapał się za gardło, jakby chciał pomóc sobie w oddychaniu, po czym zsiniał i stracił przytomność. Któryś z parafian usiłował podać mu mleko, ale bezskutecznie. Gdy około trzeciej po południu przybył lekarz, proboszcz już nie żył.

Zdarzyło się to w Miasteczku Krajeńskim pierwszego dnia października roku Pańskiego 1895, na trzy lata przed ukończeniem budowy kościoła, który do dziś służy wiernym z miasta i okolicy.



Jako osada Miasteczko Krajeńskie znane było już w XIV wieku – jego nazwa brzmiała wówczas Myeszczce. Pierwsze pisane wzmianki o nim pochodzą z 1454 roku, kiedy to w księgach kościelnych poczyniono zapis na





temat wsi, wchodzących w skład parafii Brzostowo. Od początku wieku XVI istniał tam niewielki, drewniany kościółek pod wezwaniem Wszystkich Świętych. Rychło podzielił on los wielu innych tego typu budowli. Strawił go pożar.

Po tym wydarzeniu parafia przez długie lata nie miała własnej świątyni. Dopiero w 1726 roku ks. biskup Szembek, właściciel Miasteczka, wystawił kościół murowany, jednonawowy, w większości z kamienia. Kościół ten przetrwał aż do ostatniego ćwierćwiecza XIX wieku. Kolejni proboszczowie z Miasteczka Krajeńskiego przeżywali wówczas trudne chwile. Ledwo tutejszy katolicki kościół, ostatnia placówka polskości w tej miejscowości, otrzymał z woli biskupa nowe miano: Podwyższenia Krzyża Świętego, spłonął w tajemniczych okolicznościach. Wprawdzie była to stara, mocno już podniszczona świątynia, ale ciągle dobrze służyła tutejszym katolikom, wśród których zdecydowanie przeważali Polacy. I to właśnie oni z niedowierzaniem słuchali oficjalnych wyjaśnień na temat przyczyn pożaru.

– Niemcy nam kościół spalili - szeptano po kątach, ale głośno nikt nie śmiał się odezwać.

Był to bowiem rok 1888, szczytowy okres germanizacji Krajny. Od kilkunastu lat Miasteczko Krajeńskie nosiło niemiecką nazwę Friedheim. Zmiana ta doprowadziła do napięć między ludnością polską i niemiecką. Księża czuli to. I jako Polacy, i jako katolicy solidaryzowali się ze swoimi parafianami. Z niepokojem też obserwowali, jak rośnie agresja germanizatorów i topnieje liczba wiernych w miejscowości. Według spisu sprzed kilku laty żyło wtedy w Miasteczku prawie 600 ewangelików i 304 katolików, a proporcje te pogarszały się z roku na rok.

Po pożarze świątyni przed księżmi parafii stało trudne zadanie odbudowy kościoła. Rozpoczął ją proboszcz ks. Jan Has w 1890 roku, a następnie prowadził ksiądz Stanisław Woda, który objął parafię w marcu 1893 roku. Miał wtedy 51 lat i spore doświadczenie w pracy duszpasterskiej, a także talenty organizacyjne, które pomogły mu - wbrew władzom, a także niektórym parafianom - z powodzeniem kontynuować odbudowę świątyni.





Śmierć księdza wywołała poruszenie nie tylko w Miasteczku, ale w całej okolicy. Donosiła o tym nawet prasa wielkopolska. „Dziennik Poznański” zamieścił notatkę, w której między innymi sugerował, że „podobno pada podejrzenie na człowieka, który sprzeniewierzył pieniądze kościelne, o czym tylko ks. Woda miał wiedzieć”. Byli też tacy, którzy śmierć księdza potraktowali jako zwiastun choroby zakaźnej, zbliżającej się epidemii cholery, bo jej ogniska pojawiały się w tym czasie na Powiślu, między innymi w okolicy Sztumu.

Władze pruskie zarządziły specjalne śledztwo. Policja jeszcze w dzień śmierci księdza zabrała z kościoła wino i wodę. Potem dokonano bardziej szczegółowych oględzin miejsca zbrodni. Przeprowadzona w Berlinie sekcja zwłok wykazała bowiem, że kapłan został istotnie otruty. Ślady strychniny znaleziono w ampułkach, w kielichu i na ołtarzu.

Domysłom i podejrzeniom nie było końca. Polacy nie mieli wątpliwości, że ich ksiądz padł ofiarą tych, którzy przeszkodzić chcieli w budowie katolickiego kościoła. Śledztwo, prowadzone jak na owe czasy z dużym rozmachem, zakończyło się niepowodzeniem. Mordercy księdza Stanisława Wody nigdy nie odnaleziono.



Mimo śmierci proboszcza odbudowę kościoła kontynuowano. Podjął się jej, przy zdwojonym zapale wiernych, następca ks. Wody, ks. Maksymilian Szukała. 14 września 1898 roku w nowej świątyni odprawiono pierwszą mszę świętą. Kościół ten służy parafianom do dziś, przez całe stulecie upiększany i ozdabiany głównie wysiłkiem kolejnych jego proboszczów, wspieranych przez wiernych.

## Chłop historyczny



o był stały gość zajazdu szynkarza Kiedemanna. Zwaliste chłopisko z sumiastym wąsem i chytrym spojrzeniem. Zwykł siadać w kącie szynku z tęgą szklanicą gorzały w ręku, by w zależności od humoru topić w niej smutki lub - ku ucieście innych - sypać rubasznymi anegdotami, których bohaterami byli najczęściej urzędnicy pruscy, znienawidzeni tu zarówno przez polskich, jak i niemieckich gości.

Dziś miał wyraźnie zły humor. Był sierpień 1904 roku, czas żniw, a on zamiast robić w polu, od rana siedział w swoim kącie i ponuro wpatrywał się w szklankę pełną siwuchy. Nie pił. Widać, że i ona nie leczyła jego trosk.

- Co was tak gryzie, Michale? - odezwał się zza szynkwasu Kiedemann.

Chłop spojrział na niego spode łba i rzekł:

- To, co zawsze. Szwaby znowu założyły mi za skórę.

Kiedemann wytoczył się zza szynkwasu, nalał sobie kufel piwa i przysiadł do gościa. Widać znali się od lat, bo rzekł doń bez ogródek.

- Gadaj, Michale. W czym ci znowu dopiekli?

Michał Drzymała, mimo że dobijał powoli do pięćdziesiątki, niewiele w życiu osiągnął. Jego rodzina była biedna. Ośmiohektarowe gospodarstwo do podziału na sześciu braci nie mogło mu zapewnić godziwego bytu. Imał się więc różnych prac, by wreszcie stanąć na nogi. Kupił od Prusaka - miejscowego bogacza - dwuhektarową działkę w Podgradowicach pod Rakoniewicami. Miał na niej niewielki sad, staw, chlew i podpiwniczoną stodołę. Dorabiał wożeniem cegły. Powodziło mu się teraz nieźle, ale był pewien problem. Władze pruskie kategorycznie sprzeciwiały się postawieniu na działce domu, a nawet pieca w stajni.

- Strawy nie ma na czym ugotować, a tu jesień i zima za pasem. Jak bez pieca żyć? - lamentował chłop.

Tymczasem Kiedemann, zapatrzony w okno, zdawał się go nie słuchać. Nagle szturchnął Drzymałę w łokieć i wskazał palcem.

- A gdybyś tak, Michale, kupił ten wóz cygański, który stoi tu od pewnego czasu przed gospodą.



Drzymale zaświeciły się oczy. To był dobry pomysł. Nowy nabytek kosztował 350 marek. Po sprowadzeniu wozu na swoją ziemię zawiadomił władze, że wygasił ogniska w chlewie. I przez kilka kolejnych tygodni miał spokój z pruską administracją.



Bohaterem Drzymała stał się właściwie przypadkiem, gdy hrabia Czarniecki z Rakoniewic w towarzystwie dwóch Francuzów przybył zobaczyć jego wóz, a właściwie, jak to określił, „jak polska bieda musi mieszkać w cygańskim wozie”. Po tej wizycie o wielkopolskim chłopczie zrobiło się głośno. Pisano o nim w prasie polskiej i zagranicznej. Nie było tygodnia, by pod wóz Drzymały nie przybywały pielgrzymki reporterów i patriotycznie nastawionych Polaków. Michał Drzymała miał wtedy swoje pięć minut i z łatwością wszedł w rolę bohatera narodowego.

Prusacy szybko pojęli, że sprawa Drzymały im szkodzi. Próbowali więc metodami administracyjnymi wykurzyć go z działki. A mieli po swej stronie prawo, które służyło szerszej akcji germanizacyjnej - wspieraniu osadnictwa niemieckiego i wypieraniu polskiego. Zajął się tym powołane w 1894 r. specjalne towarzystwo, nazwane przez Polaków hakatą. Władza wspomogła ich zamierzenia ustawą, na podstawie której potrzebne było specjalne zezwolenie do budowę lub wyremontowanie domu. W wewnętrznych instrukcjach do ustawy podkreślono wprost, by nie dawać zezwoleń Polakom.

To właśnie ten akt prawny stał się powodem prześladowania Drzymały. Nakładano na niego najróżniejsze kary, nakazywano, aby wóz nie przebywał w jednym miejscu dłużej niż 24 godziny, bowiem w przeciwnym wypadku władze uznają to za bezprawnie postawiony budynek. W konsekwencji Drzymała dzień w dzień przesuwał swój wóz kawałek dalej. Nałożonych kar natomiast nie płacił, gdyż - jak twierdził - nie chciał wspierać budżetu zaborcy. Kpił z prześladowających go urzędników. Swoimi żartami spowodował ośmieszenie i tym samym zdymisjonowanie komendanta Bocka z posterunku w Rakoniewicach. Żegnał pakującego się w podróż żandarma śpiewaniem

na cały głos pieśni żałobnych, natrętnie jeżdżąc wokół jego domu. Fortelem zamknął innego żandarma w areszcie i z kluczem w kieszeni poszedł do pobliskiej knajpy na „szkłanicę”, oznajmiając przedtem, pod jakim adresem żandarmi mają szukać zguby. Podczas licznych aresztów zawsze szedł do paki pieszo pod eskortą, ale z głośnym śpiewem na ustach od kościelnych po ludowe przyśpiewki. Nie skarżył się na swój los.

Dla Wielkopolan Drzymała stał się symbolem walki z zaborcą. W Poznaniu utworzono Komitet Drzymałowski w celu uzbierania pieniędzy na nowy, wygodniejszy wóz dla bohatera. W lipcu 1909 r., a więc w rok po otrzymaniu nowego wozu, władze pruskie siłą usunęły go z działki. Rodzina Drzymałów przeniosła się wtedy do ziemianki. Zbliżał się kres walki dzielnego chłopa. W 1910 r. sprzedał Polakowi ziemię i przeniósł się do innej wsi. Choć formalnie Prusacy byli górą, propagandowo całkowicie się skompromitowali. O proteście Drzymały pisały najważniejsze w całej Europie gazety, w jego obronie występowali pisarze polscy, a także takie światowe sławy, jak Lew Tołstoj.

Polacy wóz Drzymały potraktowali jak relikwię. W 1910 r. na obchody 500-lecia bitwy pod Grunwaldem wystawiono go w krakowskim Barbakanie. Zapomniano tylko o prawdziwym Michale Drzymale.



Tymczasem wielkopolski chłop popadał w coraz większą nędzę. Jego dwóch synów zginęło za cesarza Wilhelma II podczas I wojny światowej. Trzech pozostałych wyruszyło w głąb Niemiec za pracą, gdzie pożeniwszy się z Niemkami, zmienili nazwisko na Berger i zamieszkali w Zagłębiu Ruhry. Michał Drzymała klepał natomiast biedę na swoim niewielkim gospodarstwie. Odrodzona Polska też jakoś sobie o nim nie mogła przypomnieć.

Zmienił to dopiero pisarz Józef Weysenhoff, który w 1927 r. odnalazł Drzymałę i opisał jego dramatyczną sytuację. Wzbudziła ona powszechne oburzenie. Sprawą zainteresował się nawet prezydent Ignacy Mościcki, który zaprosił chłopa do siebie i na powitanie ucałował go w rękę. Los znów uśmiechnął się do Michała Drzymały. Otrzymał 15-hektarowe

gospodarstwo w Grabównie w powiecie wyrzyskim wraz z rentą w wysokości 2400 zł rocznie. W ostatnich latach życia przynajmniej nie musiał się martwić o sprawy materialne.



Drzymała nie miał lotnego umysłu, nie wypierał się swoich przyziemnych wad, gdy otwarcie leczył wszelkie choroby „tęgą szklanicą gorzałki”, ale chłopskiego sprytu i swoistego rubasznego humoru trudno mu odmówić. Na próby agitacji przez przedwojenne stronnictwa polityczne, nie mając rozeznania i czując, że chodzi tylko o wykorzystanie jego sławy, miał mawiać: „Należę do partii Polska!”. A siebie nazywał chłopem historycznym.

Na Krajnie znalazł spokój i szacunek. Tu też spoczęły jego prochy. Zmarł 25 kwietnia 1937 r. w Grabównie. Pochowany został na cmentarzu parafialnym w Miasteczku Krajeńskim, a jego pogrzeb był wielką manifestacją patriotyczną przy udziale tłumów, przedstawicieli władz i licznych dziennikarzy. Na jego grobie umieszczono napis: „Michał Drzymała - bohater narodowy”.

Aby zniszczyć legendę, we wrześniu 1939 r. Niemcy zrównali z ziemią miejsce pochówku Drzymały. Gdy w 1942 r. zmarła jego żona, pochowano ją w zupełnie innym miejscu cmentarza. Obecny grób Drzymały z kamieni polnych postawiono w 1962 r. w 25-lecie jego śmierci.

## Podstępny porucznik Bartsch



iemno, jak nie przymierzając u Murzyna w dupie - odezwał się głos w ciemności.

- Co ty, z Amerykanami wojowałeś? - zadrwił inny.

- Cicho mi tam! Jak chcecie gadać, to tylko po niemiecku - zareagował natychmiast dowódca.

Padał deszcz i jak na styczniowy wieczór było w miarę ciepło. Wróg nie mógł ich dostrzec, więc niespecjalnie się bali, choć znalazło się zaledwie dziesięciu powstańców, bo tylko tylu zdołał skłonić do tej, zdawało się, straceńczej wyprawy porucznik Bartsch. Część z nich jechała wozem konnym, którym powoził 17-letni Stefan Kado, a reszta na rowerach. Posuwali się wprost na niemiecki posterunek, strzegący mostu w Białośliwiu. Nie kryli swej obecności. Śpiewali „Siegreich wollen wir Polen schlagen”. Chcieli, aby Niemcy ich usłyszeli. Była to bowiem część planu, jaki kilkanaście minut wcześniej wymyślił ich dowódca. Zbliżała się północ z 11 na 12 stycznia 1919 roku.



Dwa dni wcześniej, rankiem 9 stycznia, dowódca obrony Chodzieży porucznik Kowalski otrzymał telefoniczny rozkaz zaniechania akcji na Piłę i wycofania się z miasta.

- Budzyń i Margonin znalazły się w bezpośrednim zagrożeniu, gdyż Niemcy planują atak od strony Noteci z zamiarem zajęcia Chodzieży, Margonina, Gołańczy i dalej Wągrowca - wyjaśniał mu jego przełożony ze sztabu Frontu Północnego Powstania Wielkopolskiego. - Aby temu zapobiec, musimy zająć Szamocin i zniszczyć mosty na Noteci pod Białośliwiem i Osiekim.

Operację spalenia mostu pod Białośliwiem przygotował por. Maksymilian Bartsch. Był Niemcem z pochodzenia, kiepsko mówił po polsku, ale czuł się Polakiem. Urodził się pod Wągrowcem, uczęszczał do tamtejszego gimnazjum, po czym z inspiracji ojca odbył praktykę rolną. Po obowiązkowej służbie wojskowej pracował w rolnictwie, angażując się w działalność polskich kółek rolniczych. W pierwszych





dniach wojny został zmobilizowany do armii pruskiej. Po awansie na starszego sierżanta skierowano go na kurs oficerski, który zdał celująco i jako podporucznik wraz z 149. pułkiem piechoty z Piły walczył na froncie zachodnim. Był odważnym i zdolnym oficerem, ale nie awansował. Mimo niemieckiego pochodzenia manifestował swoją polskość. Odznaczony za odwagę Krzyżem Żelaznym II klasy, zdemobilizowany 30 grudnia 1918 r., wrócił do Wągrowca.

Natychmiast zgłosił się do powstania i został dowódcą tworzącej się 2. kompanii wągrowieckiej. Od 7 stycznia 1919 r. wraz z częścią swej jednostki stacjonował w Margoninie. Tu uzupełnił swój oddział o miejscowych Polaków. Podzielił go na dwa plutony i w sobotę 11 stycznia 1919 r. o siódmej wieczorem ruszył w kierunku nieobjętego jeszcze powstaniem Szamocina.

Po zajęciu głównych ulic miasta i opanowaniu poczty por. Bartsch zatelefonował do niemieckiej załogi w Białośliwiu.

- Tu porucznik Bartsch z rozbitego oddziału niemieckich kolonistów. Musimy przedostać się przez Noteć do swoich. Przepuście nas.

Niemcy uwierzyli, bo z niedalekiego Szamocina dochodziły odgłosy strzelaniny, po czym nagle ucichły. Nie zareagowali więc, gdy w godzinę po telefonie w ciemności zamajaczyły sylwetki żołnierzy. Prowadził ich oficer w nienagannie skrojonym mundurze, który czystą, berlińską niemczyzną nakazał im ... złożyć broń. Usłuchali. Słowa oficera potwierdziły skierowane ku nim lufy karabinów. Byli zziębnięci, zaspani i marzyli o powrocie do Vaterlandu. Nie chcieli ginać prawie dwa miesiące po zakończeniu Wielkiej Wojny. Złożyli broń na wóz, którym przyjechali powstańcy, i bez specjalnego zainteresowania przyglądali się ich przygotowaniom do spalenia mostu. Mimo padającego deszczu o pierwszej w nocy most zapłonął dzięki przywiezionej z Margonina smole oraz znalezionemu w porcie rzeczonym benzolowi. Jeszcze tej nocy z 80 jeńcami i zdobytym ciężkim karabinem maszynowym powstańcy powrócili do Margonina.



Podstęp porucznika Bartscha się powiódł, choć jego militarne znaczenie okazało się krótkotrwałe. Dwa dni potem, w nocy, po zbudowanym

pośpiesznie moście pontonowym żołnierze Grenzschtzu przeprawili się przez Noteć. Dołączyli do nich Niemcy z Szamocina i z okolicznych wsi. W poniedziałek 13 stycznia 1919 r. miasto znów znalazło się w rękach niemieckich.

Tego samego dnia z Margonina wyruszyła powstańcza kompania, by je odbić. Dotarła aż do zbiegu ulic Chodzieskiej i Margonińskiej, jednak musiała się wycofać, gdyż siły niemieckie były zbyt duże.

Po dwóch dniach, w środę 15 stycznia 1919 r., ponowiono atak. Porucznik Bartsch dowodził w nim kompaniami margonińską i wągrowiecką. Mimo pomocy powstańców z Poznania oraz użycia artylerii akcja zakończyła się niepowodzeniem. Zawiodła koordynacja działań trzech grup powstańczych i brak amunicji artyleryjskiej, co doprowadziło do dużych strat. W trakcie walk zginęło 15 powstańców, 20 zostało rannych i kilkunastu wzięto do niewoli. Około południa dowództwo Frontu Północnego przerwało akcję. Oddziały powstańcze zostały wycofane do swych baz w Margoninie, Gołańczy i Wągrowcu. Podjęto jednocześnie rozmowy z Niemcami. Po pertraktacjach z dowódcą 149. pułku piechoty z Piły mjr. Plehve ustalono, że Margonin ma pozostać strefą neutralną, a powstańcy po złożeniu broni opuszczą miasto i wycofają się na linię Sułaszewo - Próchnowo - Ofelia - Kowalewo.

Gdy Bartsch dowiedział się o rezultatach rokowań, wściekł się. Wszak z Margonina pochodziła większość jego żołnierzy, z których stworzył sprawny i posłuszny jego rozkazom oddział. Chciał nawet zerwać ugodę, ale pruska szkoła oficerska wpoila mu posłuszeństwo wobec rozkazów przełożonych.

- Befehl ist Befehl - pomyślał. - Ale broni nie oddam.

Wezwał sierżanta, który pełnił rolę kwatermistrza oddziału, i rozkazał:  
- Kulomioty i mauzery załaduj na wozy i po cichu wywieź mi je do Wągrowca. Amunicję też, a z tego szmelcu, co zostawimy, każ wyjąć iglice.

Rankiem powstańcy opuścili Margonin, podążyli za swym dowódcą, który objął komendę nad jednym z odcinków Frontu Północnego. Tam dotarła do nich broń uratowana przez Bartscha.

Był 20 stycznia 1919 roku. Do rozejmu w Trewirze, który formalnie kończył zwycięskie powstanie wielkopolskie, pozostał niecały miesiąc.

## Powstańcze boje o Wysoką



ad domem zdemobilizowanego z pruskiej armii marynarza, Andrzeja Serówki, powiewała czerwona flaga. Listopadowy wiatr postrzępił jej brzegi, ale mimo to widoczna pozostała z daleka. Pobożni mieszkańcy Wysokiej zegnali się na jej widok, ale niktogo nie dziwiła. Takie jesienią 1918 roku były czasy. Rewolucyjne.

Wewnątrz budynku, w izbie aż cuchnęło papierosami. Właścicielowi domu oraz jego współtowarzyszom: Wincentemu Kierujowi i Dominikowi Powaliszowi, którzy utworzyli złożoną w połowie z Polaków i Niemców Radę Robotniczą i Żołnierską, nie w głowie były bolszewickie hasła. Pałac papierosa za papierosem, zastanawiali się, jak okpić swych niemieckich kolegów i przywrócić rodzinne miasto Polsce, o której wiedzieli, że właśnie gdzieś tam, w Warszawie, proklamowano jej powstanie.

- Krajna to ciągle część państwa pruskiego, które choć zrewoltowane, słabe przecież nie jest. Wyrwijmy więc Prusakom, co się teraz da - zagadnął Serówka.

- Szkołę. Język polski w szkole - odrzekli niemal równocześnie jego koledzy, którzy pamiętali swój dziecięcy bunt sprzed lat. I nauczycieli zmuszających do mówienia po niemiecku, nawet po lekcjach.

- Tym niech się zajmie Franciszek Karowski. To nowy nauczyciel i dobry Polak - zdecydował Serówka. - A teraz porozmawiajmy o wiecu. To ważne, kogo wybierzemy.



Na 20 listopada 1918 r. w sali strzelnicy zwołano spotkanie polskich mieszkańców Wysokiej, na którym wybrano delegatów na Sejm Dzielnicowy w Poznaniu oraz skład miejscowej Rady Ludowej. Następnie na wniosek proboszcza Filipa Hoffmanna przyjęto uchwałę, że miasto stanowi część Polski.

Było to ryzykowne posunięcie. Od centrum Wielkopolski dzieliła Wysoką rzeka Noteć, a w niedalekiej Pile ulokowany był silny garnizon niemiecki. W tej sytuacji takie deklaracje mogły spotkać się z ostrą





reakcją miejscowych Niemców. Świadomość zagrożenia paraliżowała działania Polaków nawet wtedy, gdy dotarła wieść o wybuchu powstania w Poznaniu. W miasteczku rosło napięcie, członkom rady trudno było jednak zdecydować się na samodzielny krok bez pomocy z zewnątrz.

Sygnal nadszedł z Wyrzyska, który przystąpił do powstania w sylwestrową noc. Rozkaz brzmiał: powołać Straż Obywatelską i obsadzić najważniejsze urzędy w mieście. 2 stycznia na siedzibie władz miejskich w Wysokiej zatknięto biało-czerwony sztandar, ogłaszając publicznie, że odtąd miasto stanowi część odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej.

Do Straży Obywatelskiej zgłosiło się blisko stu Polaków, ale było to kiepskie wojsko. Broni miało niewiele, nawet po zarekwirowaniu jej u niemieckich kolonistów oraz członków bractw i stowarzyszeń paramilitarnych. Brakowało także amunicji. Nic więc dziwnego, że gdy niespodziewanie, w sobotę 4 stycznia nad ranem, samochodem ciężarowym nadjechał z Piły oddział 14 żołnierzy z 149 pułku piechoty, straż poszła w rozsypkę.

Zaczęły się przesłuchania, rewizje, zrywanie i niszczenie polskich flag. Aresztowano kilka osób, które jednak przed wieczorem uwolniono na wieść o polskiej odsieczy. Miasto opuścili także niemieccy żołnierze, wycofując się do położonej 4 kilometry dalej wsi Rudna.

Po zmierzchu Polacy zaczęli się na nowo gromadzić w punkcie zbornym w Czajczu. Jeszcze tej samej nocy przywieziono z Wyrzyska broń. W ten sposób powstał niewielki oddział powstańczy, nad którym dowództwo powierzono najstarszemu stopniem, kowalowi Edmundo-  
wi Krügerowi. Postanowiono odbić miasto.

Tymczasem miejscowi Niemcy, świadomi zamiaru Polaków, wezwali na pomoc oddział regularnego wojska, tym razem liczniejszy, czterdziestoosobowy i lepiej uzbrojony, bo posiadający cztery kulomioty i ogromną ilość granatów. Mimo to powstańcy zaryzykowali. Uderzyli w nocy na miasto i...ponownie przegrali. Zażarta walka, w wyniku której kilku z nich zostało rannych, trwała do godziny 4.00 nad ranem.



W siedzibie Rady Ludowej w Wyrzysku panowało przygnębienie. Wysłana do Wysokiej delegacja rozjemcza powróciła z niczym. Nastroje

wśród gromadzących się tu niedobitków oddziału też nie były najlepsze. Nad Wyrzyskiem wisiała groźba niemieckiej interwencji. W tej sytuacji podjęto decyzję o ściągnięciu do miasta posiłków zza Noteci.

Niebawem do Wyrzyska przybył, dowodzony przez Józefa Lubińskiego, dobrze uzbrojony, 56-osobowy oddział powstańczy z Kłęcka koło Gniezna. W Nakle oddział ten otrzymał działko kalibru 76 mm z obsługą, a w Wyrzysku dołączyli do niego ochotnicy. Łącznie na rynku w mieście stanęło 300 powstańców gotowych do walki, w tym blisko stu uzbrojonych jedynie w dubeltówki, kosy, siekiery i kije. Dowództwo nad całością objął podporucznik Spychała z Dźwierszna.

Postanowiono zastosować taktykę walki, zwaną wtedy obcęgami. Podzielono zatem oddział na pięć plutonów. Każdy z nich miał zaatakować miasto z innej strony. Hasłem do natarcia miał być strzał armatni, a początek ataku na Wysoką wyznaczono na godzinę jedenastą w nocy.

Z wyrzyskiego rynku wyruszyło 15 drabiniastych wozów wypełnionych powstańcami, w Nieżychowie rozjechały się w różnych kierunkach, by okrążyć miasto.

Niemcy wiedzieli o przygotowaniach w Wyrzysku. Zgromadzili więc w Wysokiej znaczne siły: 135 żołnierzy Grenzschtzu, 140 kolonistów i 140 młodych mężczyzn z okolicznych majątków. Byli liczniejsi, dobrze uzbrojeni, a ponadto dysponowali 12 ciężkimi karabinami maszynowymi.



Posuwali się jak cienie. Bezszelestnie. Chcieli niezauważeni znaleźć się jak najbliżej Wysokiej. Każdy pluton szedł z innego kierunku. Zaciśkali obcęgi. Przed miastem rozwinęli się w tyraliery. W pierwszej linii szli tylko ci, co mieli karabiny, a za nimi, w niejakim oddaleniu, ochotnicy z widłami, kosami i cepami. Byli jak żywy mur, posuwający się naprzód.

Nagle od strony zabudowań wystrzeliły w niebo rakiety, oświetlając całe przedpole. Zatrąkotał kulomiot. Powstańcy padli na ziemię. Czołgając się, zmierzali do celu. Co chwila kilku lub kilkunastu odrywało się, jak ogniwa od łańcucha, przebiegało kilkanaście kroków i padało bliżej miasta. Mijały dłużące się w nieskończoność minuty wyczekiwania na odgłos



armatniego wybuchu, który miał być sygnałem do ataku. Niestety, któryś z powstańców nie wytrzymał. Nacisnął cyngiel. Po chwili strzelali już wszyscy. Zagrała wreszcie polska armata. Przyczajony pod Przedgórzem pluton trzeci, kłęcki, rzucił się teraz z impetem naprzód. Prowadził go brawurowo Józef Lubiński. Wpadli do miasta jak burza. Za nimi popędzili inni.

- Hurrraaa! Niech żyje Polska! - krzyczeli.

Bednarek porwał swą armatkę i galopem zajechał na placyk przed kościołem parafialnym. Zajął pozycję przed dzwonnicy i rozpoczął zaraz ogień. Pierwszy granat wystrzelił na ratusz, skąd ziały ogniem dwa kulomioty. Drugi granat uderzył w szczyt magistratu. Trzeci i czwarty w wieżę zboru ewangelickiego.

Niemcy otworzyli ogień z broni maszynowej, ustawionej na wieży nieistniejącego już dziś kościoła ewangelickiego. Próbując tam się wdrzeć, zginął Józef Lubiński. Natarcie polskie utknęło.

Nad ranem od strony Piły nadjechało niemieckie auto z posiłkami. Zatrzymali je ochotnicy z Wyrzyska, ale na krótko. Strzelanina w mieście cichła, bo powstańcom zaczęło brakować amunicji. Wtedy nadszedł rozkaz wycofania się w kierunku Wyrzyska. Armata, brawurowo wprowadzona przez Bednarka do miasta, pozostała w rękach niemieckich.

Tak według relacji H. Kończaka, uczestnika walki, przebiegał bój o Wysoką, najkrwawszy epizod powstańczy na Krajnie.



Pomimo porażki i strat w ludziach zaczęto planować kolejne natarcie na Wysoką. Postarano się o dozbrojenie powstańców. Jednak Naczelna Rada Ludowa zawarła z Niemcami porozumienie, na mocy którego wszystkie oddziały powstańcze z powiatu wyrzyskiego zostały zobowiązane do wycofania się za Noteć. Mimo to Polacy, z tego regionu pochodzący, walczyli dalej, a utworzona z nich kompania wyrzyska już od 11 stycznia 1919 r. brała udział w walkach o Szubin. W rodzinnej stronie powrócili dopiero w rok później - w szeregach 7 Pułku Strzelców Wielkopolskich.

## Wigilia pod nadzorem gestapo



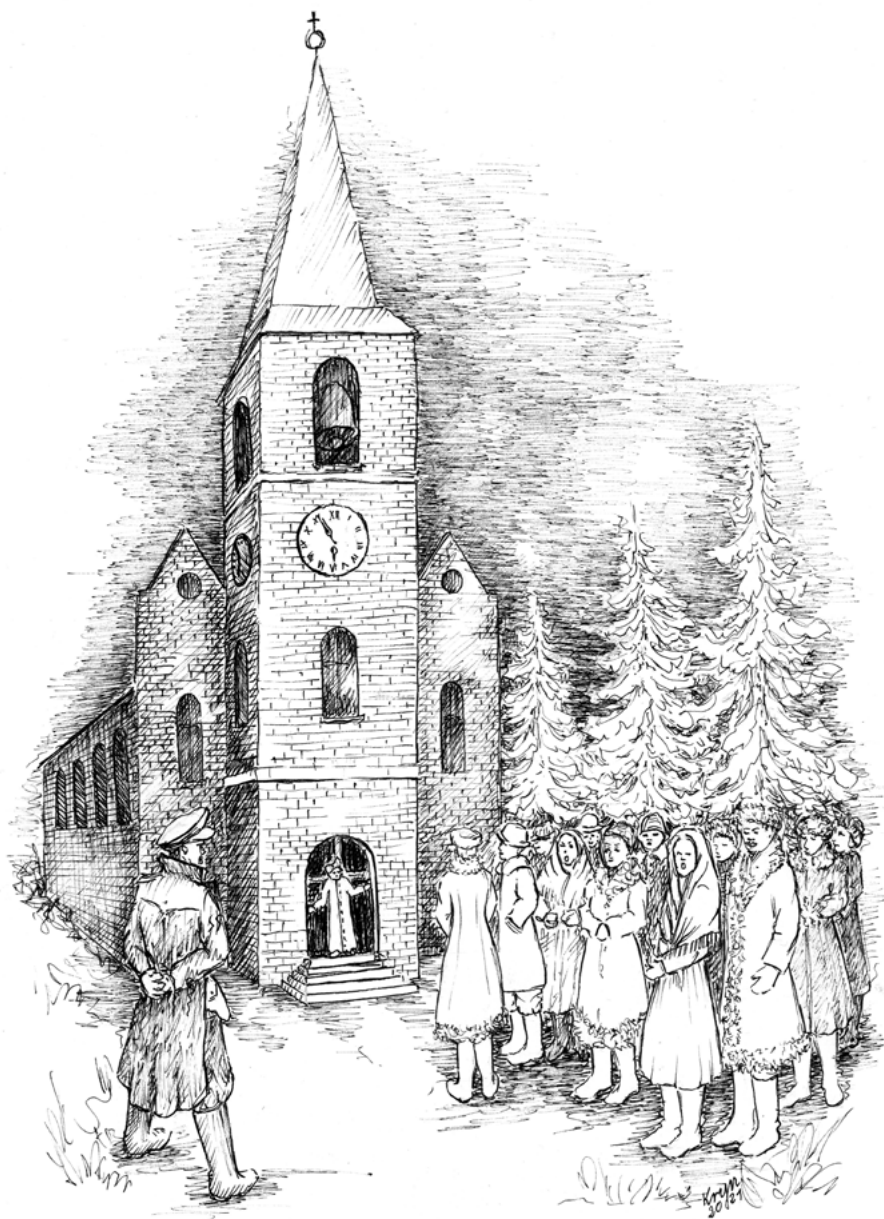
zybko zapadał grudniowy zmierzch nad Lebehnke (dziś Stara Łubianka). Przenikliwy chłód, potęgowany uderzeniami śnieżnej zamieci, sprawiał, że nieliczni przechodnie przemysłali z rzadka uliczkami wsi i chronili się pospiesznie w domach. Rozjaśnione blaskiem choinkowych świec okna przypominały, że oto nadszedł ten jedyny w swoim rodzaju wieczór. Wigilia Bożego Narodzenia 1936 roku. Wieczór, który krzepi serca nadzieją i niesie ukojenie.



Zegar wybił czwartą po południu, gdy do drzwi mieszkania pastora Domke ktoś gwałtownie załomotał. Duchowny był zaskoczony. O tej porze nikogo się nie spodziewał. Nabożeństwo, do którego właśnie się przygotowywał, miało odbyć się tradycyjnie za dwie godziny. Podszedł nieco zniecierpliwiony do drzwi. Łomot się nasilał. Wyraźnie ktoś zamiast pukać, walił pięścią w drzwi. Gdy pastor otworzył, zrozumiał, skąd ta obcesowa agresja intruza. Do mieszkania wtargnęła osobnik w skórzanym płaszczu i machnąwszy przed nosem pastora legitymacją, warknął: „Gestapo.”

Funkcjonariusz tajnej policji niemieckiej z Wałcza rozsiadł się w fotelu. Nie pytając o zgodę, rozpiął płaszcz, odsłaniając kaburę pistoletu przytroczoną do pasa. Bez zbędnych ceregieli, zimno i brutalnie oświadczył, że kościół ma być zamknięty, nabożeństwo się nie odbędzie, a jeżeli tego wieczoru wydarzy się cokolwiek, co „naruszy spokój i porządek”, to on, pastor Domke, odpowie za to. Będzie miał okazję przekonać się, że w areszcie gestapo w Wałczu znajdzie się dla niego miejsce na tegoroczne święta Bożego Narodzenia. A później... później może się okazać, że i w obozie są też jeszcze wolne prycze dla zwolenników Bekennende Kirche (Kościoła Wyznawców) - dodał z ironicznym uśmiechem.

Pytając o powód zamknięcia świątyni, usłyszał, że on, pastor Domke, musi zapamiętać sobie raz na zawsze, że władza nie pozwoli nigdy, aby tacy jak on i jemu podobni zwolennicy pastora Martina Niemoellera oraz



jego Kościoła rozbijali jedność niemieckiej społeczności i prowadzili wrogą wobec narodowosocjalistycznego państwa robotę.

- Jeśli chcesz być, pastarze, uważany za dobrego Niemca, powinieneś wiedzieć, że dobry niemiecki ewangelik to ten, co popiera wielkie dzieło Adolfa Hitlera. Tak jak to robią Deutsche Christen (niemieccy chrześcijanie). W przeciwnym razie zamknięte będą przed tobą, pastarze, wrota świątyń i odwrócą się wierni. Za to bramy kacetów... Tak, tam czeka na pastora miejsce. Obok wszelakiej hołoty - dodał, zatraskując za sobą drzwi.



Po tym spotkaniu przez dłuższą chwilę kapłan nie mógł dojść do siebie. Wzburzyły go nie tylko brutalne pogróżki gestapowca, ale jeszcze bardziej przejmująca i bolesna świadomość głębokiego rozbicia i podziału wewnątrz ewangelickich gmin. Zapoczątkował to w Berlinie pastor Joachim Hossenfelder, który uznał nadrzędność niemieckiego rasizmu nad wartościami chrześcijańskimi. Zorganizowany przez jego zwolenników ruch niemieckich chrześcijan (Deutsche Christen), zakazywał prokreację z obcymi rasami. Postulował odrzucenie Starego i weryfikację Nowego Testamentu w celu usunięcia z niego elementów tradycji i kultury żydowskiej. Zalecał ochronę czystości rasy niemieckiej przez odrzucenie „niedotykalnych” i „niepełnowartościowych” (czyli osób narodowości innych niż niemiecka, chorych i upośledzonych).

Działania te były sprzeczne z historią i tradycjami ewangelików, wśród których pojawiły się protesty przeciwko uzależnianiu religii od faszystowskiego państwa. Jednym z jego przejawów był Bekennende Kirche. Pastor Domke, który z nim sympatyzował, myślał z goryczą, że to pęknięcie wspólnotowej więzi, ten rozziw między sumieniem i duchem ewangelii a nieludzką rzeczywistością, stają się z każdą chwilą większe i niebezpieczniejsze dla prawdziwych wyznawców Chrystusa.



Po wyjściu gościa Domke szybko się ubrał i poszedł do kościoła. Był zamknięty. Na stopniach schodów świątyni, wznoszącej się na wzgórze w północnej części wsi, stał w narastającej śnieżycy i w gorzkiej

zadumie, oczekując wiernych. Za zawartymi wrotami trwał w głuchym milczeniu i ciemnościach jego kościół... Kościół, do którego właśnie dzisiaj, w ten święty wieczór wigilijny, jemu i jego parafianom zabroniono wstępu.

Dochodziła już szósta, gdy w dali dostrzegł chybotliwe światelka, powoli zdążające ku świątyni. To pierwsi wierni podążali tutaj na wieczorne nabożeństwo. Nadchodzący pozdrawiali pastora, ściskając mu dłoń. Wyrażali zdziwienie, że nauczyciel Hundt, który jako starszy gminy był w posiadaniu klucza od świątyni, jeszcze nie nadszedł.

Domke uśmiechnął się gorzko. On wiedział już, że Hundt dziś nie przyjdzie. Nie darmo wszak dawał już od pewnego czasu do zrozumienia, że sympatyzuje z niemieckimi chrześcijanami. A oprócz tego z całą pewnością nie miał ochoty utracić posady w szkole. No i ten osobnik w skórzanym płaszczu też chyba złożył Hundtowi wizytę.

Przybywało ludzi, którzy gromadzili się wokół stojącego na schodach pastora i coraz głośniej wyrażali zdziwienie, że drzwi kościoła są zamknięte. Niektórzy zaczęli wołać, aby pójść po Hundta albo po prostu wziąć od niego klucze. Zebrała się spora gromadka, choć pastor miał świadomość, że o wiele więcej wiernych zostało w domach, niż przyszło tutaj. Wiedział, że czekali na jego słowa. Wstąpił na najwyższy stopień schodów, poprosił, by uciszyl się i mocnym, ale opanowanym głosem zaczął mówić.

Mówił, że w ten jedyny w roku święty wieczór przyszli do świątyni, która została wzniesiona rękoma ich przodków, jest utrzymywana ich wysiłkiem, na chwałę Boga Jedynego i ku pożytkowi tej wspólnoty wiernych, do której oni wszyscy należą. Przyszli do tej świątyni, do której oni wszyscy mają prawo, aby tutaj bez przeszkód przychodzić i pełnić Bożą służbę. Przyszli i zastali zamknięte wrota.

Gdy zamilkł na chwilę, wśród zebranych narastał coraz głośniejszy szmer. Wtem z boku błysnęło ostre światło silnej elektrycznej latarki. Przesunęło się po twarzach zgromadzonych, wydobywając je z ciemności. Latarkę trzymał w dłoni ten sam funkcjonariusz gestapo, który odwiedził już dziś pastora. Domke poczuł bolesny skurcz w gardle. Gestapowiec, zwracając się ostro do zebranych, zażądał, aby powrócili do

domów i nie zakłócali spokoju. W przeciwnym razie może to spowodować przykre konsekwencje! Dla pastora przede wszystkim!

W ciszy, która potem nastąpiła, ktoś powiedział, żeby zakończyć to spotkanie śpiewem i modlitwą. Popłynęły słowa pieśni „Vom Himmel hoch, da komm ich her” („Z nieba wysokiego przychodzę tu...”). Potem wspólne „Ojcze nasz” i błogosławieństwo pastora. W ciszy, małymi grupkami wierni rozchodzili się spieszenie do domów. Niektórzy myśleli z obawą: czyją twarz uchwyciło i zapamiętało bystre oko gestapowca? I co będzie dalej?



- „Stille Nacht, heilige Nacht...”. Noc, która powinna przynieść wszystkim ludziom dobrej woli chwilę spokoju i ukojenia, słowa pojednania i przebaczenia - myślał pastor Domke, wracając do domu.

- Wielu, bardzo wielu nie wytrzyma tej próby i popłynie z prądem wydarzeń.

## Operacja Tannenberg



szef pilskiej placówki gestapo nie krył zadowolenia. Oto przed chwilą przyniesiono mu tajną pocztę, a w niej biuletyn o wyjątkowych rozmiarach, księgę zawierającą spis 61 tys. nazwisk. Wydał ją Urząd Policji Kryminalnej Rzeszy z przeznaczeniem dla ściśle określonego grona funkcjonariuszy policyjnych i wojskowych. Była to bowiem specjalna - i oczywiście tajna - księga gończa. „Sonderfahndungsbuch Polen”, bo tak brzmiał tytuł tego długo i starannie przygotowanego materiału, zawierała nazwiska i adresy działaczy politycznych, społecznych, gospodarczych, kulturalnych, także księży i nauczycieli, których należało aresztować zaraz po wkroczeniu Wehrmachtu na ziemię Rzeczypospolitej.

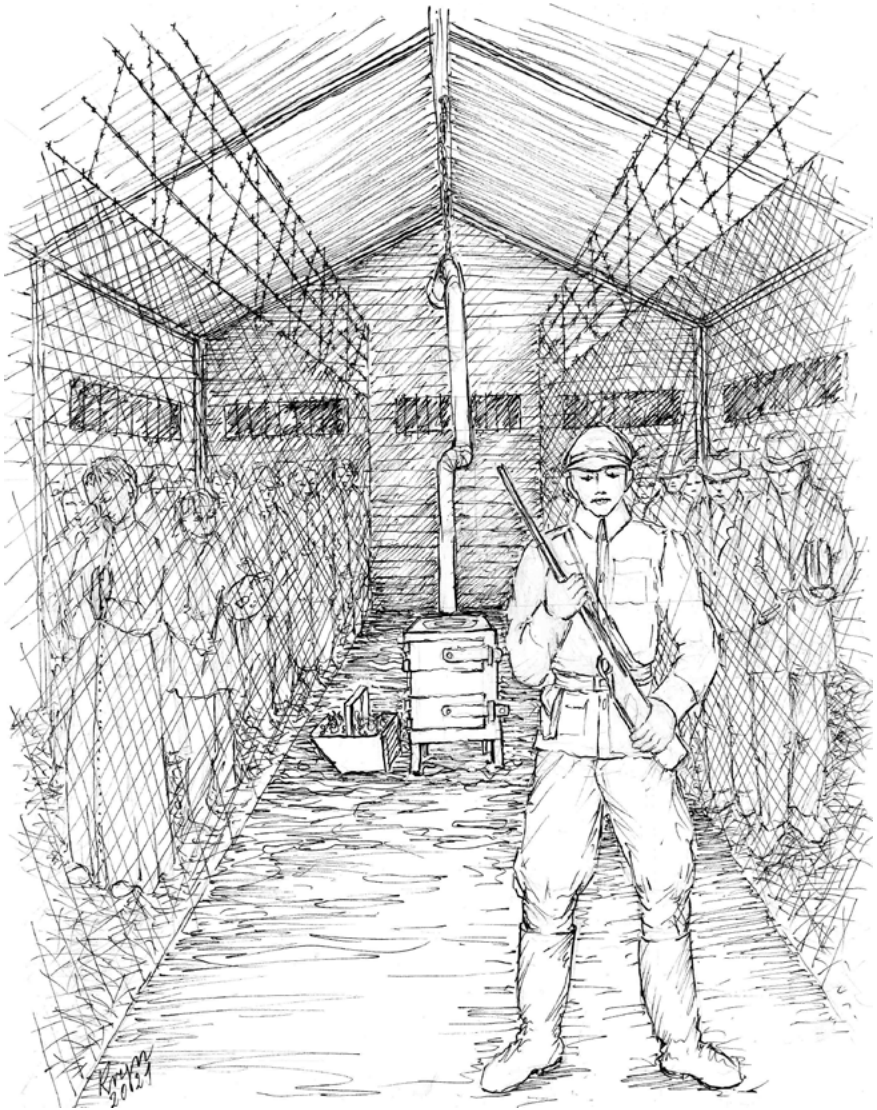
Z satysfakcją przeglądał te strony, które były dziełem rąk jego ludzi oraz siatki wywiadowczej, zorganizowanych przez nich na przygranicznych terenach Rzeczypospolitej agentów, rekrutujących się spośród zamieszkujących Krajną obywateli polskich narodowości niemieckiej. Z technicznego punktu widzenia robota została wykonana dobrze i on, jeden z odpowiedzialnych za nią funkcjonariuszy, spodziewał się stosownego podziękowania od swoich zwierzchników, a może nawet - zamarzył - od samego szefa Głównego Urzędu Służby Bezpieczeństwa Rzeszy Heinricha Himmlera?

Wstał zza biurka, podszedł do okna, ale nie po to, by podziwiać jaśniejącą w promieniach majowego słońca rzekę i położoną po obu jej brzegach promenadę. Myślał o pracy, która go czekała. Wiedział, że niebawem dojdzie do rozprawy z Polakami, ale nie miał pojęcia, kiedy ona nastąpi. Tego w maju 1939 roku jeszcze nikt nie wiedział, ale jako szef pilskiego gestapo znał założenia „Operacji Tannenberg” i rozmiar zadań, które były jeszcze przed nim.



Plan wojny przeciwko Polsce, zakodowany przez Niemców jako „Fall Weiss”, przygotowany został przez sztab niemieckiej armii wiosną 1939 roku. Dyrektywę do jego opracowania wydał Hitler





11 kwietnia 1939 roku, bezpośrednio po polsko-brytyjskiej umowie, przewidującej wzajemne gwarancje pomocy wojskowej w przypadku napaści. Niemiecki plan zakładał rozpoczęcie działań wojennych bez aktu wypowiedzenia wojny i prowadzenie jej według doktryny blitzkriegu. Sprowadzał się on do ataku na Polskę z trzech kierunków: główne uderzenie ze Śląska na Łódź i Warszawę, drugie z północy, a więc z terenu Prus Wschodnich i Pomorza, oraz trzecie z południa - z zależnej od Niemiec Słowacji. Podstawowym założeniem planu był szybki marsz z tych trzech stron na Warszawę oraz odcięcie i zniszczenie większości polskich sił na zachód od Wisły.

„Fall Weiss” opierał się na założeniach, które Hitler tak zdefiniował podczas rozmowy ze swoimi generałami: „Celem wojny nie jest osiągnięcie jakiejś linii geograficznej, ale fizyczna eksterminacja wrogów. Obecnie tylko na wschodzie umieściłem oddziały SS „Totenkopf”, dając im rozkaz nieugiętego i bezlitosnego zabijania wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci polskiej rasy i języka, bo tylko tą drogą zdobyć możemy potrzebną nam przestrzeń życiową”.

Przygotowania więc objęły także zaplanowanie działań represyjnych wobec cywilnej ludności napadniętego kraju. I właśnie to między innymi legło u podstaw „Operacji Tannenberg”, do wykonania której przewidziano powołanie specjalnych grup operacyjnych policji, gestapo i SS.

Prace przygotowawcze trwały przez całe lato i tuż przed napaścią na Polskę, na tyłach skoncentrowanej na Pomorzu 4 armii gen. von Klugego, czekała na wejście do akcji IV Grupa Operacyjna, dowodzona przez SS-Brigadeführera Bautela. W jej skład weszli funkcjonariusze placówek gestapo z Piły i innych miejscowości rejencji piłskiej.

1 września podwładni Bautela, podążając tuż za liniowymi oddziałami Wehrmachtu i ściśle z nim współpracując, aresztowali ludzi na podstawie nakazów wydanych przez piłskie gestapo, które nie zadało sobie nawet trudu, żeby sformułować jakiś konkretny zarzut. Wystarczyło, że uznano kogoś „za wrogo nastawionego do Niemców”, stwierdzono przynależność do polskiej inteligencji lub bliżej nie sprecyzowany „zabór mienia”. Szczególnie cynicznie zachowywano się

wobec miejscowych Żydów, którym przedstawiano nakaz wyjaśniający, że zatrzymani są „w celu ich ochrony”. Niemcy zaplanowali, że dzięki „Operacji Tannenberg” pozyskają także bezpłatną siłę roboczą. Aresztowania więc objęły głównie mężczyzn między 17 a 45 rokiem życia.

Oddziały specjalne (Einsatzkommando) IV Grupy Operacyjnej działały bardzo efektywnie już od pierwszych dni wojny. Kaczory, Morzewo, Zelgniewo, Śmiłowo, Dziembowo, Ujście - wkrótce całą Krajnę objęła fala aresztowań. „Operację Tanenberg” realizowano z iście niemiecką skrupulatnością.



Szczególnym powodem do dumy szefa pilskiego gestapo był „Zivilgefangenenlager Albatros”, czyli tzw. obóz dla jeńców cywilnych, który powstał w hali nieczynnego zakładu lotniczego (Flugzeugwerke „Albatros”) w okolicach dzisiejszej ulicy Lotniczej. Niezbędnych adaptacyjnych przeróbek dokonali pierwsi więźniowie. Halę fabryczną przedzielono siatką drucianą na trzy części. W środkowej stał piec (żeleźniak), który nie był w stanie ogrzać całego obiektu, części boczne służyły za pomieszczenia dla więźniów. Na betonie rozrzucona była słoma, służąca za posłanie. Teren przed jedynym wejściem, gdzie znajdowała się latryna i wanna z wodą, której nigdy nie zmieniano, ogrodzony był drutem kolczastym. Posterunki wartownicze znajdowały się w części środkowej hali oraz przed ogrodzeniem. Niedaleko obozu znajdował się budynek administracyjny, gdzie urządzono strażnicę, pokój przesłuchań oraz biuro komendy.

Więźniów pilnowały pomocnicze oddziały policyjne (Hilfspolizei), rekrutowane przez miejscową komendę policji, które zastąpiły funkcjonariuszy policji granicznej, pełniących służbę wartowniczą w pierwszym okresie istnienia obozu. Komendantem został radca policyjny Wilhelm Mohlenhof.

W Pile więziono obywateli polskich z nadgranicznych powiatów: chojnickiego, sępoleńskiego, wyrzyskiego, chodzieskiego i czarnkowskiego. Pierwszymi osadzonymi byli prawdopodobnie więźniowie

z Wroniek, którzy znaleźli się w Pile około 15 września. Po kilku dniach przywieziono do obozu 36 mieszkańców powiatu wyrzyskiego, przetrzymywanych do tej pory w prowizorycznym areszcie w Grabównie. W dniach od 20 do 28 września znaleźli się tam mieszkańcy Budzyna, Kaczor, Morzewa, Szamocina i Ujścia. Na początku października i następnie 13 listopada przewieziono nauczycieli polskich i działaczy polonijnych z okolic Złotowa, więzionych do tego czasu w prowizorycznym obozie przejściowym w Lipce. W grupie tej był między innymi ks. Maksymilian Grochowski, proboszcz z Głubczyna, prezes V Dzielniczy Związku Polaków w Niemczech.

Obóz był miejscem, gdzie dokonywano wstępnej selekcji. Tutaj zapadały ostateczne decyzje, kto spośród więzionych skierowany zostanie do obozu koncentracyjnego, co praktycznie równało się wyrokowi śmierci, a kto wysłany zostanie na roboty przymusowe do Niemiec. Jednorazowo w obozie przebywać mogło od 350 do 500 osób. Przypuszczać należy, biorąc pod uwagę regularne selekcje więźniów, że przez obóz przewinąć się mogło ponad 1500 obywateli polskich.

„Operacja Tannenberg”, z punktu widzenia jej organizatorów, rozwijała się zgodnie ze scenariuszem, ale była tylko jednym z aktów dramatu, którego pierwszy akt rozpoczął się 1 września 1939 roku.

## Kompania wyrzyska



uż tydzień siedzieli w okopach. Pilnowali przeprawy przez Noteć na południe od Nakła. Ulepszyli i maskowali rowy strzeleckie oraz stanowiska broni maszynowej. Uzupełniali zasieki z drutu kolczastego. Budowali przeszkody i zapory przeciwczołgowe. Dowódca kompanii kpt. Piotr Luck był zadowolony z rezultatów ich pracy, choć jako doświadczony oficer wiedział, iż możliwości pododdziału, pozbawionego osłony artyleryjskiej i broni przeciwpancernej, są mocno ograniczone. Znał każdego ze swoich żołnierzy jak własną kieszeń. Szkolił ich przez dwa lata. Wiedział, że wiele potrafią i nie brak im patriotycznego zapału, ale niepokoił go piknikowy nastrój, jaki panował w kompanii. Żołnierzy pochodzących z okolicy odwiedzali członkowie rodzin. Panował optymizm. W wybuch wojny niewiele wierzyło.

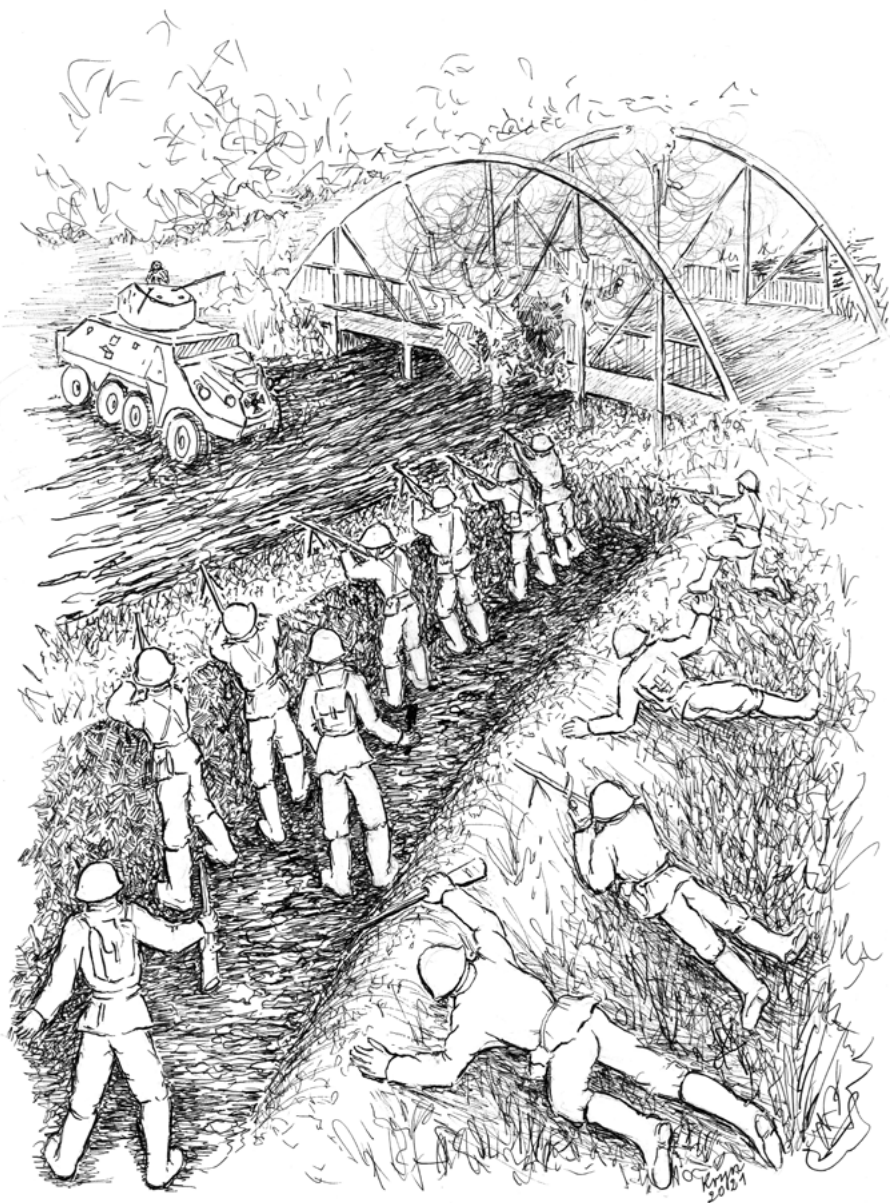
Dopiero ostatniego dnia sierpnia widok licznych kolejowych transportów ewakuacyjnych, podążających na wschód oraz wydanie ostrej amunicji zmieniły nastroje. Noc była niespokojna. Mijała wśród częstych alarmów. Kompania zajęła wyznaczone odcinki obrony. Na pierwszej linii znalazł się 3 pluton por. Zygmunta Przasnyckiego. Reszta sił stanowiła odwód zgrupowany w lesie, na południe od wsi Paterek.

Wczesnym rankiem 1 września 1939 r. żołnierze wyrzyskiej kompanii usłyszeli dalekie odgłosy artyleryjskiej kanonady. Wkrótce ze starostwa w Wyrzysku nadszedł telefoniczny meldunek, powiadamiający o wybuchu wojny. Potwierdził go również telefon ze sztabu 15 Dywizji Piechoty. Nie było już wątpliwości. Wojna stała się faktem.



Było ich 162. Czterech oficerów oraz 158 podoficerów i szeregowców, uzbrojonych jedynie w zwykłe karabiny i bagnety. Sami Polacy. Wszyscy pochodzili z Wyrzyska i okolicznych wsi. Nie byli amatorami, lecz świetnie wyszkolonymi żołnierzami. Powiat wyrzyski bowiem, trzeci co do obszaru w Wielkopolsce, swą północno-zachodnią częścią przylegał do ówczesnej granicy Polski z Niemcami. Spuścizną





po latach niewoli i germanizacji była tu wrogo nastawiona do państwa polskiego mniejszość niemiecka, która stanowiła ponad 20 proc. ogółu ludności powiatu. Ta specyficzna sytuacja sprawiała, że przygotowanie patriotyczno-obronne miejscowych Polaków stanowiło zadanie szczególnie ważne. Jego realizację powierzono przysposobieniu wojskowemu. Kierował nim kpt. Piotr Luck, powiatowy komendant PW i WF, późniejszy dowódca wyrzyskiej kompanii.

W marcu 1937 r. minister spraw wojskowych wydał rozkaz o utworzeniu Obrony Narodowej - jednostek o dużej sprawności alarmowej i gotowości bojowej, zlokalizowanych na obszarach szczególnie wrażliwych z punktu widzenia obrony państwa. Tworzenie ich miało odbywać się bez skoszarowania, na zasadzie oddziałów regionalnych, składających się z miejscowych rezerwistów. Jedną z najwcześniej powołanych do życia jednostek tego rodzaju była kompania wyrzyska, wchodząca w skład Batalionu Obrony Narodowej „Nakło”, obejmującego zasięgiem swego działania obszar powiatu wyrzyskiego. Zadbano o wysoki poziom kwalifikacji oraz walorów osobistych zarówno kadry dowódczej, jak i żołnierzy. Do oddziału przyjmowano jedynie Polaków o nieposzlakowanej lojalności wobec państwa. Stąd też przynależność do Obrony Narodowej traktowano jako wyróżnienie.

Do dyspozycji dowódcy kompanii w Wyrzysku oddano budynek Bractwa Kurkowego oraz nieczynną bóżnicę w Wyrzysku, gdzie znajdował się magazyn broni. Do kompanii kierowano podoficerów i szeregowych rezerwy, nie posiadających przydziału mobilizacyjnego i pochodzących z najbliższej okolicy, w promieniu około 12 kilometrów od kwatery dowódcy. W okresie pokoju każdy żołnierz posiadał na przechowaniu w domu komplet umundurowania. Natomiast broń i pozostały sprzęt znajdował się w magazynie i wydawany był na czas ćwiczeń. W jednostce wyrzyskiej odbywały się one co kwartał.



24 sierpnia rankiem do żołnierzy kompanii dotarła informacja o mobilizacji alarmowej. Równocześnie przeprowadzono pobór koni wierzchowych i pociągowych do biedek oraz wozów taborowych, głównie



z okolicznych majątków ziemskich. Pododdział gotowość bojową osiągnął już o godzinie 11.00, po czym zakwaterowano go w gmachu szkoły przy ul. Bydgoskiej. Nocą żołnierzy przewieziono do Nakła. Tu następnego dnia odbyła się uroczysta przysięga całego nakielskiego batalionu. Przyjmował ją ks. Ignacy Geppert - miejscowy proboszcz. Po tej uroczystości żołnierze pomaszerowali do miejscowości Paterek, położonej za Notecią, gdzie mieli już wyznaczone kwatery i sprecyzowane zadania.



1 września około godziny 16.00 w rejonie mostu kolejowego, bronionego przez 3 pluton wyrzyskiej kompanii, pojawił się samochód pancerny nieprzyjaciela, który po krótkiej wymianie ognia się wycofał. Nieco wcześniej polscy saperzy wysadzili mosty na Noteci, aby opóźnić ofensywę wroga. W tej sytuacji Niemcy okopali się na północnym brzegu rzeki, w czym skutecznie przeszkadzał im ogień strony polskiej. Potem nie przejawiali większej ochoty do forsowania Noteci, a Polacy bronili się skutecznie.

Tak minęły pierwsze dni września. W godzinach popołudniowych 3 września kompania otrzymała polecenie przekazania swych stanowisk pułkowi piechoty z 26 DP. Natomiast w nocy wraz z całym batalionem rozkazano jej marszem ubezpieczonym zmierzać do szosy Bydgoszcz - Inowrocław. Jedynie 3 pluton ppor. Z. Przasnyckiego, broniący rejonu mostu kolejowego, nie zdołał wykonać tego rozkazu. Następnego dnia próba wycofania się nie powiodła się. Padli pierwsi polegli: Franciszek Jędras, Edward Pazderski oraz kapral Alfons Mrotek. Było też kilku rannych. Odejście nastąpiło dopiero w następną noc. Po forsownym marszu 3 pluton ppor. Z. Przasnyckiego dotarł do Szubina, gdzie został włączony do 26 DP, dzieląc z nią swe dalsze wojenne losy. Do kompanii już nie powrócił. Natomiast dwa pozostałe plutony dołączyły do wycofujących się szosą w kierunku Inowrocławia oddziałów 15 DP.



Minęły dwa tygodnie walk. W niedzielę 17 września, po klęsce w bitwie nad Bzurą, żołnierze kompanii wyrzyskiej wraz z resztkami

batalionu ON „Nakło” przebijali się w kierunku Warszawy. Nękani przez niemieckie lotnictwo, maszerowali w szyku rozczłonkowanym, często na przełaj. Nie posiadali żadnej broni przeciwko samolotom wroga. Ale i tak mieli szczęście. Tylko jedna bomba trafiła w tabory batalionu. Zniszczone zostały dwa wozy, zginęli woźnice i konie.

W południe burza powstrzymała na chwilę ataki lotnicze. Pozwoliło im to dotrzeć do Sannik, wsi położonej kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy. Wieś płonęła, więc poszli dalej. Batalion z coraz większym trudem utrzymywał swą zwartość. Zapadł zmierzch. Wśród stłoczonych na niewielkiej przestrzeni rozbitków z różnych oddziałów Armii „Poznań” i „Pomorze”, nękanych lotniczymi bombardowaniami, doszło do chaosu i paniki. Zwarty dotąd Batalion ON „Nakło” przestał organizacyjnie istnieć.

Żołnierze wyrzyskiej kompanii przetrwali tę straszną noc. Wczesnym rankiem następnego dnia pod czujnym okiem swego dowódcy kpt. Piotra Lucka przeszli w bród Bzurę i wśród dalszych walk przez Puszcę Kampinoską dotarli do Palmir. Stamtąd wraz z resztkami innych oddziałów przebili się do Warszawy, by wziąć udział w jej obronie. Pojedynczy żołnierze kompanii walczyli także w obronie Modlina. Do końca ofiarnie bronili ojczyzny, a ich żołnierski trud zasługuje na wieczną pamięć mieszkańców ziemi wyrzyskiej.

## Płonące strażnice



ończył się dzień 31 sierpnia 1939 roku. Zbliżała północ. Na placówce Straży Granicznej w Jeziorkach, siedem kilometrów od niemieckiej wówczas Piły, panował spokój, ale żołnierze czuwali. Gdy 15 sierpnia Niemcy zamknęły wszystkie przejścia graniczne na Krajinie, oczywiste było, że wojna zbliża się wielkimi krokami, choć byli i tacy, którzy do końca wierzyli, że da się jej uniknąć. Pod koniec sierpnia placówki Straży Granicznej wzmocniono plutonami żołnierzy, najczęściej z batalionów Obrony Narodowej. Tak było również w Jeziorkach. Tu spodziewano się szczególnie silnego uderzenia. Strażnica bowiem usytuowana była w leśnej dolince, po prawej stronie szosy prowadzącej z Piły do Bydgoszczy. I osłaniała miejsce o szczególnym znaczeniu strategicznym.

Dwadzieścia minut po pierwszej w nocy rozległ się głuchy wybuch pocisku artyleryjskiego. Dla niemieckiej grupy dywersyjnej był to sygnał do ataku na posterunek w Jeziorkach. Mimo że Polacy cały czas czujnie obserwowali „ziemię niczyją”, wsparte silnym ogniem karabinów maszynowych natarcie zaskoczyło ich i przyniosło do ziemi. Na szczęście nie odcięto drogi odwrotu.

Po kilkunastu minutach zaciętej walki obrońcy, wobec przeważających sił nieprzyjaciela, postanowili się wycofać. Nie była ich zadaniem obrona granicy za wszelką cenę. Mieli jedynie chronić jej przed przenikaniem na polską stronę niewielkich grup dywersantów, które od kilku tygodni nękały całe niemiecko-polskie pogranicze.

Pluton żołnierzy wraz ze strażnikami odszedł w kierunku Wysokiej. Na posterunku pozostał jedynie obsługujący karabin maszynowy kapral Piotr Konieczka. Przez kilka minut ogniem swej broni skutecznie osłaniał odwrót kolegów. Był jednak bez szans. Kula trafiła go w piersi, poważnie raniąc. Osunął się na ziemię. Żył jeszcze. Natychmiast do krwawiącego żołnierza podbiegli Niemcy. Kolbami dobili rannego. O godzinie pierwszej minut czterdzieści było już po wszystkim. Posterunek Straży Granicznej w Jeziorkach wpadł



w ręce Niemców. Kilka godzin potem ruszyły szosą do Bydgoszczy jednostki Wehrmachtu - 4 armii gen. Günthera von Klugego.



Wieś Zelgniewo była oddalona zaledwie trzy kilometry od granicy i osiem od Piły. Miała wówczas zwartą zabudowę. Na jej północnym skraju stała poczta, placówka Straży Granicznej, remiza straży pożarnej oraz okazały, piętrowy dom leśnictwa. Na południowym - krzyż, a przy nim szkoła. Kiedyś istniał tu olbrzymi dwór, włości jednak rozparcelowano. Pozostały tylko okazałe obory i stodoły oraz znacznie skromniejszy pałacyk. Większość mieszkańców wsi była Niemcami oraz - jak się tu mówiło - „żółtymi girami”, czyli katolikami, niekiedy w połowie Polakami, w połowie Niemcami. Zaledwie dziesięć gospodarstw należało do Polaków.

Służbę w placówce Straży Granicznej w Zelgniewie pełniło siedmiu strażników, wspartych plutonem wojska. Tu również czuwano tej nocy, spodziewając się napadu dywersantów. Atak na posterunek w Zelgniewie przeprowadziła grupa miejscowych volksdeutsche, którzy obiecywali swym mocodawcom w Pile, że „sami zdobędą swoją wieś”. O godzinie pierwszej piętnaście ktoś rzucił granat do budynku nadleśnictwa, gdzie kwaterowali żołnierze plutonu Obrony Narodowej. Dom zaczął płonąć, ale nikt nie zginął, bo nikogo w nim nie było. Strażnicy i dziesięciu rezerwistów z plutonu wzmocnienia, spodziewając się ataku, czatowali gdzie indziej - w piwnicy domu emerytowanego nadleśniczego. Widząc w poświacie księżycy grupę uzbrojonych Niemców, otworzyli do nich ogień karabinowy. Odpowiedzieli im dywersanci, którzy między innymi strzelali z dachów domostw należących do Niemców.

Do głównego starcia doszło wokół skrzyżowania dróg z Piły, Głubczyna i Wysokiej, przy północnym skraju wsi. Strażnicy bronili się zza opłotków oraz z budynku placówki. Poległ tu trzydziestoletni cywil, syn rolnika, Aleksander Gulczyński, który swoją dubeltówką bronił poczty. Ranni zostali wówczas komendant placówki Marceli Nowak oraz jeden z żołnierzy ON. Napad się nie powiódł. Dywersanci

utrzymali jedynie w swych rękach ostatnie zabudowania wsi. W tym pierwszym starciu zginęło czterech Niemców.

Drugi atak nastąpił po 20 minutach. Podpalono pocztę i dom sołtysa. Niemcy, nie mogąc zdobyć wsi, wystrzelili zielone rakiety, wzywając w ten sposób regularne oddziały Wehrmachtu. Te po kilku godzinach nadeszły od strony Głubczyna. W tym czasie część obrońców wycofała się w kierunku Wysokiej, reszcie udało się ująć w pojedynkę. Jedynie strażnik Szczepan Ławniczak nie miał szczęścia. Uciekając motorem, przy ostatnim gospodarstwie wpadł w zasadzkę, urządzoną przez synów niemieckiego rolnika. Poturbowany, schronił się w stodole, ale napastnicy znaleźli go i siekierą roztrzaskali mu głowę.



Krajna, zamieszkała przez około dwudziestoprocentową mniejszość niemiecką, była jedną z najbardziej „gorących” stref przygranicznych Drugiej Rzeczypospolitej. W czasie powstania wielkopolskiego dochodziło tu do ciężkich walk pomiędzy Reichswehrą, operującą z pobliskiej Piły, a polskimi powstańcami. Dlatego nawet najmniejsze informacje o możliwym konflikcie polsko-niemieckim budziły obawy przed odwetem strony niemieckiej za czasy powstania.

Pas graniczny, podlegający Komendzie Straży Granicznej w Nakle nad Notecią, ciągnął się przez 91 kilometrów, od Noteci (powiat chodzieski), obrzeżem ówczesnego powiatu wyrzyskiego, ku powiatowi sępoleńskiemu na północy. Istniało tu dziewięć przejść granicznych oraz dwanaście posterunków Straży Granicznej, podlegających czterem komisariatom. W nocy 1 września 1939 roku niemal na wszystkie z nich napadli niemieccy dywersanci. Płonęły budynki, ginęli strażnicy i żołnierze plutonów ochrony oraz cywile, którzy bronili swych domostw przed okrucieństwem napastników, a byli nimi często ich sąsiedzi z czasów pokoju.



1 września Giersz, chłop z Jeziorek, na rozkaz Niemców na konnym wozie przywiózł do Śmiłowa, gdzie znajdował się najbliższy kościół

i cmentarz, zwłoki dwóch dorosłych mężczyzn: kaprała Piotra Konieczki oraz strażnika granicznego Szczepana Ławniczaka. Oba ciała przykryte były służbowymi płaszczami. Gdy wóz stanął pod miejscowym kościołem, zebrał się tłum mieszkańców wsi.

Jak niektórzy z nich relacjonowali po wojnie, do wozu podszedł major Wehrmachtu i zażądał odkrycia zwłok. Gdy ściągnięto płaszcz z trupa w żołnierskim mundurze, zapytał: „Kto to jest?”. Powiedziano mu, że to ten żołnierz, który samotnie bronił posterunku w Jeziorkach. Wtedy major stanął na baczność i zaszalutował, po czym rzekł: „To jest bohater. Jako żołnierz nie złamał przysięgi”.

Oficer ów na pewno wtedy nie wiedział, że Piotr Konieczka był jednym z pierwszych żołnierzy polskich, którzy polegli w czasie II wojny światowej. Zginął, zanim pierwsze bombowce Luftwaffe nadleciały nad Wieluń i zanim pancernik „Schleswig-Holstein” oddał pierwszą salwę na Westerplatte.



## Bestia z Łobzenicy



hrabia Limburg Stirum czuł, że polski kontrwywiad jest na jego tropie. Nie krył się z faszystowskimi poglądami, ale o jego współpracy z niemieckim wywiadem wiedzieli tylko nieliczni. Hrabia był właścicielem kilku majątków na Krajnie: w Ratajach i Chlebnie. Zatrudniał miejscowych Niemców, którzy pomagali mu w jego szpiegowskiej działalności, zbierając informacje o dyslokacji polskich oddziałów, obsadzających właśnie granicę. Wśród nich był Harry Schultz, bezrobotny z Łodzi, którego przygarnął i obdarzył stanowiskiem księgowego w łobzenickim młynie. Gardził hrabia jego prostactwem i z trudem ukrywanym sadyzmem, ale cenił sobie bezgraniczną lojalność i spryt młodego volksdeutscha.

Teraz siedzieli naprzeciwko siebie w niewielkiej kanciapie łobzenickiego młyna i się zastanawiali, co zrobić w sytuacji, w jakiej się znaleźli. Był koniec sierpnia 1939 roku, wojna wisiała na włosku, a im groziło albo aresztowanie i wyrok za szpiegostwo, albo w najlepszym razie powołanie do polskiej armii i wysłanie do mobilizujących się jednostek na wschodnich kresach Rzeczypospolitej.

- Nie ma wątpliwości. Jedyne szansa to uciec na naszą stronę. Do Złotowa - zdecydował hrabia. - I ty mi w tym pomożesz.

- Tak jest, panie hrabio. Mam kilku znajomych wśród strażników, poznałem także, jak mi pan hrabia wcześniej zlecił, kilka słabych punktów w ochronie ich granicy.

- A nie złapią nas? - Limburg Stirum mimo junkierskich tradycji swojej rodziny do odważnych nie należał.

- Bez obaw, panie hrabio.

Schultz miał rację. W ostatnich dniach sierpnia obaj przekroczyli granicę i znaleźli schronienie w Złotowie.



Przed wojną zaledwie pięć kilometrów dzieliło Łobzenicę od granicy polsko - niemieckiej. Już więc 1 września 1939 r. żołnierze niemieccy zajęli miasto. Był z nimi Harry Schultz. Status volksdeutscha nie zaspakajał



jego ambicji. Postanowił zasłużyć sobie na miano prawdziwego Niemca. Z miejscowych rodaków zorganizował oddział paramilitarny i rozpoczął swoją prywatną wojnę. Pierwszymi jej ofiarami stali się Polacy, wskazywani przez miejscowych Niemców. Typowe sąsiedzkie porachunki. Potem aresztowania objęły polską inteligencję, księży i urzędników.

Takich samozwańczych oddziałów na terenie byłego zaboru pruskiego powstało wtedy więcej. Skrupulatni Niemcy postanowili je więc prawnie usankcjonować. Utworzono Selbstschutz (samoobronę). Harry Schultz został zastępcą szefa powiatowej struktury Selbstschutzu w Wyrzysku, a jego aktywność sprawiła, że niebawem łobzenicki areszt zappełnił się Polakami. Wtedy też ujawniły się jego sadystyczne skłonności. Z upodobaniem katował mężczyzn i gwałcił kobiety w więzieniu.

- Najgorsze były noce - wspominał po latach jeden z ocalałych. - Pijani selbstschutzmani, powróciwszy z libacji, przystępowali ze zdwojoną energią do katowania swych ofiar. Pobitych zamykano w karcerze, urządzonym w zarobaczonym kurniku. Siedzieliśmy stłoczeni w niewielkich celach i aby dodatkowo nas upokorzyć, pożywienie podawano w spluwaczkach.

Gdy w połowie listopada niemieckie władze sądowo-policyjne przejęły kontrolę nad więzieniem, przebywało w nim zaledwie 12 Polaków. Większość więźniów łobzenickiego Selbstschutzu została wymordowana na miejscu lub w tajnych egzekucjach poza miastem. Skazańców przywożono na miejsce straceń samochodami ciężarowymi bądź wozami konnymi w grupach nie większych niż 20 osób. Wiązano im ręce drutem kolczastym. Czasami ofiary musiały przed śmiercią same wykopać sobie groby. W ten sposób zamordowano około 200 mieszkańców Łobzenicy i okolicznych miejscowości.



Sanktuarium Maryjne w Górze Klasztornej jeszcze przed wojną było solą w oku faszystów. Tu bowiem na niedzielnych mszach gromadzili się Polacy, zamieszkujący także przygraniczne niemieckie tereny Złotowszczyzny. Na początku września poprawne zachowanie niemieckich żołnierzy Wehrmachtu (katolików z Bawarii) sprawiło, iż

zakonnicy zdecydowali o pozostaniu w Górcie. Przez pierwszych kilka tygodni okupacji ich życie toczyło się na pozór normalnie.

23 października 1939 Schultz i jego kompani zajęli klasztor i urządzili w nim „dziki” obóz koncentracyjny. Początkowo poza braćmi góreckimi przetrzymywali tu wyłącznie polskich księży z powiatu wyrzyskiego. Uwięzieni duchowni nie mogli utrzymywać żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Za każde naruszenie rygoru obozowego byli bici i znieważani. Braci prowadzono codziennie pod eskortą do robót rolnych w majątku hrabiego Limburga w Ratajach.

W nocy z 11 na 12 listopada 1939 roku skrupowanych duchownych umieszczono na ciężarówkach. Wiedzieli, co ich czeka, dlatego jeden z nich, ks. Bolesław Wysocki, próbował uciec. Zginął od kuli. Pozostałych wywieziono do miejscowości Paterek i tam rozstrzelano. Oprawcy nie kryli swej zbrodni. Niejaki Robert Wembler chwalił się później, że rozplątał szpadlem głowę jednej z sióstr zakonnych, gdy ta usiłowała wydostać się z masowego grobu.

W opróżnionym w ten sposób klasztorze Selbstschutz uwięził 36 Żydów, przywiezionych z prowizorycznego obozu w Lipce. Wieczorem 23 listopada pijani selbstschutzmani pod dowództwem Schultza rozpoczęli niczym nie sprowokowaną rzeź. Najpierw wszystkich więźniów ciężko pobito. Dziewczętom żydowskim, uprzednio zgwałconym, kazano przed śmiercią rozebrać się do naga i biegać po ogrodzie w świetle latarek, szczując je przy tym psami. Na krótko przed egzekucją jedna z kobiet urodziła dziecko, które Schultz kazał zakopać żywcem w grobie.

Podczas tej orgii śmierci zamordowali także Polkę - Annę Jaworską.



Anna Jaworska z Liszkowa to postać niezwykła. Jako 23-letnia dziewczyna wzięła udział w powstaniu wielkopolskim. Była łączniczką i zwiadowcą. W dowód odwagi została odznaczona Krzyżem Walecznych oraz Krzyżem Virtuti Militari. Po wojnie pracowała z mężem w majątku niemieckich hrabiów Witzlebenów, przez których była szykanowana. Rodzinę jej chciano eksmitować z mieszkania. Doszło do procesu z hrabią, a Polka go wygrała.

Po wybuchu wojny kaźń bohaterki zaczęła się już w majątku w Liszkowie, gdzie miejscowi Niemcy wlewali jej wrzątek do ust, a mężowi wybili wszystkie zęby. Następnie przewieziono oboje do Górki. W ową okrutną noc likwidacji obozu przywiązano jej do nóg liny i dwóm grupom Żydów, po pięciu w każdej, nakazano ciągnąć w przeciwnych kierunkach. Obiecano im, że w ten sposób uratują swoje życie. Kobieta została rozerwana żywcem, wnętrzności wypłynęły. Schultz kopnął strzępy skrwawionego ciała do dołu. Następnie rozkazał zastrzelić pomagających mu w tej zbrodni Żydów.



Po rozwiązaniu Selbstschutzu (26 listopada 1939) i ustanowieniu państwowej administracji niemieckiej na zajętych terenach Pomorza Schultz nie otrzymał żadnego, ważniejszego stanowiska w strukturach okupacyjnych. Był zawiedziony. Złożył więc wniosek o przyjęcie do SS, który został jednak odrzucony.

W styczniu 1940 do niemieckiej prokuratury w Bydgoszczy wpłynęło zawiadomienie, złożone przez funkcjonariuszy żandarmerii z Łobżenicy, informujące o licznych przestępstwach Schultza, w tym dokonywanych przez niego gwałtach na polskich i żydowskich kobietach, co w świetle prawodawstwa III Rzeszy stanowiło zbrodnię „pohańbienia rasy”. Zarzuty były poważne i władze niemieckie zdecydowały się wytoczyć volksdeutschowi Schultzowi proces. Oskarżał w nim niemiecki prokurator Tauscher, charakteryzujący się względną uczciwością wobec Polaków.

Podczas rozprawy wyszło na jaw, że nawet miejscowi Niemcy byli wstrząśnięci postępowaniem Schultza, którego uważano za socjopatę i degenerata. Zapadł surowy wyrok. Za pięć udowodnionych gwałtów został skazany na 15 lat ciężkiego więzienia i pozbawienie praw obywatelskich na 10 lat. Jego przełożeni i podwładni pozostali bezkarni - byli Niemcami.



Pobył w więzieniu w Koronowie i świetna znajomość języka polskiego sprawiły, że po wyzwoleniu Harry Schultz początkowo uniknął

kary. Osiedlił się w Szczecinie. Ożenił z Polką. Ukrywał swoją prawdziwą tożsamość, podając się za Henryka Szulca, Polaka i katolika. Jako były więzień Koronowa kreował się nawet na ofiarę nazizmu.

Siedem lat po wojnie przypadkowo rozpoznał go Antoni Warpiński z Kościerzynki pod Łobżenicą. Schultz, uznany za winnego zamordowania 186 mieszkańców powiatu wyrzyskiego, został przez sąd skazany na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok wykonano.

## Morzewska zbrodnia



rzemał skulony na więziennej pryczy. W zatłoczonej celi śmierdziało potem i ekskrementami. Budził się co chwila i spoglądał w zakratowane okno. Było ciemno.

- Ciekawe, która godzina? - zastanawiał się. Zegarek zabrali mu gestapowcy zaraz po aresztowaniu, a noce w listopadzie są długie. Równie dobrze mogła być druga lub piąta nad ranem.

Znowu przysnął. Ujrzał dom rodzinny w Rzadkowie. Solidny, murowany. Ojciec był bogatym chłopem. Pracowity, a do tego miał łeb do interesów. Polak z krwi i kości. Nienawidził Niemców. Nie daj Boże odezwać się w domu po niemiecku. Świst ojcowskiego pasa zabrzmiał mu jak kołysanka. Listopad. Taki jak ten. Długie wieczory i matka czytająca do snu polskie książki lub śpiewająca ciepłym głosem pieśni patriotyczne.

Ocknął się na chwilę. Sąsiad zachrapał głośno. Usłyszał, jak poruszył się i po chwili zaczął znowu równo oddychać.

- Pewnie przewrócił się na drugi bok - pomyślał i znowu zapadł w półsen.

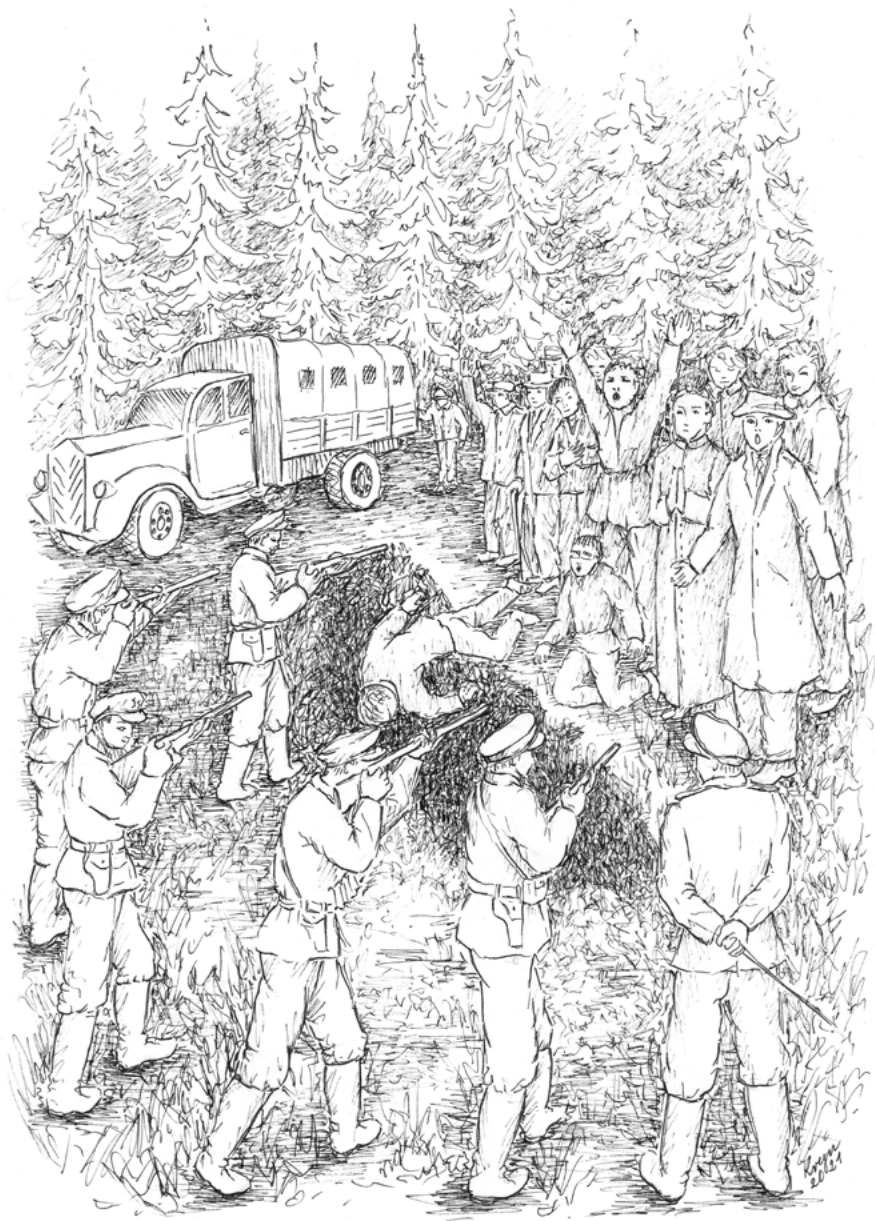
Wojsko. Niemiecki znienawidzony mundur, w którym ojciec nie mógł go znieść, ale nie miał wyboru. On i jego synowie byli poddanymi cesarza. „Wilusia”, jak go na Krajnie nazywano. W połowie grudnia 1918 r. dostał urlop. Przyjechał do rodziców. Tu dotarła do niego wiadomość o wybuchu powstania. Natychmiast wsiadł do pociągu. Z Kaczor, przez Piłę i Chodzież dotarł do Poznania. Na dworcu kolejowym zerwał z munduru, płaszcza i czapki niemieckie dystynkcje wojskowe i zgłosił się do powstańczego wojska. Przyjęto go z otwartymi ramionami.

Znowu obudził się. Mimo chłodu w celi oblał go zimny pot.

- Nie! Powstania mi Prusaki nie darują! - pomyślał. Znał ich mentalność. Widział, jak faszyzm demoralizuje jego sąsiadów, Niemców, którzy mieszkali w Budzynie i byli uczniami tamtejszej szkoły. Uczył matematyki, ale jako były oficer, przysposobienia wojskowego. Należał do kombatanckich organizacji. Nie taił swojego stosunku do Niemców. Czuł też ich nienawiść do siebie, gdy aresztowali go i zamykali w chodzieskim więzieniu.

- Jedynie uczciwy proces może mnie uratować! Niech tylko postawią mi jakieś zarzuty, bym wreszcie wiedział, o co chodzi i dlaczego tu siedzę. - Znał





wielu porządnym Niemców, którzy będą zeznawać na jego korzyść. Usnął więc nieco uspokojony.

Kilka godzin później stał na placu apelowym wraz z innymi osadzonymi w tym czasie w chodzieskim więzieniu. Odczytywano nazwiska więźniów, których następnie ładowano do ciężarówki.

Po chwili usłyszał komendę:

- Władysław Kaja, geboren am 10. Dezember 1894, Lehrer aus Budzyń. Auftreten! (Władysław Kaja, urodzony 10 grudnia 1894 roku, nauczyciel z Budzynie. Wystąp!).



W tym czasie szwagier Władysława, rolnik z Morzewa Antoni Zebel, znalazł się w pobliżu Wzgórz Morzewskich. Po latach tak zeznawał przed Okręgową Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich:

„Siódmego listopada 1939 r. pomiędzy godziną 12 a 13 udałem się na moją łąkę, droga prowadziła przez Wzgórze Morzewskie. Gdy doszedłem do lasu, minął mnie samochód z żołnierzami niemieckimi. Byli to prawdopodobnie funkcjonariusze gestapo z Chodzieży w liczbie około sześciu, którymi dowodził podporucznik. Żołnierze wyszli z samochodu z oskardami i łopatami w rękach i udali się na stok wzgórza [...]. Szedłem dalej w stronę Noteci z obiadem dla pastuchów. Około godziny 14-tej wracałem tą samą drogą do domu w Morzewie. Zauważyłem, iż droga i wzgórze były obstawione niemieckimi żołdakami. Spędzono wszystkich ludzi z łąk i lasu [...]. Za chwilę pojawił się na drodze do Chodzieży samochód ciężarowy, a za nim samochody osobowe. Widząc, co się święci, ukryłem się w stogu siana. Samochody zatrzymały się na drodze, w odległości 100 metrów od mojego stanowiska obserwacyjnego. Z samochodu ciężarowego schodzili mężczyźni w ubraniach cywilnych i żołnierze niemieccy. Z samochodów osobowych wysiedli również Niemcy, mężczyźni w ubraniach cywilnych schodzili parami. Tych par mogło być około 12. Wśród krzyku i przekleństw żołnierze niemieccy poprowadzili jeńców pod stok wzgórza. Wśród nich rozpoznałem wysoką i okazałą postać mojego szwagra, Władysława Kaję, kierownika szkoły podstawowej w Budzynie. Szedł w ostatniej parze prawdopodobnie z księdzem Łakotą, proboszczem z Budzynie. Pochód skazańców zbliżył się do skraju lasu, gdzie niemieccy żołnierze

wykopali mogiłę. Wkrótce usłyszałem serię z karabinu maszynowego. Na chwilę zapanowała cisza. Nie trwała ona jednak długo, bowiem oprawcy dobijali ofiary pojedynczymi strzałami z pistoletu. Widziałem dokładnie cały przebieg bestialskiej egzekucji na niewinnych ludziach. Wśród ogólnej wesołości żołdacy niemieccy udali się z powrotem na drogę, gdzie wsiadli do samochodów i odjechali w stronę Chodzieży. Na wzgórzach i drogach pozostały jednak posterunki. W swoim ukryciu przeczekałem jeszcze około godziny. Wtem znowu widzę, jak od strony Chodzieży nadjechały te same samochody. Zdjęty obawą, wyszedłem ze swego ukrycia i spotkałem nadchodzącego od strony rzeki stróża Jana Piekarskiego. Robiło się już szaro. Z oddali usłyszałem znów strzały z broni maszynowej i pistoletów. Dokonano egzekucji drugiej grupy więźniów”.



Gdy Władysław Kaja znalazł się w samochodzie, zdał sobie sprawę, że to jego ostatnie chwile. Nie będzie ani aktu oskarżenia, ani procesu, na co liczył. Znalazł w kieszeni ogryzek ołówka i kartkę papieru. Niemcy nie zauważyli ich podczas rewizji. Teraz mu się przydały. W ciężarówce zdołał skreślić do swoich bliskich kilka słów: „Wywieźli nas! Żegnajcie moi kochani i módlcie się za mną. Wasz Tatuś! Cho 7/XI 39” – napisał na skrawku papieru, który udało mu się wyrzucić z samochodu. Karteczka została odnaleziona. Ocalała.

U podnóża Wzgórz Morzewskich więźniów spędzono z samochodu i pognano w górę. Tam ustawiono ich nad wykopanym wcześniej dołem i rozstrzelano serią z karabinu maszynowego. Dających oznaki życia dobijano strzałami z pistoletu.

Godzinę później samochód powrócił do Chodzieży po kolejne 22 osób. Władysław Kaja już wtedy nie żył.

Tego samego dnia w odległym o kilkanaście kilometrów Paterku pod Nakłem rozstrzelany został jego brat - Wiktor Kaja, kierownik szkoły w Białośliwiu.



W egzekucji na Wzgórzach Morzewskich zginęło 40 osób narodowości polskiej i 2 narodowości niemieckiej. Jednego z Niemców, nauczyciela

religii ewangelickiej Oskara Fuhrmana, zabito za to, że był oficerem rezerwy Wojska Polskiego. Drugiego, Paula Dreikanta z Lipin, rozstrzelano, ponieważ przed wojną zdarzało mu się publicznie drwić z Niemców.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem Joanna Kaja, żona Władysława, dowiedziała się o tragedii. Przebywała wtedy z trójką dzieci w domu brata ok. 1000 m od miejsca mordu. Powiedział jej o tym Antoni Zabel, który obserwował mord z ukrycia. Zbrodnia szybko stała się publiczną tajemnicą.



Masowego mordu na Wzgórzach Morzewskich dokonano w ramach Generalnego Planu Wschodniego, Intelligenzaktion Posen Generalplan Ost, GPO), którego celem była likwidacja wielkopolskiej inteligencji. Po wejściu Niemców do Chodzieży we wrześniu 1939 roku najpierw nadzór nad znajdującym się w mieście więzieniem sądowym sprawował Selbstschutz. W październiku przejęło je gestapowskie Einsatzkommando 15 – Aussenstelle Kolmar (Ekspozytura Chodzież) z Franzem Wolfem na czele. Rozpoczęły się aresztowania zwłaszcza wśród polskiej inteligencji. Zatrzymywano działaczy politycznych i społecznych, weteranów powstania wielkopolskiego, urzędników, księży i osoby podejrzane o działalność antyniemiecką. Do dnia zbrodni przez więzienie przewinęło się blisko 150 osób.

Wiadomo, że wśród oprawców byli: sekretarz kryminalny Franz Wolf z Kolonii, asesory kryminalni Karl Kreis i Willy Meyer z Osnabrück oraz Karl Tag z Reichenbergu, a także urzędnicy kryminalni Helmut Stiemert z Koblencji i Karl Urferer z Linzu.



Gdy w 1944 roku zbliżały się wojska radzieckie, Niemcy ekshumowali ciała ofiar i spalili je w celu zatarcia śladów. Nie wiedzieli, że Antoni Zabel obserwował zbrodnię ukryty w kopie siana.

Po wojnie na miejscu kaźni okoliczna ludność postawiła obelisk upamiętniający rozstrzelanych. Obecnie znajduje się tam pomnik ze zweryfikowaną po latach listą zamordowanych osób. Jako Miejsce Pamięci Narodowej wpisany został 23 listopada 1993 roku do rejestru zabytków.

## Napad na pociąg w Kalinie



kwietniową noc 1942 roku oddział wyruszył w kierunku Kaliny. Jego dowódca otrzymał meldunek od współpracującego z partyzantami kolejarza, że z Piły w kierunku Chodzieży będzie jechał słabo chroniony niemiecki pociąg z amunicją. Zadaniem partyzantów było zatrzymanie, a potem zależnie od okoliczności opanowanie go, zdobycie jak największej ilości broni i zniszczenie transportu.

Noc była ciepła i pogodna, widoczność dobra, a drogi i ścieżki suche. Do Kaliny dotarli bez przeszkód. Wokół przystanku kolejowego było cicho i pusto. Dowódca rozstawił poszczególnych strzelców wzdłuż toru. Oślaniał ich przylegający do dworca las.

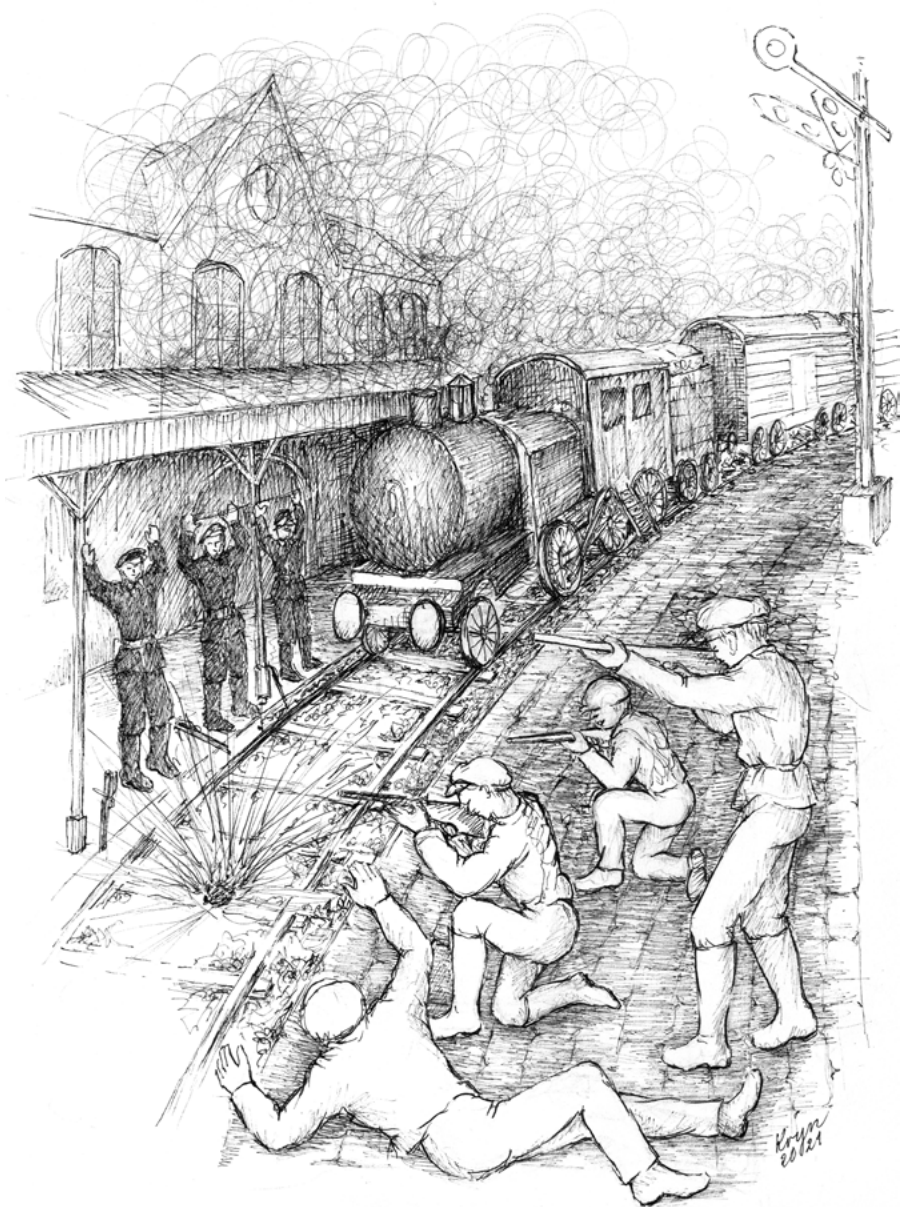
Czekali. Czas dłużył się w nieskończoność, a niepokój rósł. Wszak w każdej chwili zasadzka mogła być odkryta nawet przez przypadkowego cywila. Wreszcie nadjechał pociąg. Wybuch granatów, serie z broni maszynowej i cisza. Padła głośna komenda dowódcy: „Chłopcy, na-przód!”. Partyzanci poderwali się do ataku...

Napad na pociąg w Kalinie pod Piłą był najbardziej spektakularną akcją oddziału partyzanckiego „Leśnych Orłów”. Historykom nie są znane jej szczegóły, a naoczni świadkowie już nie żyją. Nigdy też nie utrwaliła się w społecznej świadomości pamięć o tym wydarzeniu. Podobno walka trwała kilka godzin i zakończyła się pełnym sukcesem partyzantów. Niemcy stracili około dziesięciu zabitych, a partyzanci zyskali sporo broni i amunicji.



W polskim ruchu oporu w czasie okupacji oprócz dwóch kierunków polityczno-wojskowych: prolondyńskiego, w którym przewodziła Armia Krajowa wraz z Delegaturą polskiego rządu emigracyjnego, oraz lewicowego, w którym wiodącą rolę odgrywała PPR, istniała jeszcze niemała grupa innych konspiracyjnych organizacji wojskowych. Zwłaszcza te mniejsze włączały się z czasem do jednego z tych dwóch głównych nurtów. Były również i takie, które przetrwały stosunkowo długo jako





oddziały niezależne. Do nich należały „Leśne Orły”, przemianowane potem na „Legion Miłośników Polski”, który działał na pograniczu nadnoteckim. Być może dlatego tak niewiele dziś o nim wiadomo.

Niemal nazajutrz po klęsce wrześniowej młodzi Polacy, mieszkańcy powiatów przedwojennego pogranicza, zaczęli konspirować przeciwko okupantom, wykorzystując przy tym przede wszystkim kontakty towarzyskie i organizacyjne. Region ten był bowiem przed wojną objęty stosunkowo gęstą siecią organizacji kombatanckich, powiązanych z tradycją powstania wielkopolskiego, a także związków strzeleckich i harcerstwa. Wychowały one liczną grupę patriotycznej młodzieży, obeznaną z bronią palną, łącznością i zasadami walki zbrojnej. Konspiratorzy swą działalność zaczęli od potajemnych spotkań. Centrum organizującego się oporu Polaków stała się Chodzież.

W grudniu 1939 roku „nieznani sprawcy”, wyprowadziwszy w pole wartownika pilnującego zajętej przez Niemców biblioteki, wynieśli z niej, ukryli, a później rozpowszechnili wśród Polaków stopy zakazanych książek. W marcu następnego roku wywiesili na wysokim kominiem fabrycznym, obok dworca kolejowego w Chodzieży, biało-czerwoną flagę. Niemcy długo szukali chętnego, który chciałby się wdrapać na konin, aby ją zerwać.



12 maja 1940 roku na górze Gostyniec koło Chodzieży zebrała się pięćdziesięciosobowa grupa młodych Polaków z miasta i okolicy, robotników, gimnazjalistów oraz żołnierzy wrześniowych. Niektórzy mieli broń i ubezpieczali pozostałych. Stanąwszy dwuszeregiem na leśnej polanie, złożyli przysięgę, którą przyjął kpt. Józef Wielebski, oficer wojska polskiego i dowódca oddziału. Popłynęły słowa: „Przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięcie na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary mego życia”. Tak powstała podziemna organizacja, która początkowo przyjęła nazwę „Leśne Orły”.

Od samego początku „Orły” były oddziałem partyzanckim, dysponującym z czasem coraz lepszym uzbrojeniem zdobytym na wrogu. Nie



zamierzały całkowicie utaić swego istnienia - przeciwnie, bardzo im zależało na tym, by Niemcy się bali „waldadlerów” (jak ich nazywali). Wieści o partyzantach, poparte zresztą udanymi akcjami, wzburzyły władze okupacyjne, a tych Niemców, którzy mieszkali w wioskach i osadach oddalonych od siedzib policji i Wehrmachtu, mocno zaniepokoiły.

Wiosną 1941 roku partyzanci zainstalowali na jednym z zalesionych wzgórz radiostację, nadającą komunikaty w języku polskim i niemieckim. Wydawali też ulotki, podtrzymujące na duchu Polaków i przepowiadające rychły upadek Niemiec, kolportowali własną gazetę „Dla Ciebie Polsko”, która docierała do wielu rejonów Wielkopolski i Pomorza. Musieli mieć dobre kontakty w Pile, skoro oprócz wspomnianych wydawnictw dysponowali także specjalnie dla nich wykradanymi z drukarni kartkami żywnościowymi. Część „Leśnych Orłów” stale przebywała w lesie, część konspirowała pod boki Niemców.

Według niektórych historyków (inni temu przeczą) 21 czerwca 1941 roku doszło do nawiązania kontaktów z Tajną Organizacją Wojskową „Gryf Pomorski”, działającą w Borach Tucholskich, co zaowocowało formalnym porozumieniem o podporządkowaniu „Leśnych Orłów” „Gryfowi”. Bezsporny jest jedynie fakt, że w tym czasie nastąpiła zmiana nazwy organizacji na „Legion Miłośników Ojczyzny” i że od tego momentu działania oddziału nabrały rozmachu. Partyzanci rozbijali pojedynczych policjantów i żołnierzy, dawali się we znaki Niemcom, właścicielom wiejskich gospodarstw, rekwirując żywność i ubrania.

W 1942 rozbili posterunek chodzieskiej policji pomocniczej, zabierając granaty i amunicję strzelecką. Dokonali wspomnianego już napadu na pociąg w Kalinie, pomagali jeńcom - uciekinierom z oflagów i stalagów oraz... umożliwili zbiegłym z niewoli czterem francuskim i jednemu polskiemu dotarcie w przebraniu na pilskie lotnisko, opanowanie samolotu Luftwaffe i ucieczkę. Tę niewątpliwie sensacyjną, ale także mało prawdopodobną akcję Niemcy rzekomo starali się za wszelką cenę ukryć, zacierając wszelkie jej ślady. Jak było naprawdę, chyba nigdy się nie dowiemy.

Rozległa, jak na specyficzne warunki pogranicza, działalność konspiracyjna byłaby nie do pomyślenia, gdyby nie współdziałanie

i pomoc ludzi spoza organizacji: robotników leśnych, rolników, kolejarzy. Polaków, ale też i Niemców. Wspomagał ruch oporu baron Georg von Lüttwitz, dziedzic Karczewnika pod Chodzieżą, dostarczając broń i żywność, leczył rannych partyzantów dr Klau, wspierał informacjami i żywnością gospodarz Josef Witt. Zresztą bojownicy „Legionu” na ogół dobrze znali język niemiecki, miejscowe stosunki i umieli to wykorzystywać, jak na przykład podczas akcji przeprowadzonej w grudniu 1942 roku w Chodzieży, kiedy w biały dzień wywieźli samochodem z niemieckiego magazynu spory zapas ubrań i butów, a ponieważ pokazali się w mundurach, ogólnie sądzono, że to jakieś jednostki niemieckie dokonały rabunku.



W gestapo dość długo głowiono się nad tym, jak stłumić działalność konspiracyjną w regionie nadnoteckim, gdzie obok „Legionu” działały także grupy związane z Armią Krajową. W maju Niemcy zrzucili z samolotów grupę agentów, podających się za polskich partyzantów, a jej zadaniem było zdemaskowanie konspiratorów i ich sympatyków. Do akcji zaangażowano także prowokatorów i konfidentów. Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Aresztowano kilku przywódców podziemia: Edmunda Grzesiaka (zmarł w listopadzie 1942 r. po wyjściu z więzienia), Stanisława Lewandowskiego, Leona Budę i innych. Nie są znane dalsze losy Józefa Wielebskiego i Mieczysława Nowaka.

Jeśli się zważy, że w najbardziej optymistycznych szacunkach ustalono liczebność leśnych grup „Legionu” na ok. 50-70 osób, trudno nie docenić ich dokonań, tym bardziej że - o czym wciąż trzeba pamiętać - działały na terenie w poważnym stopniu zniemczonym, w sąsiedztwie silnego ośrodka policji, SS i wojska, jakim była Piła.

PS W artykule wykorzystałem między innymi informacje zebrane przed laty przez Leszka Suwika i opublikowane w „Tygodniku Piłskim” w czasie, gdy byłem jego redaktorem naczelnym.

## List z Bad Lausick



ego autorka już dawno nie żyje. Zmarli też ludzie, którzy pamiętali ją jako „doktórkę”, ostatnią właścicielkę majątku Liebenthal, położonego przed wojną na pograniczu polsko - niemieckim. List przetrwał. Napisany w Bad Lausick, datowany 28 września 1945, jest jedynym świadectwem dramatycznych losów Niemki, którą skrzywdzili jej rodacy oraz totalitarny system, bo wtedy omamił i zdemoralizował jeden z najbogatszych w duchowe, a także materialne wartości naród Europy.

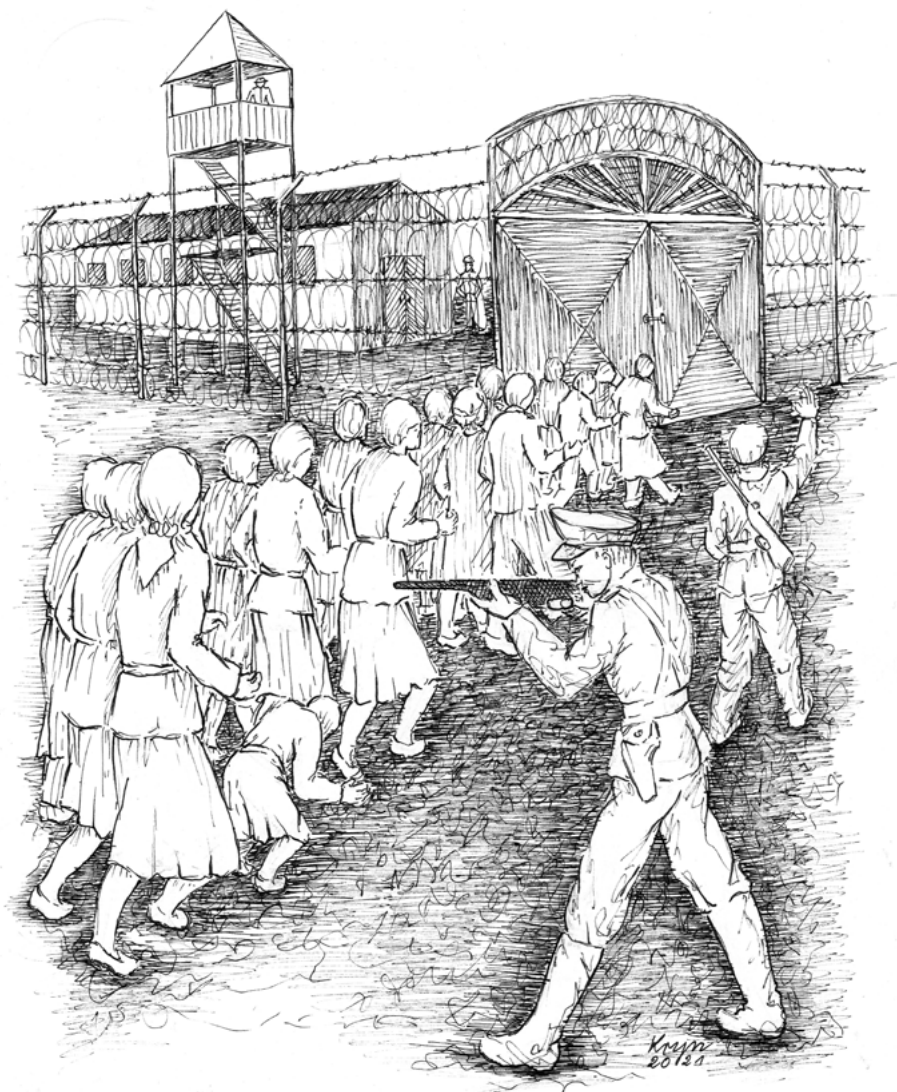


Waltrauda Kiehnel, bo ona jest bohaterką tej opowieści, miała 35 lat i ... niewyparzony język. Wśród swoich znajomych i bliskich często wypowiadała opinie, które jednych gorszyły, a innych przyprawiały o ból głowy. Nie bała się, choć wielu przestrzegało ją, by uważała na to, co mówi, bo czasy są wojenne, a gestapo ma wszędzie swoich konfidentów. Ale kobieta ignorowała te ostrzeżenia. Należała do uprzywilejowanej kasty pruskich junkrów. Jej ojciec, Hanz Kenzler, kupił w 1902 roku majątek Liebenthal (obecnie Krzewina w gminie Kaczory), gdzie wybudował piękny pałac, który stoi po dziś dzień. W nim spędziła swoje szczęśliwe dzieciństwo, tutaj wyszła za mąż za doktora Fritza Kiehnela (prowadził zakład leczniczy w Bad Lausick pod Lipskiem), a potem z sukcesem zarządzała majątkiem ojca, pozostając długo jeszcze w pamięci polskich mieszkańców Krzewiny jako „doktórka”, która konno przemierzała posiadłość, życzliwie odnosząc się do swych pracowników.

Była młoda, wysportowana i bogata - ideał niemieckiej kobiety. Stąd jej pewność siebie i przekonanie, że w państwie Hitlera nic złego spotkać ją nie może.



W lecie 1944 roku, wkrótce po nieudanym zamachu na Hitlera (20 lipca), pani Kiehnel w zaufanym, tak sądziła, gronie znajomych powiedziała nieostrożnie, że „ci oficerowie wiedzieli, dlaczego tak postąpili. Oni chcieli jak najlepiej”. O opinii, wyrażonej przez właścicielkę



Liebenthal o zamachowcach, dowiedział się kierownik lokalnej organizacji NSDAP i powiadomił, kogo należało.

Waltrauda Kiehnel została aresztowana w końcu lipca 1944 roku i jako „wróg III Rzeszy i Führera” umieszczona w więzieniu w Chodzieży, a potem w obozie pod Poznaniem. Tak zaczęła się jej droga przez mękę, trwająca do końca kwietnia 1945 roku.

„Tego, że tak nagle musiałam opuścić Liebenthal, aresztowana przez niemiecką policję i wywieziona, jeszcze teraz nie potrafię pojąć. Z chwilą aresztowania zaczął się mój czas cierpienia. Nigdy wcześniej nie pomyślałam, że człowiek coś takiego może w ogóle wytrzymać. Ale wola życia jest tak silna w człowieku, że on ciągle chce jeszcze żyć, nawet gdy jest na pograniczu śmierci głodowej i zamarznięcia” - pisała we wspomnianym na wstępie liście.

Początkowo została zamknięta w więzieniu gestapo w Chodzieży. Następnie trafiła do obozu przejściowego koło Poznania, „gdzie było tak potwornie źle, gorzej niż w piekle. Wszystko to, co teraz opowiadają o obozach, nie jest przesadzone. Ludzie, przede wszystkim Polacy, umierali tam masowo, katowani i dręczeni. Tam poznałam tych z gestapo i SS. Tego się nie da opisać, jak brutalne i nikczemne były to bestie, bez serca i litości. Nie mogę znaleźć dla nich innego określenia”.

Z obozu zabrano ją do więzienia śledczego w Poznaniu, gdzie oczekiwała na proces, ale jej rozprawa ciągle była odraczana.

„Przeżywałam to, co inni, skazani na karę śmierci lub długoletnie więzienie, za podobne do mojej wypowiedzi. Oni także zostali zadenuncjowani przez podobnych łajdaków, jak nasz „Ortsgruppenleiter”. Cierpienie, głód i nędzę, które poznałam tam w Poznaniu, a przede wszystkim w obozie, trudno naprawdę opisać”.

Minęło pół roku, a Waltrauda Kiehnel ciągle czekała na proces i wyrok. Nadszedł rok 1945. 12 stycznia ruszyła znad Wisły ofensywa Armii Czerwonej. Przebiegała błyskawicznie. Zaledwie po tygodniu Rosjanie znaleźli się w Wielkopolsce, a w kilka dni później dotarli do Odry.

„Ponieważ już nadciągała armia sowiecka - my, więźniowie, zostaliśmy popędzeni 20 stycznia 1945 roku pieszo, gorzej niż bydło, z Poznania. Mieliśmy tylko więzienne ubrania, cienkie kurtki, żadnego nakrycia głowy ani rękawic. Tak musieliśmy biec, ciągle biec. Kto upadł i nie

podnosił się, był rozstrzeliwany. Popędzani gumowymi pałkami, prawie bez jedzenia i picia podążaliśmy naprzód. To był prawdziwy marsz cierpienia i śmierci. Ja także parę razy upadłam, ale - zbierając resztki sił - podnosiłam się, aby nie zostać pobita lub rozstrzelana. Tak ciągnęliśmy, około 90 kobiet i 400 mężczyzn, drogą pokrytą śniegiem, w lodowatym chłódzie. Mijaliśmy kolumny uciekinierów, a ja czułam w sercu preraźliwy lęk o mojego męża i mój Liebenthal. To był szczęśliwy traf, że tam w Liebenthal uprawiałam jazdę konną i biegi. Dzięki temu mogłam się jeszcze trzymać. Nocowaliśmy w stodołach albo innych nieogrzewanych pomieszczeniach, gdzie śmiertelnie wyczerpani padaliśmy na deski, nie mogąc zasnąć z zimna i głodu. A front był coraz bliżej za nami”.

Pędzono ich tak aż do Zbąszynia, gdzie same kobiety załadowano do bydłowego wagonu pociągu jadącego do Budziszyna.

„Stłoczone tak, że o siedzeniu lub leżeniu nie było mowy. Jechaliśmy cztery dni i pięć nocy. Raz dziennie otrzymywaliśmy porcję spleśniałego i zmrożonego chleba i nic do picia. Gdy pociąg zatrzymywał się, a robił to często, błagałyśmy naszych strażników, SS-manów, żeby pozwolili przynieść trochę śniegu, żeby przynajmniej zwilżyć usta, ale i tego nam odmawiano. Gdy wreszcie ten pociąg dotarł do naszego miejsca przeznaczenia - Bautzen (Budziszyn), wypełzałyśmy jak zwierzęta, na czworakach, z wagonu, z krwawiącymi i ropiejącymi stopami, obrzmiałymi twarzami i popękаныmi ustami. Przez cały ten czas nie miałyśmy ani kropli wody do picia; nie mówiąc już o myciu”.

Waltrauda Kiehnel wraz z tymi, które ocalały po podróży, została umieszczona w obozie przejściowym w Budziszynie i skierowana na przymusowe roboty w składzie amunicji. Tu pracowała blisko trzy miesiące, po 17 godzin dziennie, za wyżywienie składające się z gotowanej brukwi i znikomej ilości chleba.

„Nie byłyśmy już ludźmi, tylko numerami, które miały pracować od świtu do nocy, w koszmarnych warunkach. Często życzyłam sobie śmierci w tym piekle, ale jednak miałam ciągle jeszcze nikłą nadzieję, wyjść żywa z tej otchłani. Gdy rosyjskie oddziały zbliżały się coraz bardziej, nasze niemieckie strażniczki, nasze dręczycielki robiły się coraz bardziej zdenerwowane, a ja z każdą chwilą spokojniejsza. Mnie już chyba nic gorszego nie mogło się przytrafić niż to, czego doznałam od swoich, od Niemców”.

16 kwietnia ruszyła znad Odry kolejna ofensywa Armii Radzieckiej. Jej celem był Berlin. Na kilka dni przedtem nim Rosjanie weszli do Budziszyna, Waltraudę i jej towarzyszkę niedoli przeniesiono z obozu i zamknięto w celach miejscowego więzienia. Nie pracowały już w magazynie, lecz kopały okopy wokół miasta.

„Podczas gdy w mieście szalały już walki, my siedziałyśmy dalej w celach. Wokół waliły się domy, a my siedziałyśmy, nie mogąc się wydostać. W ostatnim momencie wyprowadzono nas jednak i chciano rozstrzelać. Ale Rosjanie byli już tak blisko, że nasi strażnicy uciekli i zostawiono nas”.



Był 19 kwietnia 1945 roku. Po wydostaniu się z więzienia Waltrauda wraz z jedną ze współwięźniarek opuściła Budziszyn, kierując się do Bad Lausick - uzdrowiska, którym kierował jej mąż. Bez pieniędzy, dokumentów i czegokolwiek do jedzenia uciekały, żebrając u chłopów o pożywienie i nocleg, kryjąc się zarówno przed niemieckimi maruderami, jak i sowieckimi żołnierzami. 1 maja, po 11 dniach wędrówki, dotarły do Bad Lausick.

„Ku mojej nieopisanej radości, ujrzałam męża i nasz dom. Nie potrafię nikomu opisać, co ja wtedy czułam. Byłam właściwie jak martwa. Jeszcze dręczą mnie często straszne sny”.



Minęło kilka miesięcy. Waltrauda Kiehnel, dowiedziawszy się o tym, że z zawieruchy wojennej uratowali się jej przyjaciele i bliscy znajomi jeszcze z Liebenthal, Alfreda i Margarete Möbius, napisała do nich list, który w końcowej swej części zawiera taką oto refleksję:

„Jestem już tutaj prawie pięć miesięcy i trochę już ten koszmar przewyciężyłam, ale zapomnieć tego nie da się do końca życia. Myślę teraz często o Polakach, którzy po wybuchu wojny zostali wypędzeni ze swoich zagrod i posiadłości. My - Państwo i ja - byliśmy zawsze zgodni co do tego, że to wszystko, ta ołędna polityka, którą uprawiano - nie może dobrze się skończyć”.

List opublikowany został w wydawnictwie Dallmann W., Kremer F.W.: *Geflohen-Beblieden-Vertrieben Pommern 1945*, Leverkusen 1994.

I tak przetrwał do dziś.



## Generał „Wallenrod” i jego żołnierze

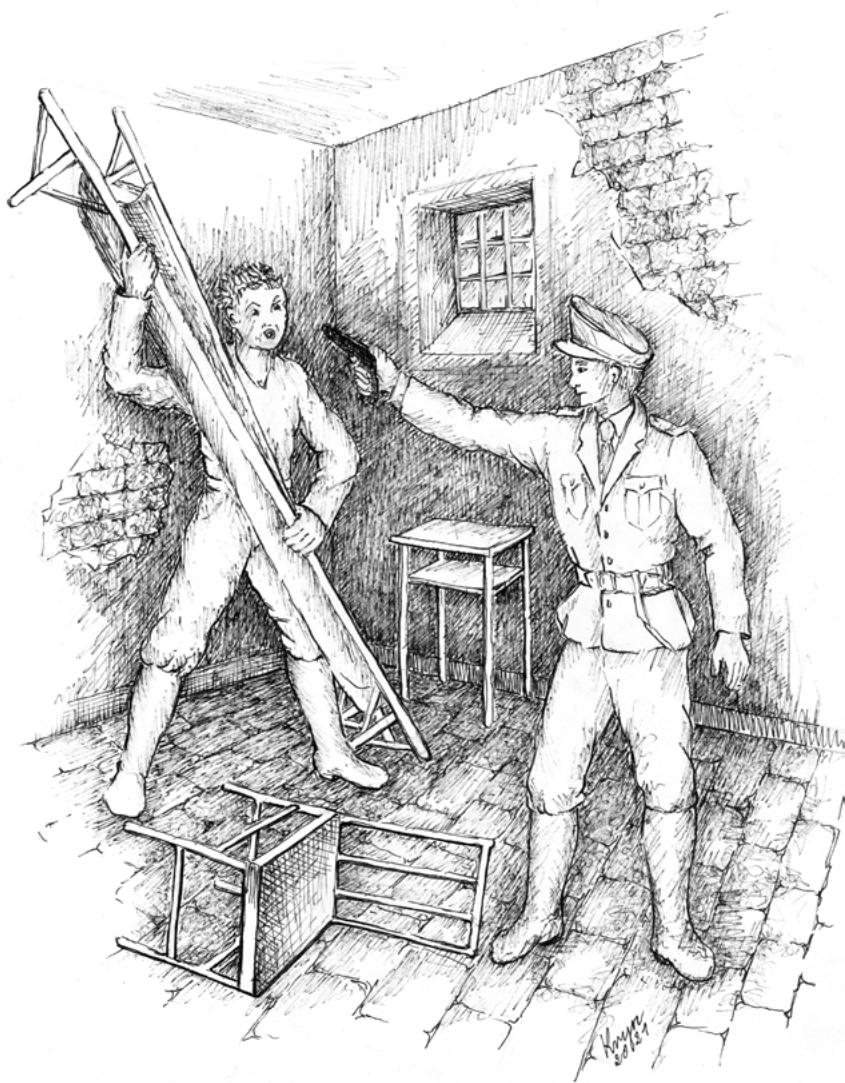


S-Sturmbannführer Franz Wencel nie uważał objęcia placówki gestapo w Pile za awans. Był to w jego przekonaniu klasyczny „kopniak w górę”. Bo jakże tu, na prowincji, na rdzennym terytorium III Rzeszy, mógł wykorzystać swe bogate doświadczenie w walce z polskim podziemiem, zdobyte przez dwa lata pracy w warszawskim gestapo? Sądził, że zesłano go na przedwczesną emeryturę i się ... pomylił. Okazało się, że na podległym jego jurysdykcji terenie, choć Polaków mieszkało tu mniej niż Niemców, miał pełne ręce roboty. Nie zdziwił się więc specjalnie, gdy w czerwcu 1944 roku dotarł na jego biurko meldunek od kolegów z Bydgoszczy z wiadomością, że w północnej części rejencji pilskiej, na „starym niemieckim Pomorzu”, działa od kilku lat świetnie zakonspirowana struktura wojskowa stworzona przez Polaków: robotników przymusowych oraz jeńców wojennych, którzy dysponują siecią sprawnych kanałów informacyjnych i przerzutowych, dokładnymi mapami i danymi o obiektach wojskowych, utrzymują łączność z Komendą Główną AK, wreszcie - a to już brzmiało wręcz nieprawdopodobnie - mają radiostacje i broń. Zacisnął ze złości pięści dopiero wtedy, gdy przeczytał, że organizacja ta używa kryptonimu „Odra”, co świadczyło o tym, że Polacy już traktują tę rzekę jak swoją.

Zgodnie z zaleceniami swych przełożonych polecił podkomendnym oraz agentom ścisłą inwigilację Polaków, a zwłaszcza robotników przymusowych. Podobne rozkazy wydali jego koledzy ze Szczecinka i Chojnic. Rozpoczęło się polowanie na „Odrę”.



Płk Witold Dzierżykraj Morawski był postacią nietuzinkową. Urodzony w 1895 roku w kaliskim Oporowie, w ziemiańskiej rodzinie znanej w Wielkopolsce, służbę wojskową rozpoczął jako poddany niemiecki w pułku huzarów cesarskich, a w 1918 roku włączył się do powstania wielkopolskiego. W odrodzonej Polsce szybko wspinał się po szczeblach kariery wojskowej, pełniąc wiele odpowiedzialnych funkcji:



szefa sztabu brygady kawaleryjskiej w 1920 roku, wykładowcy uczelni wojskowych oraz attache wojskowego w Bukareszcie i w Berlinie. We wrześniu 1939 roku był szefem sztabu armii „Karpaty”. W trakcie walk dostał się do niewoli i po przejściu kilku obozów trafił do oflagu II D Gross-Born (Borne Sulinowo). W październiku 1939 roku opracował i przekazał zaufanym oficerom koncepcję utworzenia Polskiej Armii Podziemnej „Odra”.

Latem 1944 roku mógł być usatysfakcjonowany rezultatami realizacji swojego pomysłu. „Odra” składała się z czterech jednostek, liczących blisko tysiąc osób. Jej bataliony zostały zorganizowane jako formacje współdziałające z konspiracją wewnątrzobozową także po to, by zapobiec realnej groźbie fizycznej likwidacji polskich jeńców przez hitlerowców.

Przyjąwszy pseudonim „Wallenrod”, był dowódcą całej organizacji, a równocześnie starszym oflagu. To dawało mu pewną swobodę ruchu, a nad niebezpieczeństwem dekonspiracji czuwała... fotografia, którą podczas pobytu na placówce dyplomatycznej w Berlinie otrzymał wraz z dedykacją od Hermanna Goeringa. Już jako jeńiec przykleił ją pod wiekiem walizki, co ogromnie peszyło wachmanów, przeprowadzających częste rewizje jenieckiego dobytku. Dedykacja: „Drogiemu Witoldowi - Hermann” na ogół ich paraliżowała, po czym pośpiesznie wynosili się z baraku.



Podstawową jednostką organizacji był samodzielny Batalion „Odra” pod dowództwem ppor. Jana Nowaka, który zataiwszy przed Niemcami oficerski stopień, trafił do stalagu w Czarnem, a później jako robotnik rolny do bauera pod Szczecinkiem. Posługując się pseudonimem „Kapitan Skrzydło”, zaprzysiągł pierwszych żołnierzy batalionu już w listopadzie 1939 r. Strukturę swego oddziału oparł o system trójkowy, gwarantujący maksymalny stopień utajenia. Nieco później powstały jeszcze trzy kolejne jednostki: batalion kadrowy kapitana Henryka Kosińskiego, liczący około 200 jeńców, batalion Feliksa Itrycha, składający się z grupy robotników przymusowych (około 200 osób) między

innymi z okolic Piły i Szczecinka oraz grupa rekrutująca się spośród personelu chojnickich zakładów przemysłu samolotowego.

Konspirowali w niesłychanie niesprzyjających warunkach, wśród szowinistycznie nastawionej ludności niemieckiej, w poczuciu zagrożenia własnego życia i w oderwaniu od własnych środowisk. Mimo to żołnierze „Odry” zdołali dotrzeć do wielu skupisk Polaków na Pomorzu i ziemi lubuskiej, przekazali komórkom ZWZ, a później AK moc meldunków wywiadowczych, zorganizowali kanały przerzutowe dla uciekających z niewoli jeńców, stworzyli wreszcie sieć leśnych bunkrów, magazynów broni, żywności i umundurowania na wypadek zbrojnego wystąpienia w samoobronie. Podobno przyjęli także kilka angielskich zrzutów lotniczych na pustkowiu w okolicach Białego Boru, co było efektem nawiązania łączności z brytyjskim dowództwem akcji specjalnych.

„Kapitan Skrzydło” zdołał ulokować swoich ludzi w wielu miejscowościach Provinz Pommern, w tym także w Pile, Złotowie, Mirosławcu, Wałczu, Sypniewie, Nadarzycach i Tucznie. System trójkowy umożliwiał weryfikację wiadomości, napływających do sztabu „Odry” w oflagu IID Gross Born, gdyż wywiadowcy najczęściej nie znali się wzajemnie, penetrując te same obiekty i rejony Pomorza. Niestety, latem 1944 roku nie dotarła do „Wallenroda” informacja o aresztowaniu 9 czerwca w Bydgoszczy szefa łączności komendy Okręgu Pomorze AK oraz kilku innych osób. I że Niemcy z dokumentów, które wpadły w ich ręce, dowiedzieli się o istnieniu „Odry”.



Przez trzy miesiące SS-Sturmbannführer Franz Wencel oraz jego koledzy ze Szczecinka i Chojnic analizowali wszystkie sygnały napływające od agentów terenowych. Niebawem zdołali ustalić, że komendantem Polskiej Armii Podziemnej „Odra” jest najprawdopodobniej któryś z oficerów, przebywających w obozie jenieckim Oflag II D Gross-Born. Szczególnie cennych dla hitlerowców informacji udzielił niejaki Witold S. - renegat, któremu udało się przeniknąć do różnych komórek Armii Krajowej, utrzymujących łączność z pomorskimi konspiratorami.

We wrześniu 1944 doszło do zdekonspirowania „Odry”. Najpierw zaarrestowano członków placówki w Szczecinku, a w kilka dni później gestapo wpadło na trop „Wallenroda” i jego sztabu. Do końca września zostało ujętych ogółem około 300 członków „Odry”.

Łamiąc postanowienia konwencji międzynarodowych, niemiecki komendant obozu gen. Stengel wydał płk. Morawskiego i kilku innych oficerów w ręce gestapo, które zawiozło ich najpierw do Szczecinka, a potem do Piły.

SS-Sturmbannführer Franz Wencel triumfował. Osobiście przesłuchiwał płk. Morawskiego, a potem oddał go w ręce oprawców, którzy go torturowali. Pułkownik, chcąc oszczędzić innych aresztowanych, wziął na siebie całą odpowiedzialność za działania „Odry”. W październiku 1944 roku Niemcy przewieźli go do karnego obozu gestapo w Szczecinie, a stamtąd do Mauthausen. Rozprawy sądowej nie było, ale wyrok już zapadł.



9 listopada 1944 roku komendant obozu w Mauthausen Bochmajer rozkazał, aby płk. Morawskiego i czterech innych polskich oficerów przyprowadzić do budynku, w którym mieściło się krematorium. Tam własnoręcznie dokonał egzekucji. Najpierw strzelił do pułkownika, lecz ten zdołał jeszcze pochwycić ciężkie, żelazne nosze i - jak relacjonował później jeden z więźniów, który przez wziernik obserwował tę scenę - z okrzykiem: „Ty bandyto!” zamierzył się nimi na Niemca. Zabrakło mu jednak sił. Bochmajer strzałami z automatu dokończył mordu. Zginęli też współtowarzysze „Wallenroda”.

Pod koniec 1944 roku dotarł do Polski rozkaz Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie o pośmiertnym nadaniu pułkownikowi Witoldowi Morawskiemu stopnia generała brygady.

## Ratuj się, kto może



ilnym szarpnięciem zostają wyrwani ze snu. Pociąg się zatrzymał. Słuchać głosy. To rozkazy przełożonych. Ktoś otworzył drzwi wagonu. Z zewnątrz wpadło lodowate powietrze poranka 25 stycznia 1945. Wywołani z wagonu służbowi wracają po krótkiej chwili i informują o położeniu:

- Znajdujemy się tuż przed Schneidemühl. Nie ma wjazdu.

Gefrejter Georg Schmidt, rodowity pilanin, rozpoznaje to miejsce. Stoją na wysokości Reichsbahn Ausbesserungs Werke (Kolejowych Zakładów Naprawczych). Nigdzie nie ma możliwości rozładunku. Cała okolica dworca jest zajęta przez uciekinierów.

Tymczasem Georg, zatroskany o los swoich najbliższych, próbuje uzyskać u szefa kompanii krótki urlop. Wkrótce transport z jego jednostką zostaje skierowany na Zollbahnhof i dostaje rozkaz wyładunku, a Georg otrzymuje upragnionych kilka godzin wolnego.



W końcu stycznia nacierające wojska radzieckie stanęły na przedpolach Piły. Wśród mieszkańców miasta narastał niepokój, a lęk potęgowały tysiące uchodźców z terenów Prus Wschodnich. Już od 20 stycznia w mieście było słychać nieustanny grzmot i dudnienie radzieckiej artylerii dalekonośnej, a niebo nocą na wschodzie i południu, rozświetlane błyskawicami dalekich eksplozji, miało barwę krwistej czerwieni. Prawdziwa panika ogarnęła Pilę w piątek 26 stycznia, gdy w miasto uderzyły bezpośrednio salwy artylerii rakietowej, zwanej tutaj „Stalinorgel”.

Rozpoczął się bój o „Festung-Schneidemühl”. Żołnierze niemieccy, miotając się rozpaczliwie w matni okrażenia, mieli gorzką świadomość totalnej katastrofy. Obietnice Hitlera, przyrzekającego „ostateczne zwycięstwo”, w niczym nie mogły zmienić ich beznadziejnej sytuacji, z której na ogół jedynym - dającym się przewidzieć - wyjściem była niewola lub śmierć. Takim żołnierzem był wówczas Georg Schmidt.

Urodził się dwadzieścia lat wcześniej na Zamościu. Jego ojciec był właścicielem warsztatu stolarskiego, obarczonym liczną rodziną,







składającej się z siedmiorga dzieci (dwie córki i pięciu synów). Po ukończeniu IV Szkoły Gminnej przy ul. Bydgoskiej Georg rozpoczął naukę zawodu. Miał pójść w ślady ojca i zostać stolarzem. Wiosną 1942 powołano go do wojska i wysłano na front wschodni. Ciężko ranny w walkach nad Dźwiną na początku 1945 roku, otrzymał przydział do jednostki skierowanej w rejon rodzinnej Piły.



„W domu przy Ackerstrasse na Zamościu - wspomina w wydanej po wojnie autobiografii pt. „Chłopak z Zamościa” - spotykam starszego brata, Konrada. Dotkliwa niepewność nadchodzącej przyszłości przytłumiła radość. Ojciec, jako członek Volkssturmu, jest w akcji na południe od Piły, w okolicach Kaliny. Co powinna zrobić matka i młodsze rodzeństwo? Zostać czy uciekać? Rozważania trwają. Im dłużej je prowadzimy, tym bardziej się różnimy w opiniach, a rozwiązania w tym momencie nie potrafimy znaleźć. Z prawdziwie mieszanymi uczuciami opuszczam mój rodzinny dom i udaję się do jednostki. Brat towarzyszy mi. Jest urlopowany, na dwa dni przed wielką sowiecką ofensywą przybył z Prus Wschodnich i teraz podlega bezpośrednio dowództwu „Festung Schneidemühl”.

Jednostka Georga - kompania sztabowa pułku - stacjonowała przy dzisiejszej ul. Wincentego Pola. Około godz. 19.00 ogłoszono alarm. Było ciemno i zimno. Na dziedzińcu fabryki papy odbyła się odprawa przed akcją. Okoliczni mieszkańcy uciekli. Wszędzie pełno pogubionych sprzętów domowych. Cisza, zupełna cisza, nigdzie żadnych pojazdów tylko gromada przemarzniętych żołnierzy. Uzbrojeni jedynie w lekką broń ręczną wiedzą, że zadanie, które otrzymali, jest niewykonalne.

„Powinniśmy uderzyć w kierunku południowym - pisze po latach Georg - gdzie stoją Sowietci i mają swoje główne linie. Ten rozkaz jest nie tylko jasny i jednoznaczny. Jest bezwzględny. Ale jak go wykonać: bez dział, środków łączności, bez granatników? Do tego niebezpieczeństwo, że w nocnych ciemnościach u bram miasta wystrzelamy się nawzajem, na uciechę Sowietom. W porannych godzinach 26 stycznia osiągamy Trzciankę. Ruch na ulicach wzmaga się. Wszelkiego rodzaju

pojazdy, wozy i wózki przetaczają się przez miasto, ale ani jednego działa albo czołgu. Strumień uciekających nie ma końca”.



W tym właśnie czasie, o czym wówczas gefrejtter Georg Schmidt nie mógł wiedzieć, zaciskał się pierścień okrążenia wokół „Festung-Schneidemühl”. Jednostki radzieckie, przecinając szosę Piła-Wałcz w rejonie Starej Łubianki, zamknęły kocioł, z którego praktycznie nie było już wyjścia. Jednostka Schmidta, kilkakrotnie rozbita w starciu z okrążającymi od południa Piłę oddziałami sowieckimi, znalazła się na zewnątrz okrążenia i podjęła próbę przebiccia się na zachód.

„Dygocząc z zimna - wspomina Georg - brniemy dłuższy czas dalej. Ledwie zdołaliśmy ująć pół godziny na południowy zachód, gdy nagle jakby piekło rozwarło się wokół nas: błyska i grzmi za i przed nami. Salwy i uderzenia pocisków „Stalinorgeln” huczą bezładnie. Widać natknęliśmy się na czołówkę wojsk sowieckich, które między Czarnkowem i Wieleniem przekroczyły Noteć.[...] Brakuje jakiegokolwiek pożywienia; wielu z nas jest rannych i bez broni. Przy tym śmiertelnym zagrożeniu ze wszystkich stron wykonanie stojących przed nami zadań wydaje się beznadziejne. Zbiera się przy nas coraz więcej kolegów, którzy w znacznej części dostali się tu z Wielkopolski.[...] Nasze straty są już znaczne, gdy po kilku marszach wzdłuż i wszerz, nocą z 28 na 29 stycznia 1945 osiągamy, zupełnie wyczerpani, wieś Niekursko. Podczas gdy my znowu formujemy się, przybywa do Niekurska coraz więcej rozbitków z innych jednostek. To wprost nieopisane uczucie, gdy teraz dane jest nam obserwować ciągły ogień rosyjskich miotaczy rakietowych w kierunku Piły”.



Georg Schmidt znalazł się w sformowanym z niedobitków oddziale, który walczył w rejonie Wałcza, Człopy, Tuczna i Mirosławca. Później koło Drawska Pomorskiego i Świdwina. Aż nadszedł dzień 5 marca 1945 roku. Jednostka Georga znalazła się na linii natarcia wojsk radzieckich.

„Z wielu luf naraz w naszą stronę wali rosyjska artyleria. Nie ma czasu na zastanawianie się nad położeniem, bo już pierwsze rosyjskie czołgi z piechotą pojawiają się przed nami. „Ratuj się, kto może!”. To był ostatni rozkaz, który ja, dokładnie po trzyletniej służbie w Wehrmachcie, otrzymałem”.

Georg Schmidt miał szczęście. Uniknął śmierci, ale dostał się do niewoli. Jako jeńiec trafił do Piły, następnie został wywieziony w głąb Rosji do robót przy odbudowie Stalingradu. Zwolniony z obozu jenieckiego, w końcu października 1945 roku przedarł się na zachód Niemiec, gdzie odnalazł część swej rodziny.

## Ostatni lot Olega Matwiejewa



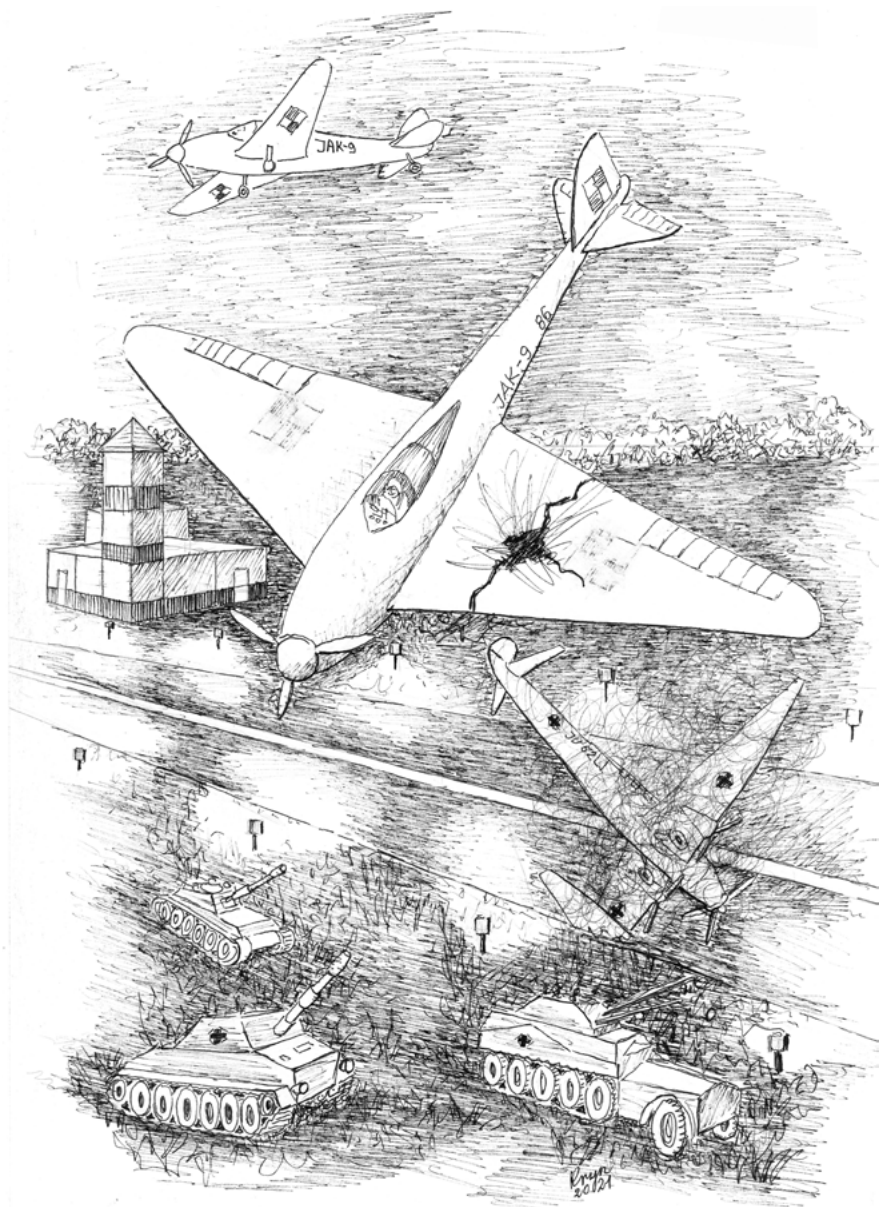
ilniki zawyły niemal równocześnie. Pierwszy z nich zakrztusił się, jakby przez chwilę zawahał, po czym wyrównał. Samoloty ruszyły skrzydło w skrzydło. Znać, że obaj piloci nie byli nowicjuszami. Po chwili znalazły się w powietrzu. Wyleciały z bydgoskiego lotniska na zachód, w stronę Piły. Jak-9 kapitana Matwiejewa z numerem bocznym 86 wysunął się nieco do przodu. Myśliwiec porucznika Gabisa ochraniał jego tyły. Dokładnie tak, jak nakazywał regulamin. Była godzina 9.43 dnia 14 lutego 1945 roku.

Piloci mieli rozpoznać sytuację w rejonie „Festung Shneidemühl”. Pogoda, która przez pierwsze dwa tygodnie lutego nie rozpieszczała myśliwców 1 pułku „Warszawa”, tym razem okazała się znośna. Nie padał deszcz ani nie prószył śnieg, nawet poranna mgła już opadła. Jedyne niski pułap chmur ograniczał zasięg obserwacji terenu i utrudniał wykonanie zadania.

Około godziny 10.00 Matwiejew nadał meldunek o koncentracji wojsk niemieckich na zachodnich przedmieściach Piły. Rozpoznał liczne samochody i czołgi.

Okrażony w mieście garnizon niemiecki walczył zaciekle. Z góry jak na dłoni widać było, że radziecka piechota, atakująca miasto od zachodu, z trudem posuwa się naprzód, ponosząc ogromne straty. Kapitan Matwiejew i porucznik Gabis postanowili włączyć się do walki. Z lotu koszącego zaatakowali ogniem stanowiska niemieckich karabinów maszynowych, później zaś lotnisko leżące na przedmieściu Piły. Startował z niego właśnie transportowy Ju-52, który trafiony przez Matwiejewa, płonąc, spadł na pasy.

Niespodziewanie obaj piloci dostali się w gęstą zaporę hitlerowskiego ognia. Kpt. Matwiejew karkołomnymi unikami próbował wyjść z pola ostrzału. Wtem dostrzegł grupę pojazdów niemieckich. Tam skierował samolot, bijąc po czołgach z działek i karabinów maszynowych. Nagle pocisk nieprzyjacielski trafił samolot w skrzydło. Maszynę rzuciło w bok. Pilot usiłował ją jeszcze uratować, ale bezskutecznie - widocznie był już ranny. Samolot runął na ziemię. Pomiędzy domami paliły się szczątki Jaka-9 o nr 86, grzebiąc kpt. Matwiejewa.





O godzinie 11.03 na lotnisku w Bydgoszczy wylądował porucznik Witold Gabis. Był zdenerwowany i roztrzęsiony. Stał oparty o kadłub samolotu, ocierał spocone czoło.

- Powiedz, co się stało? - przerwał milczenie ppłk Iwan Tałdykin.
- Poleciliśmy do Piły. Oleg nadał meldunek...
- To wiemy. Co dalej? - niecierpliwił się dowódca.
- Na lotnisku zobaczyliśmy samolot transportowy Ju-52. Zaatakowaliśmy go. Wystarczyło kilka serii i się zapalił. Szosą obok lotniska posuwała się niemiecka kolumna...
- Piechoty?
- Była to mieszana kolumna. Ruszyliśmy do ataku. Strzelała małokalibrowa artyleria niemiecka. Wyszedłem nieco przed Olega. Gdy skończyłem atak, rozejrzałem się. Nie widziałem Matwiejewa. Myślałem, że poszedł do drugiego ataku. Wykonałem krąg i wtedy pomiędzy domami w śródmieściu zobaczyłem szczątki jaka.



Oleg Matwiejew, Rosjanin z dalekiego Irkucka, zginął w wieku 28 lat, wykonując 46. lot bojowy w polskim mundurze. W 1943 roku został bowiem jako instruktor pilotażu skierowany do powstającego w ZSRR 1 Pułku Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa”.

Pod wieczór 14 lutego Piła została zajęta przez jednostki radzieckiej 47 armii. Odnalezione zwłoki Matwiejewa przywieziono na lotnisko w Bydgoszczy. 15 lutego pułk miał przerwę w lotach. W południe odbył się pogrzeb pilota. Pochowano go z honorami wojskowymi przy ulicy Żwirki i Wigury, naprzeciwko lotniska. Po wojnie prochy przeniesiono na cmentarz żołnierzy radzieckich poległych w walkach o Bydgoszcz.



Pomnik, upamiętniający śmierć odważnego lotnika, powstał w lipcu 1945 roku. Okoliczności jego budowy utrwalił kronikarz ostatnich

dni niemieckiej Piły dr Joseph Stukowski, lekarz i jeńiec wojenny, który w 1975 roku wydał swe wspomnienia w książce pt. „Bis zuletzt in Schneidemühl” („Do samego końca w Schneidemühl”). Z charakterystycznym dla siebie sarkazmem pisał:

„W lipcu 1945 przystąpili Rosjanie do budowy pomnika zwycięstwa, by zachować dla potomności wspomnienie tych historycznych zdarzeń. W ogrodzie łoży powstał pomnik wielkich wymiarów. W tym celu wyrównano obszar Logenstraße, Saarlandstraße i Gartenstraße. Do budowy zostały zwiezione z cmentarzy kolorowe kamienie nagrobne z marmuru. Pomnik imponował bardziej swoją wielkością niż artystycznym wykonaniem. Szerokie granitowe płyty zostały tarasowato ułożone warstwami aż do cokołu. Na tym wznosił się kwadratowego kształtu właściwy pomnik aż na wysokość około 20 metrów.

Ukoronowany był samolotem lecącym w kierunku zachodnim. Napisy w polskim i rosyjskim języku ogłaszały czyny bohaterskie bez podania liczby strat. Polegli rosyjscy oficerowie sztabowi spoczywali w ozdobnych pojedynczych grobach naokoło pomnika. Wszystkie ozdobne krzewy, które zostały tutaj posadzone, pochodziły również z niemieckich cmentarzy. Podobny pomnik postawiono także w Bydgoszczy. Polacy jednak gorszyli się tym i wysadzili go jesienią. Odtąd często rosyjski patrol bywał na tym terenie, aby zapobiec podobnemu zdarzeniu w Pile. Przy budowie tego pomnika zatrudniono setki pilan. Byli napędzani do większej wydajności pracy obietnicą, że po jego wykończeniu będą zwolnieni za linię Odra-Nyssa. Jak zawsze pozostało to także tutaj tylko obietnicą”.



Kilka lat później groby 1372 żołnierzy radzieckich, poległych w walkach o Piłę, przeniesiono na cmentarz wojenny w Leszkowie, a pomnik przy ulicy Niepodległości pozostał już tylko jako pamiątka po bohaterskiej śmierci lotnika.

Przetrwał 46 lat. W 1991 roku został zdemontowany i przeniesiony do Muzeum Wyzwolenia Piły. Po pożarze i likwidacji tej placówki



wszelki ślad po nim zaginął. Jedyne „kamienne płyty - jak zauważył to jeden z internautów na portalu „Dawna Piła” - wróciły po ponad dwudziestu latach. Nowa „scena” przy altance w Parku Miejskim może wyglądać znajomo. Kamienne płyty, którymi ją wyłożono, pochodzą...spod rozebranego w 1991 r. pomnika Olega Matwiejewa”.

Tak miasto odwdzięczyło się lotnikowi, który w polskim mundurze i z biało-czerwoną szachownicą na statecznikach samolotu zginął na pilskiej ziemi.

## Na gruzach miasta



Ojciec mój uważany był przez rodzinę za nieżyjącego. Otrzymaliśmy bowiem od jego kolegów wiadomość, że zginął podczas nalotu dywanowego lotnictwa alianckiego na zakłady, do których wywieziono go na przymusowe roboty. Powrót jego był więc nieoczekiwany i bardzo radosny dla całej rodziny.

Uważałem, że ojciec po wojennych przeżyciach odpocznie co najmniej miesiąc w domu, wśród swoich. Już po tygodniu jednak zgłosił się do parowozowni w Bydgoszczy, gdzie przed 1939 rokiem pełnił służbę jako maszynista PKP. Po dwóch dniach wrócił do domu, aby zabrać swój stary, przedwojenny mundur kolejowy. Gdy w 1940 r. wywożono go do Niemiec, nakazał nam, abyśmy starannie go przechowywali, mówiąc: „On będzie mi jeszcze potrzebny”. Pobył w domu kilka godzin. Dowiedzieliśmy się, że został przez władze wojskowe delegowany wraz z dziewięcioma innymi maszynistami do Piły, aby uruchomić tam parowozownię i stację PKP” - tak rozpoczynają się wspomnienia Jana Polakowskiego, syna jednego z bydgoskich kolejarzy, którzy byli pierwszymi Polakami, jacy przyjechali po wyzwoleniu w lutym 1945 roku do kompletnie zrujnowanej Piły.



Dworzec i parowozownia w Pile nie były jednak doszczętnie zniszczone. Szybko więc usunięto uszkodzenia i już pod koniec marca 1945 roku wyruszały pierwsze parowozy. Co oczywiste, prowadziły one przede wszystkim pociągi z bronią i zaopatrzeniem kierowanym na front, który w tym czasie ustabilizował się na Odrze.

Ofiarność kolejarzy-pionierów nie znała granic, pracowano oficjalnie po dwanaście godzin, ale bardzo często znacznie dłużej. Jeżeli ktoś z drużyny zachorował, to pozostali koledzy samorzutnie, bez rozkazu zastępowali go w pracy. W tych pierwszych tygodniach po wyzwoleniu nikt nie pytał o zapłatę. Pierwsza wypłata w polskich pieniądzach, w wysokości 200 zł, była dopiero 18 lipca 1945 r. Dostawało się pół bochenka razowego chleba, trochę smalcu lub solonej



słoniny i obiad w kuchni wojskowej, która mieściła się przy peronie pierwszym, w drewnianym baraku, naprzeciw poczty dworcowej.



17 marca 1945 r., gdy tylko zaczęły kursować pierwsze pociągi ze wschodu na zachód, po dwóch dniach oczekiwania Jan Polakowski - wówczas bardzo młody człowiek - dostał się do wagonu transportu wojskowego, jadącego na zachód. Pchała go do Piły nie tylko młodzieńcza ciekawość, ale także troska o losy ojca. Podróż do Piły trwała aż dwanaście godzin i mógł ją odbyć tylko dlatego, że dowódca transportu wojskowego zezwolił dołączyć dwa wagony dla cywilów; były to węglarki, częściowo uszkodzone przez pociski, dlatego doczepiono je na końcu transportu. A mimo to przepełnione były do granic wytrzymałości, ludzie stali na stopniach i zderzakach. Jechali nim nie tylko przyszli pionierzy, którzy chcieli zagospodarować tak zwane wtedy Ziemie Odzyskane, ale także rzesza szabrowników w poszukiwaniu ponemieckiego dobytku. Do Piły przyjechali w nocy 18 marca 1945 r. Na stacji zapowiedziano, aby nikt z cywilów przed świtem nie wychodził do miasta, bo jest zbyt niebezpiecznie. Należało poczekać na stacji do rana, ale młody Polakowski oraz towarzyszący mu kolega nie posłuchali tego zakazu. Nie było to zbyt rozsądne, ale dzięki temu zachowała się do dziś relacja naocznego świadka o tym, jak wyglądała wówczas zrujnowana Piła.

„Szliśmy ulicą Kolejową (obecnie ul. 14 Lutego) do dzisiejszej ul. Buczka - czytamy w jego relacji. - Widok, który zobaczyłem, był straszny i przygnębiający; całe ulice zasypane gruzem wypalonych domów, koło obecnego placu PPR stały rozbite czołgi i spalone samochody, a wokół nich pełne skrzynie różnorodnej amunicji i sprzętu. Panował potworny swąd spalenizny i odór rozkładających się ludzkich i zwierzęcych zwłok. Na całej ul. 14 Lutego tylko dwa budynki nadawały się częściowo do zamieszkania, a wszystkie pozostałe wypalone były do samych piwnic. Podczas wędrowki wśród morza ruin i zgliszcz dotarłem aż do hotelu „Wiktoria” - całkowicie wypalonego, czteropiętrowego kolosa, który stał na narożniku ulic Świerczewskiego i Buczka;

mieścił się tam przed wyzwoleniem okręgowy komitet NSDAP. W wypełnionych wodą piwnicach obecnego Domu Odzieżowego „Hermes” leżały w wodzie zwłoki żołnierzy niemieckich. Dalsza wędrówka była niemożliwa, ponieważ obecne ul. Świerczewskiego i Buczka zatarasowane były różnymi, spalonymi pojazdami i zwałami pięści pancernych (Panzerfaust) oraz gruzem ze spalonych domów, sięgającym niekiedy pierwszego piętra. Z całej ul. Świerczewskiego ocalał jedyny dom: obecna „Szarlotka”. Po godzinie wróciłem na dworzec kolejowy, gdzie dowiedziałem się, że ojciec mój pełnił w tym czasie służbę w parowozowni. Niezwłocznie udałem się tam, było wczesne przedpołudnie. Tego dnia ojciec pracował od godz. 6 do 18. Bardzo ucieszył się z mego przyjazdu oraz czystej bielizny, którą przywoziłem. Po kilkunastu zaledwie minutach rozmowy z ojcem (nie można było dłużej, bo parowóz był pod parą gotowy do odjazdu) wskazał mi tylko drogę do ul. (Ringstrasse) Okólnej, gdzie razem z dwoma jeszcze kolegami urządzili sobie prowizoryczne mieszkanie. Dwóch z nich pracowało na dziennej zmianie, trzeci odpoczywał i zarazem pilnował skromnego dobytku”.

W obawie przed szabrownikami, którzy tłumnie pojawili się w zrujnowanej Pile, w pierwszych tygodniach po wyzwoleniu mieszkania zabezpieczało się mocną zasuwą, zamykaną od wewnątrz i podpartą sztabą żelazną. Na zewnętrznej stronie drzwi wisiała kartka z pieczęcią radzieckiego komendanta parowozowni z napisem: „Zajęte przez PKP”.

„Po dosyć długim pukaniu do drzwi i zapowiedzi, że jestem synem Polakowskiego, nieufnie i trochę zły, że przerwałem mu zasłużony sen, odezwał się jakiś mężczyzna. Nim otworzył mi drzwi, musiałem podejść od strony ulicy do okna na parterze, aby mógł mnie najpierw zobaczyć. Gdy wszedłem do mieszkania, składającego się z dwóch pokoi, panował w nich półmrok, bo w oknach była tylko część szyb, resztę zabito deskami lub blachą. Przedstawił mi się: Borowczyk, maszynista z lubelskiego. Mieszkanie to, jak na owe czasy, zaliczyć można było do luksusowych, bo średnia szyba okienna kosztowała pół litra bimbru lub jeden kilogram słońiny. Wodę mieliśmy niedaleko, bo w ogródkach działkowych przy ul. Walki Młodych, gdzie stała czynna pompa.

Po krótkiej rozmowie i pozostawieniu ojcu bielizny oraz żywności, nie chcąc zabierać Borowczykowi drogocennego snu, pożegnałem się z nim i podążyłem do parowozowni. Wieczorem, po zakończeniu zmiany ojciec wraz z innymi kolejarzami zabrał mnie, chociaż jeszcze nie pracowałem, do kuchni wojskowej, gdzie na równi z pozostałymi pracownikami otrzymałem menażkę krupniku na słoninie oraz pajdę razowego chleba. Smakowało mi to jedzenie lepiej niż obecnie wyszukane smakołyki. Późnym wieczorem przybyliśmy na ul. Okólną 19, gdzie przy świetle karbidówki położyliśmy się spać”.

Kilka dni później Jan Polakowski rozpoczął pracę w parowozowni PKP w Pile przy załadunku węgla na parowozy do transportów wojskowych, jadących na front. Po wielu latach, bo w 1979 roku, jako naczelny redaktor „Tygodnika Piłskiego” opublikowałem jego wspomnienia na łamach pisma. W ten sposób relacja piłskiego kolejarza zachowała się do dziś i jest cennym źródłem informacji o tym, jak życie kiełkowało na gruzach miasta.

## Tragedia rodziny Wittigów



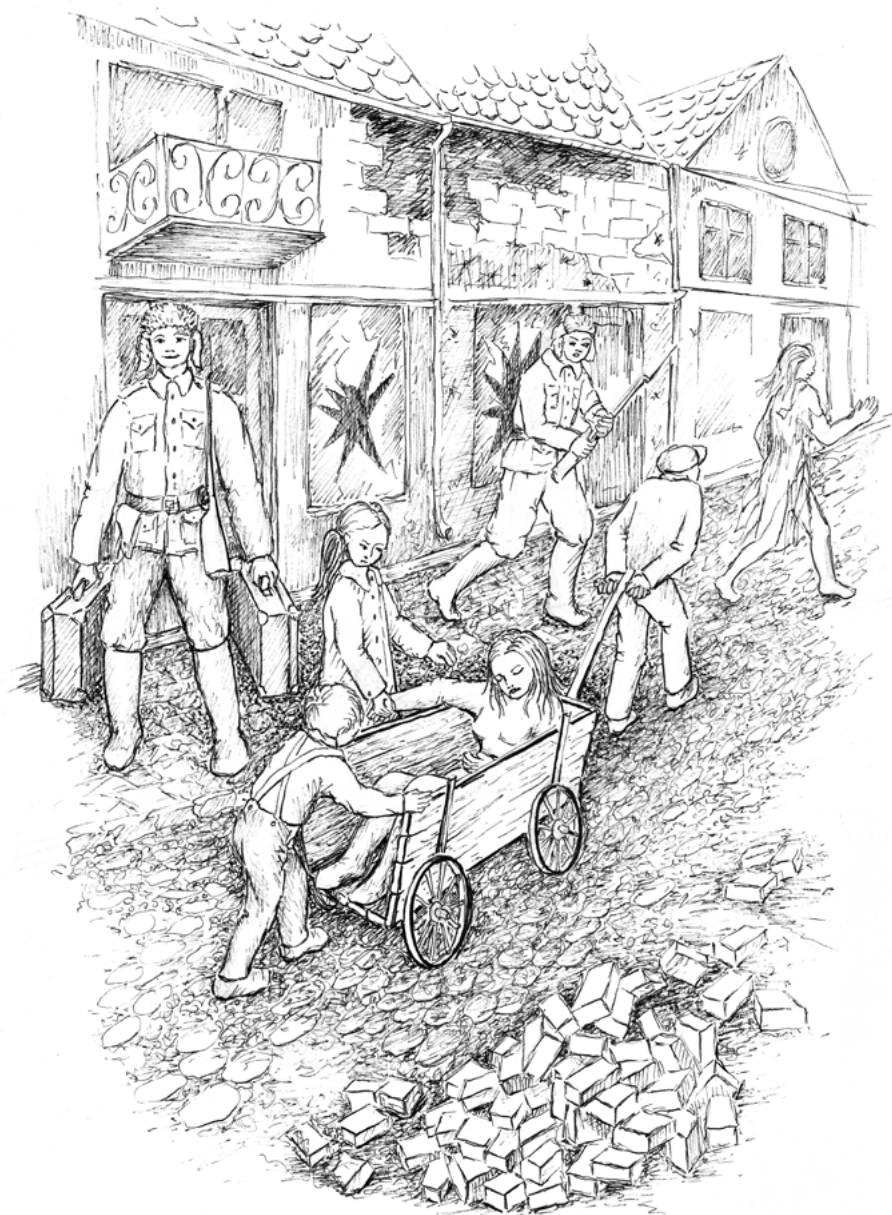
ilhelm Wittig był człowiekiem upartym, a poza tym miał ograniczoną wyobraźnię. Wojnę widział oczyma weterana z francuskiego frontu z 1918 roku i nie miał pojęcia, jak bardzo różni się od niej ta, która właśnie zbliżała się do jego domu w Schneidemühl. Inni szykowali się do drogi, a on, wbrew woli żony, która chciała ewakuować rodzinę do siostry w Hesji, postanowił zostać i strzec dorobku swojego życia. Był właścicielem dobrze prosperującego ogrodnictwa przy ul. Ziegelstrasse (Ceglanej). Miał też na utrzymaniu liczną rodzinę. Wprawdzie jego trzech najstarsi synowie byli na froncie, ale w domu pozostała jeszcze trójka: 14-letni Dieter, 12-letnia Berthilda oraz najmłodszy, 9-letni Wilhelm.

Decyzję o pozostaniu w mieście podjął ostatecznie podczas skromnej kolacji, przygotowanej przez żonę Bertę z okazji urodzin Dietera. „Jeżeli chcesz jechać do twojej siostry do Hesji, to jedź, proszę. Ja nie zostawię mojej ziemi, naszego ogrodnictwa, nie!” - tak zapamiętał słowa ojca jego czternastoletni syn, który po latach opisał swe przeżycia z okresu wojny. Działo się to 5 grudnia 1944 roku, kiedy transporty z uciekinierami ze wschodu sygnalizowały zbliżające się niebezpieczeństwo.

Gdy 26 stycznia pierwsze pociski spadły na Schneidemühl, w mieście, które w 1939 roku liczyło 45 tysięcy mieszkańców, pozostało zaledwie tysiąc cywilów, głównie kobiet dzieci i ludzi starych. Wraz z natężeniem ostrzału artyleryjskiego przebywanie w domach stało się niebezpieczne. Rodzina Wittigów przeniosła się więc do piwnicy na warzywa. Ojciec z synem doprowadzili tam prąd i zbudowali z solidnych pali drugie, ewakuacyjne wyjście.

„Żarówka migocze przy każdym wybuchu w pobliżu - pisze po latach Dieter. - W końcu siedzimy wszyscy w zupełnych ciemnościach. Potem słyszymy potworny wybuch. Każda minuta przynosi następne, równie potężne. - Tato, musimy stąd uciekać. Artyleria strzela wprost na nasz bunkier - krzyczę. - Spróbujmy przejść do dużego, sąsiedniego domu, który ma mocny schron przeciwlotniczy. Przy blasku łuny





pędzimy przez śnieg do tego wielkiego domu na rogu. Tam także sły-  
chać jeszcze straszliwy świst pocisków i czuje się ich uderzenia, ale  
czujemy się tu pewniej”.

W trzy dni później patrol wojskowy zabiera 52-letniego ojca do służby  
w Volkssturmie.

- Wróć dzisiaj wieczorem - to są jego ostatnie słowa. Więcej już nigdy  
o nim nie usłyszeli.

W dniu 14 lutego, gdy niemieckie jednostki podjęły udaną próbę  
wyrwania się z oblężonej Piły, siedzieli wciąż w tym samym miejscu.  
Zbici w gromadkę, przykucnięci na zsuniętych materacach oczekiwali  
na pierwszych Rosjan. Ale zamiast nich zajrzeli do piwnicy ranni nie-  
mieccy żołnierze. Byli obdarci i zmordowani. Jakiś podoficer dostrzegł  
ich i powiedział z sarkazmem do swych kolegów: „Tutaj jest jeszcze  
kilku kandydatów na samobójców”.



„Budzik pokazuje godzinę dziesiątą. Na zewnątrz jest tak cicho, że  
słycać wyraźnie najlżejszy szmer. Nagle słyszymy u góry przy wej-  
ściu do piwnicy niezrozumiałe słowa, a potem mężczyźni w ciężkich  
butach schodzą z łomotem po schodach. Drzwi od piwnicy uchylają  
się i wsuwa się lufa karabinu. Dajemy się rozpoznać i już żołnierze  
są w pomieszczeniu. Powstaje wielkie zamieszanie, w końcu Rosjanie  
krzyczą: „Wychodzić!”. Gdy chcę zabrać nasze rzeczy, wszystko jest  
już na zewnątrz. Przez wyłom w piwnicy dostajemy się do sąsiedniego  
domu. Widzę jakiegoś Rosjanina, który jest tak uprzejmy, że już dźwiga  
naszą walizkę. Chcę ją wziąć od niego, ale otrzymuję tak gwałtowny  
cios pięścią w twarz, że padam na ziemię. Widzę, jak moja matka w po-  
dobny sposób zostaje potraktowana. Także ona wraca do nas z potęż-  
nym guzem na głowie”.

Tak wyglądał ich pierwszy kontakt z Rosjanami. Zmienili więc  
piwnicę i chociaż wejście do niej zakryli listwami i deskami, czer-  
wonoarmiści odnaleźli ich bez trudu. Kazali wszystkim ustawić się  
pod ścianą, a sami zajęli się rabunkiem. Wysypali zawartość każdego  
plecaka, rozpruli każdą torbę, krzycząc łamaną niemczyzną: „Wo is

Uhri, wo is Uhri?” („Gdzie zegarki, gdzie zegarki?”). Zabrali wszystko, co im się spodobało.

Minęło kilka dni. Wittigowie i ich towarzysze niedoli jakoś urządzili się w piwnicy „Brands Villa”. Pewnego wieczoru, gdy Berta myła w jakiejś kadzi najmłodszego z chłopców, a obok pięcioletnia dziewczynka odmawiała wieczorny pacierz, dwaj Rosjanie wtargnęli do ich tymczasowego lokum. Dieter wspomina: „Jeden z nich ma odrażającą twarz, ten drugi jest chyba lepszy, nosi więcej odznaczeń. - Gdzie dokumenty? - pada pytanie. Gdy moja matka pokazuje swój Ausweis, stwierdzają: - Niedobry, trzeba iść na komendanturę. Druga kobieta, która już spała, także ma iść z nimi. My, dzieci obu tych kobiet, zaczynamy krzyczeć ze strachu. Ten starszy rangą próbuje nas pocieszyć: - Matka zaraz wróci, za dziesięć minut! Gdy druga kobieta bardzo powoli się ubiera, ten odrażający typ strzela w sufit. Tynk sypie się wokół, a my - dzieci zaczynamy krzyczeć jeszcze głośniej. Ale to nic nie pomaga. Obie kobiety muszą iść. Po kwadransie rzeczywiście wracają. Ja tylko domyślam się, mając te moje czternaście lat, co się z nimi działo”.



Po tym incydencie Wittigowie opuścili piwnicę w „Brands Villa” i wrócili do swojego domu. Dieter z siostrą starali się naprawić uszkodzony podczas ostrzału dach. Matka uporządkowała splądrowane pomieszczenia. Tak dotrwali do 3 marca 1945 roku.

Rankiem tego dnia Dieter wraz z bratem, ciągnąc ręczny wózek, wybrali się w kierunku śródmieścia. Słyszeli, że w dawnym „Cafe-Vaterland” można dostać chleb. „Gdy obładowani wracamy, widzimy, jak jakiś Rosjanin złapał naszą matkę i zdiera z niej ubranie. Zaczynamy głośno krzyczeć i staramy się go odepchnąć na bok. Matka uwalnia się i biegnie do piwnicy. Rosjanin za nią. Tam została zgwałcona. Gdy wyszli z piwnicy, ten Rosjanin był z tyłu za nią. Pobiegła przez szklarnię w kierunku gołębnika. Ja tymczasem wdrapałem się na dach, żeby widzieć, gdzie jest matka. Widzę ją, wybiegającą z gołębnika, wciąż ściganą przez swego prześladowcę. Chce biec na ulicę, wtem Rosjanin podnosi pistolet maszynowy. - Mamo zatrzymaj się, on będzie strzelać

- krzyczę i błagam Rosjanina, aby nie strzelał. To daje matce czas, żeby znowu mogła uciekać. Ponieważ nie widziałem dokąd, szukałem na podwórzu. Nagle pada strzał, a potem usłyszałem przerażający krzyk. Pognałem, ale tam była już moja siostra, która łkając i jękając się mówiła: - Dieter, ten Rosjanin zasztyletował mamę. Widziałam, jak wbijał bagnet w ziemię, żeby obetrzeć krew. Chodź prędko. Znaleźliśmy naszą matkę. Straszliwie krwawiła. Dolną szczękę miała złamaną. Gdy pochyliłem się nad nią, otworzyła oczy. Rzęząc, wydała parę niezrozumiałych dźwięków. Nie mogła nic więcej z siebie wydobyć, gdyż język miała strasznie okaleczony. - Będę zawsze opiekować się Berthildą i Wilhelmem - przyrzekłem jej”.



Niemiecki lekarz o polskim nazwisku, Josef Stukowski, wspomina w swojej książce „Bis zuletzt in Schneidemühl” („Do końca w Pile”): „Mam ten wstrząsający obraz w pamięci, gdy dwoje dzieci ogrodnika W. przywiozło do szpitala na ręcznym wózku swoją ciężko raną matkę. Miała złamaną dolną szczękę i przeciętą bagnetem szyję w okolicach krtani. Umarła na stole operacyjnym, ponieważ pomoc przyszła za późno. Te niepełnoletnie dzieci chciały ją pochować w ich ogrodzie”.

Zostali sami. Troje dzieci w wieku 14, 12 i 9 lat. Noc po pogrzebie była ich ostatnią w rodzinnym domu. Następnego dnia przesiedlono ich na Koszyce. „Załadowaliśmy nasz ostatni dobytek na ręczny wózek i wyruszyliśmy”.

Dieter Wittig dotrzymał danego matce słowa. Opiekował się młodszym rodzeństwem i po roku tułaczki dotarł z nimi szczęśliwie do Hesi, gdzie mieszkała jego ciotka.

## Tajemnice desantu na Piłę



eszcze dwie minuty. Ju 52 pędził po niebie zaledwie kilkaset metrów na ziemią. Przed nim, równie nisko, leciała eskadra heinkli. Miały zbombardować miasto, by odwrócić uwagę od ich misji.

- Nie jesteśmy niewidzialni, ale tak nisko nie wykryje nas żaden radar ani obserwatorzy artylerii przeciwlotniczej – mruknął do siedzących w kokpicie pierwszy pilot.

W otwartych drzwiach samolotu gwizdał wiatr, wiejący z prędkością 250 km/h. Słowa ginęły w hałasie silników. W czerwonym oświetleniu bojowym w ładowni junkersa napięte twarze spadochroniarzy były niewyraźne.

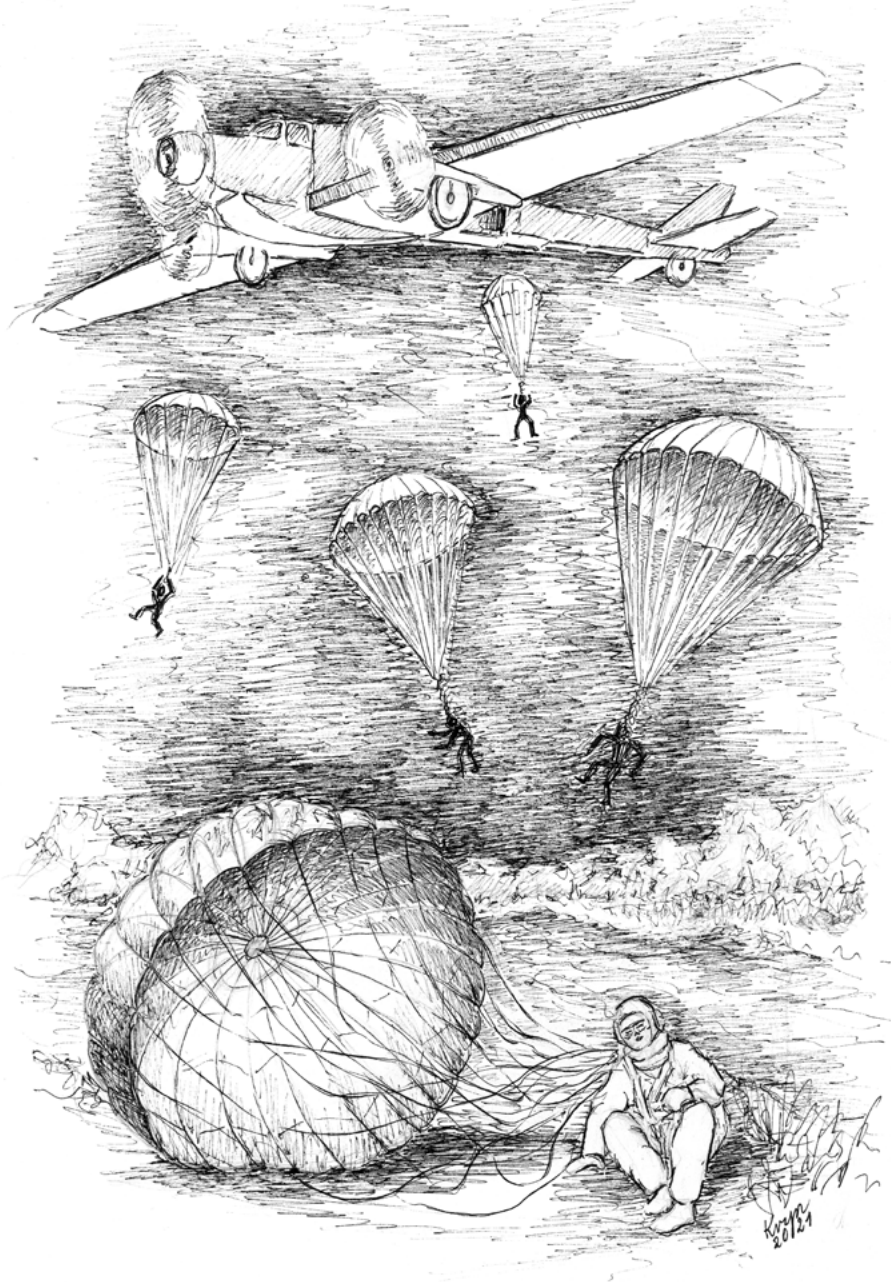
- Vier ... drei ... zwei ... eins - odliczył drugi pilot, po czym lampki nad drzwiami zmieniły kolor na zielony:

– Steig aus! - i w ładowni samolotu zaczął się wyścig z czasem. W tym momencie kilkunastu żołnierzy z Fallschirmjägerdivision przystąpiło do akcji i jeden po drugim, jak perły z pękniętego naszyjnika, odrywali się od maszyny, znikając w ciemnościach. Opróżnianie ładowni trwało zaledwie minutę. Pod nimi okolice Schneidemühl, leżącego w gruzach miasta, w którym mieli wykonać ważne zadanie. Jakże? To do dziś pozostało tajemnicą. Jedno nie ulegało wątpliwości. Była to misja samobójcza. Musieli wiedzieć, że mają marne szanse na powrót.



Był poniedziałkowy wieczór 16 kwietnia 1945 roku. Do zniszczonej dwa miesiące wcześniej Piły przyjechał pełnomocnik rządu Rzeczypospolitej na okręg Pomorza Zachodniego podpułkownik Leonard Borkowicz. Ówczesna Piła na krótko stała się tymczasową stolicą późniejszego województwa szczecińskiego. Borkowiczowi towarzyszył poznaniak, inżynier Piotr Zaremba, potem mianowany pierwszym polskim prezydentem Szczecina. Po latach tak wspominał tamten poniedziałkowy wieczór: „Na wycucie szukaliśmy drogi wśród pustych ruin. Wokół nas nadal jeszcze szalały światła i słychać było głucho





wybuchy. Kończył się nalot niemieckich samolotów na dworzec - silna obrona udaremniła jednak ten ostatni już niemiecki nalot na Piłę”.



Wydarzenie to - dziś już zapomniane - jeszcze do niedawna stanowiło przedmiot sporów i mniej lub bardziej prawdopodobnych spekulacji. Powodem była dość oczywista wątpliwość. Dlaczego w dniu, w którym armie dwóch radzieckich frontów (w tym dwie armie Wojska Polskiego) rozpoczęły operację berlińską, nieliczne już wtedy niemieckie samoloty wysłano nad leżącą na dalekim zapleczu frontu Piłę? Zbombardowanie pilskiego węzła kolejowego w niczym nie mogło przeszkodzić w kontynuowaniu ofensywy na Berlin. Czyżby Niemcy, wysyłając je, mieli jakiś ukryty cel? Jeśli tak, to jaki?

I tu zaczynają się spekulacje. Bombardowanie zniszczonego miasta mogło być kamuflażem tajnej operacji zrzućenia desantu spadochronowego z jakąś ważną misją. Podobne operacje desantowe Niemcy przeprowadzali do ostatnich dni istnienia III Rzeszy także w innych regionach zachodniej Polski.

Przypuszczenie to opiera się na kilku faktach. Pierwszy trop odnajdujemy we fragmencie artykułu (nie można zidentyfikować gazety, z jakiej pochodzi), gdzie napisano:

„Batalion Zapasowy, przemianowany na Komendę Wojewódzką MO Pomorza Zachodniego, topniał z każdym dniem. Milicjanci wraz z grupami ludzi, delegowanymi przez pełnomocnika rządu ppłk. Borkowicza, wyjeżdżali zakładać administrację i obejmować coraz to nowe powiaty. Ci, którzy nie mieli jeszcze przydziałów, otrzymali inne zajęcia. Wkrótce po ich przyjeździe do Piły Niemcy zrzucili w pobliżu miasta silny desant. Walka ze spadochroniarzami uwieńczona pełnym sukcesem, była ich chrztem bojowym [...]”

Drugim, wiarygodniejszym tropem są wspomnienia trzech milicjantów Batalionu Zapasowego: Aleksego Marca, Józefa Bugajskiego i Romana Sztaby, spisane w 1962 roku. „Bodajże w dniu 16.04.45 Niemcy przeprowadzili nalot na Piłę. W czasie przeprawy przez Gwdę zginął milicjant, szeregowiec Władysław Wicha. Tego dnia zrzucony



został przez Niemców desant powietrzny w sile kilkunastu ludzi i Baon bierze udział w jego likwidacji. Niemców wyłapano w okolicy przylegającej do koszar - obecnie Oficerskiej Szkoły Samochodowej. Jeńców zabrali żołnierze radzieccy [...]”.

„Wot ona, prokljataja Germanja!” („Oto one, przeklęte Niemcy!”). Tablicę z tym rosyjskim napisem, stojącą przy szosie na zachodniej granicy Kraju Warty, widać na zdjęciach radzieckiej kroniki filmowej z zimy 1945 roku. Tego samego wydania kroniki, która pokazuje boje w okolicach Meseritz (Międzyrzecz) i zdobyte przez czerwonoarmistów potężne fortyfikacje międzyrzeckie. Na ekranie widać jeszcze kopułę jednego ze schronów bojowych, gdy lektor w komentarzu przenosi widzów do Piły. Ulicą wśród wypalonych domów Rosjanie pędzą kolumnę jeńców wojennych. Tych, którzy - według lektora - krzyknęli: „Hitler kaput!”.

Czyżby byli to owi przekazani Rosjanom spadochroniarze? Bardzo prawdopodobne.

Na inny ślad desantu wpadł doktor Ryszard Nazarewicz, pisząc w jednej ze swych prac, że „niektórym z grup spadochroniarzy, zrzuconych w ostatnich tygodniach wojny na tereny Polski, udało się dokonać aktów dywersji. Między innymi w Pile, już po wyzwoleniu, wysadzone zostały magazyny amunicji”. Publikując w „Wojskowym Przeglądzie Historycznym”, Nazarewicz podał źródło tej informacji. Było nim sprawozdanie Henryka Szafrąńskiego dla Komitetu Centralnego PPR o sytuacji na Pomorzu Zachodnim z 27 kwietnia 1945 roku, więc z okresu po niemieckim bombardowaniu Piły.



Choć fakt zrzużenia w okolice Piły desantu niemieckich spadochroniarzy potwierdzają wiarygodne źródła, to ciągle pozostają wątpliwości, jaki był cel dywersji. Dlaczego Niemcy posyłałiby spadochroniarzy w samobójczej misji w celu zniszczenia jakiegoś magazynu amunicji? Albo nie była to zwyczajna amunicja, albo zadanie, które mieli wykonać, uznano za równie ważne lub nawet ważniejsze - zniszczyć lub zamaskować coś, co nie powinno wpaść w ręce Rosjan

i Polaków. Czy jednak w Pile i jej okolicach mogło znajdować się coś takiego? I co to właściwie mogło być? Tajny ośrodek broni raketowej?

Wskazuje na to relacja Leona Budy, który w 1945 roku przebywał w zniszczonej Pile. I tam, w koszarach, widział wśród walających się papierów jakieś instrukcje z rysunkami raket V-2. Biorąc pod uwagę fakt, że była to broń ściśle tajna, tego typu materiały nie mogły znajdować się w zwykłych koszarach. Chyba że w nich mieścił się wspomniany ośrodek, który ponoć miano przenieść z Koszalina do Piły.

Pod koniec lat 50. minionego wieku w prasie brytyjskiej pojawiły się relacje byłej agentki wywiadu Intelligence Service, zresztą Polki z pochodzenia, która pracowała w Peenemünde jako sekretarka. Twierdziła ona, że w Schneidemühl działało hitlerowskie centrum wyszkolenia broni raketowej.

Istnieje też druga hipoteza, według której celem akcji spadochroniarzy mógł być żelbetowy obiekt. Niemcy nadali mu kryptonim Detlef. Pod koniec wojny budowano go u stóp sporego wzniesienia terenu, na którym hitlerowcy urządzili lotnisko i gdzie znajdowały się też zakłady lotnicze. Obiekt Detlef mógł być wejściem lub nawet wjazdem do podziemnej części wspomnianych zakładów. Spadochroniarze mogli więc podziemia odciąć od samego obiektu Detlef, potomnym pozostawiając coś na kształt bunkra, który Polacy przebudowali najpierw na zapasowe stanowisko dowodzenia pilskiej jednostki lotniczej, a później na ... garaże.

O owym wejściu do tajemniczej podziemnej fabryki plotkowano jeszcze długo potem:

„Zaraz po wojnie w „otwory” czy „bramy” weszli Ruskie i...Pierwsi nie wyszli! Wysłano drugich ...też nie wyszli! Wtedy wysłano jednego z telefonem. Poszedł ...ale po kilkunastu minutach wyciągnięto tylko... ucięte kable. Wysłano następnego z radiostacją. Szedł ponoć i liczył. Doliczył do ... i „zaprzestał”. Wtedy Ruskich trafił szlag. W tunel wysłali takie małe „tankietki” - widziałem. Mieli. Wysłali i było bum po iluś tam metrach! I ponoć zasypało się” - napisał wiele lat temu jeden z forumowiczów portalu „Dawna Piła”.

Jeśli więc wierzyć tej plotce, to nie Niemcy, lecz Rosjanie zasypali wejście do podziemnej fabryki.

Jak było naprawdę? Zapewne nigdy się nie dowiemy, a tajemnica desantu na Piłę pozostanie na zawsze zagadką.

## Męczeństwo siostry Ksawerii



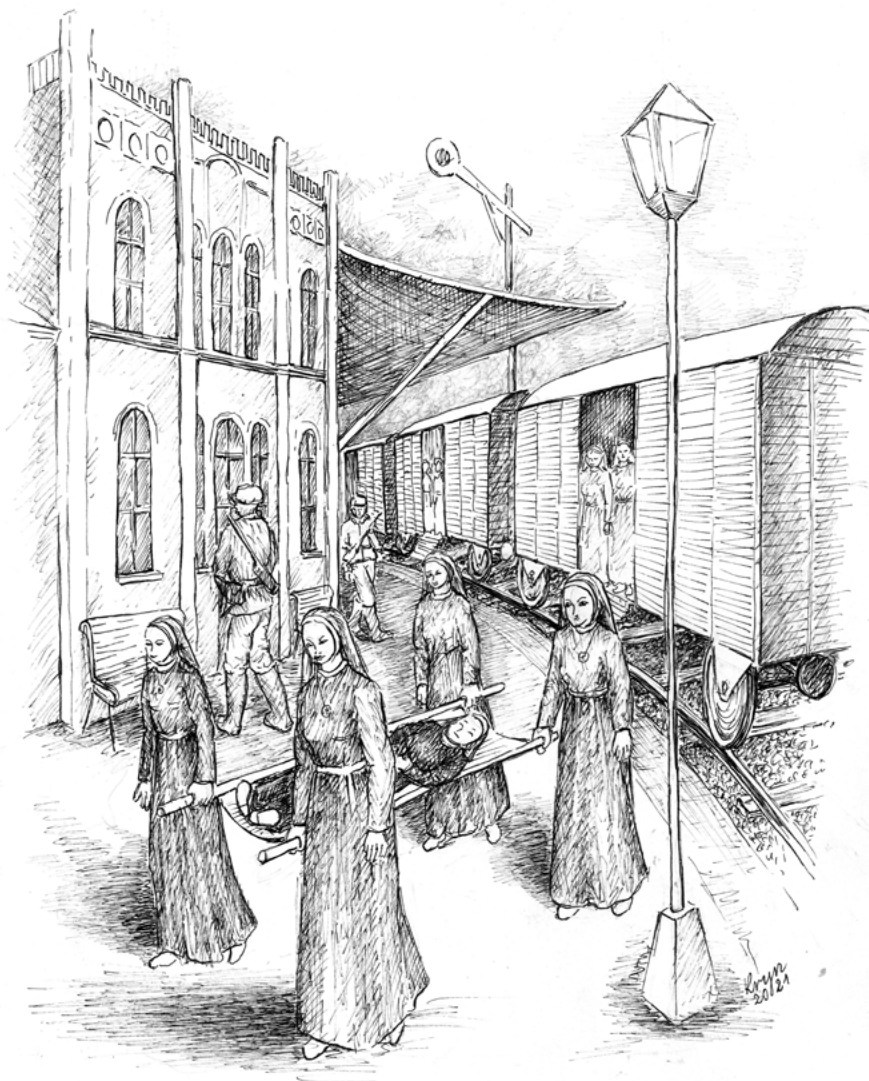
ociąg zbliżał się do Piły. Właśnie zwalniał i słysząc było zgrzyt hamulców, gdy umierająca siostra Ksaweria otworzyła oczy. Na chwilę odzyskała przytomność. Twarz miała zakrwawioną, wargi spuchnięte. Pokonując ból, słabym głosem zaczęła się modlić. Po chwili słowa pacierza razem z nią powtarzały towarzyszkę jej podróży - zakonnice ze Zgromadzenia Sióstr św. Katarzyny Dziewicy i Męczennicy oraz inni współpasażerowie, upchnięci w bydlęcym wagonie, zmierzającym na zachód. Przy słowach: „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”, nikt nie był w stanie powstrzymać łez.

Zanim pociąg stanął, zakonnica umarła. Gdy się zatrzymał, wyniesiono ciało z wagonu i położono na noszach przy torze. Nie wiadomo, czy i gdzie ją pochowano. Był 25 listopada 1945 roku. Dzień świętej Katarzyny, patronki zakonu, a równocześnie opiekunki kolejarzy. Pół roku od zakończenia wojny.



Siostra Ksaweria Rohwedder była jedną ze 104 zakonnice ze Zgromadzenia Sióstr św. Katarzyny Dziewicy i Męczennicy, które za wiarę i w obronie czystości zginęły z rąk radzieckich i niemieckich żołnierzy. Najmłodsza miała 27, najstarsza 60 lat.

Była Niemką. Urodziła się w katolickiej rodzinie w maju 1887 roku w Płoskini koło Braniewa, na terenie ówczesnych Prus Wschodnich. Mając dwadzieścia lat, złożyła śluby zakonne. Pobożna, ale także inteligentna i dobrze zorganizowana, szybko awansowała w hierarchii katarzynek w Braniewie oraz w Ornecie. Pełniła posługę jako przełożona w szpitalu, była mentorką i wychowawczynią nowo wstępujących do zakonu dziewcząt. Zmuszona przez gestapo do opuszczenia Ornety, opiekowała się chorymi w szpitalu w Dobrym Mieście. Tam po zdobyciu miasta przez Rosjan została zatrzymana. Zagoniono ją do Olsztyna, nieustannie maltretując.



Po kilku miesiącach wraz z innymi zakonnice - Niemkami została wysiedlona z Prus. Upchnięto wszystkie w bydłym wagonie i podłączono do pociągu ewakuacyjnego do Niemiec.



Pociąg włókł się niemiłosiernie wolno, przepuszczając transporty wojskowe. Siostry, zmęczone i głodne, marły w pozbawionych ogrzewania wagonach. Postój w Ławie przyjęły więc z ulgą. Wyszły z wagonu, by rozprostować kości, kupić coś do jedzenia w dworcowym bufecie i skorzystać z sanitariatów. Wśród nielicznych pasażerów kręciła się tu gromada podpitych żołnierzy w radzieckich mundurach. Kobiety w habitach zwróciły ich uwagę. Jeden z nich podszedł do siostry Ksawerii. I wtedy doszło do tragedii, którą tak relacjonowała po latach Maria Dokter, towarzysząca zakonnicy w podróży:

„W Ławie rosyjski żołdak napadł na siostrę i próbował ją zgwałcić wobec wszystkich podróżujących. Gdy siostra gwałtownie zaczęła się bronić, rzucił ją na ziemię, bił kolbą po brzuchu i nogach, a pięściami okładał twarz”.

Kiedy zakonnica odzyskała świadomość, poprosiła siostry o modlitwę za napastnika. Stan pobitej kobiety był tak zły, że nie miała szans przetrzymać wyczerpującej podróży w bydłym wagonie. Konała powoli i w cierpieniu.



Gwałty, jakich dokonywali czerwonarmiści w czasie II wojny światowej i tuż po jej zakończeniu, przez lata były przemilczane. Nie mówiło się o nich, nie liczyło ofiar, ilości zakażeń chorobami wenerycznymi, poczętych dzieci. Nikt nie myślał o spisywaniu wspomnień. Szacuje się, że zgwałconych mogło być nawet dwa miliony kobiet, przede wszystkim Niemek, ale nie tylko. 350 tysięcy ofiar żyło na terenach ponemieckich, czyli na Pomorzu, Śląsku, Warmii i Mazurach oraz w Wielkopolsce i Małopolsce – wśród nich setki zakonnicy. Wprawdzie na tych terenach od czasów Bismarcka

zakony żeńskie były niechętnie widziane, tolerowano jednak działalność siostr „społecznie użytecznych”, czyli zgromadzeń opiekujących się chorymi czy małymi dziećmi. Należały do nich głównie Niemki.

W Prusach Wschodnich los Ksawerii podzieliły także inne siostry katarzynki. Zginęła ich ponad setka. Rosjanie po wkroczeniu na terytorium Niemiec nie znali litości: dla nich to właśnie tu zaczęła się „Germania”, ziemia znienawidzonego wroga. Ich ofiarą padła między innymi siostra Krzysztofa Klomfass, która zginęła w schronie, gdzie ukryła się razem z chorymi ze szpitala, w którym pracowała. Zamordowane zostały zakonnice Sekundina Rautenberg i Adelgarda Böniß, przywiązane za nogi do samochodu i ciągnięte ulicami aż do śmierci. Siostra Generosa Bolz, mimo że przez wiele dni więziona była na poddaszu i okrutnie męczona, pielęgnowała jednocześnie chorych na tyfus.

Zakonnice w swoich wspomnieniach nazywały traumatyczne wydarzenia bardzo oględnie. Pisały o „siedmiu tygodniach cierpień”, o „nieopisanych, straszliwych godzinach”, o „gehennie”, o „drodze krzyżowej”. Unikały słowa „gwałt”. Być może wynika to z delikatności, ale zakłamuje rzeczywistość i wpisuje się w schemat, jakiemu ulegają wszystkie ofiary przemocy seksualnej: zmowę milczenia. Ofiary gwałtu boją się odrzucenia. Mają poczucie winy. Żywią nadzieję, że milczenie pozwoli im wyprzeć z pamięci straszne wydarzenia i żyć, jakby nic się nie stało. Stąd milczenie, które nie zawsze jest złotem.



70 lat później do parafii pilskiej Świętej Rodziny zawitały cztery zakonnice. Przybyły z Rzymu. Szukały możliwego miejsca pochówku siostry Ksawerii Rohwedder, bowiem podjęto przygotowania do procesu beatyfikacji 16 męczennic - siostr katarzynek, ofiar wojennej przemocy. Pojawienie się rzymskich wysłanniczek zaskoczyło nie tylko księży salezjanów, ale także miejscowych regionalistów, którzy nigdy o tragicznym wydarzeniu na dworcu w Pile nie słyszeli.



Pobył sióstr postulaterek zakończył się niepowodzeniem. Niestety, nie udało się znaleźć żadnych informacji ani w archiwum państwowym, ani w USC, ani w dokumentacji cmentarzy. Pierwsze powojenne lata w Pile nie należały zresztą do najłatwiejszych. Jeden z największych węzłów kolejowych w Europie dla stosunkowo niewielkiej liczby ludzi, którzy byli w mieście, stanowił zaledwie kolejny etap podróży. Faktyczną władzę tutaj sprawowali czerwonoarmiści. Brak świadków, brak dokumentów i upływ czasu uniemożliwiły znalezienie odpowiedzi na pytanie, gdzie znajduje się grób zakonnicy.

Na apel pilskich salezjanów odpowiedziało kilka osób. Ich świadectwa, złożone pod przysięgą, dotyczyły powojennych pochówków w pobliżu torów. Pojawiły się trzy poszlaki, które wskazują na groby przy al. Poznańskiej, przy ul. Kolejowej oraz w okolicach działek, gdzie mógł stać pociąg. Miejsce wiecznego spoczynku siostry Ksawerii pozostało nadal nieznanne.



Gdzieś w okolicach pilskiego dworca zakopano ciało zakonnicy siostry Ksawerii, która - jeśli dojdzie do procesu beatyfikacyjnego - będzie pierwszą błogosławioną, a być może i świętą Kościoła katolickiego, związaną z Piłą.

## Tragiczna wiosna



azgrzytały hamulce. Pociąg począł zwalniać, po czym zatrzymał się.

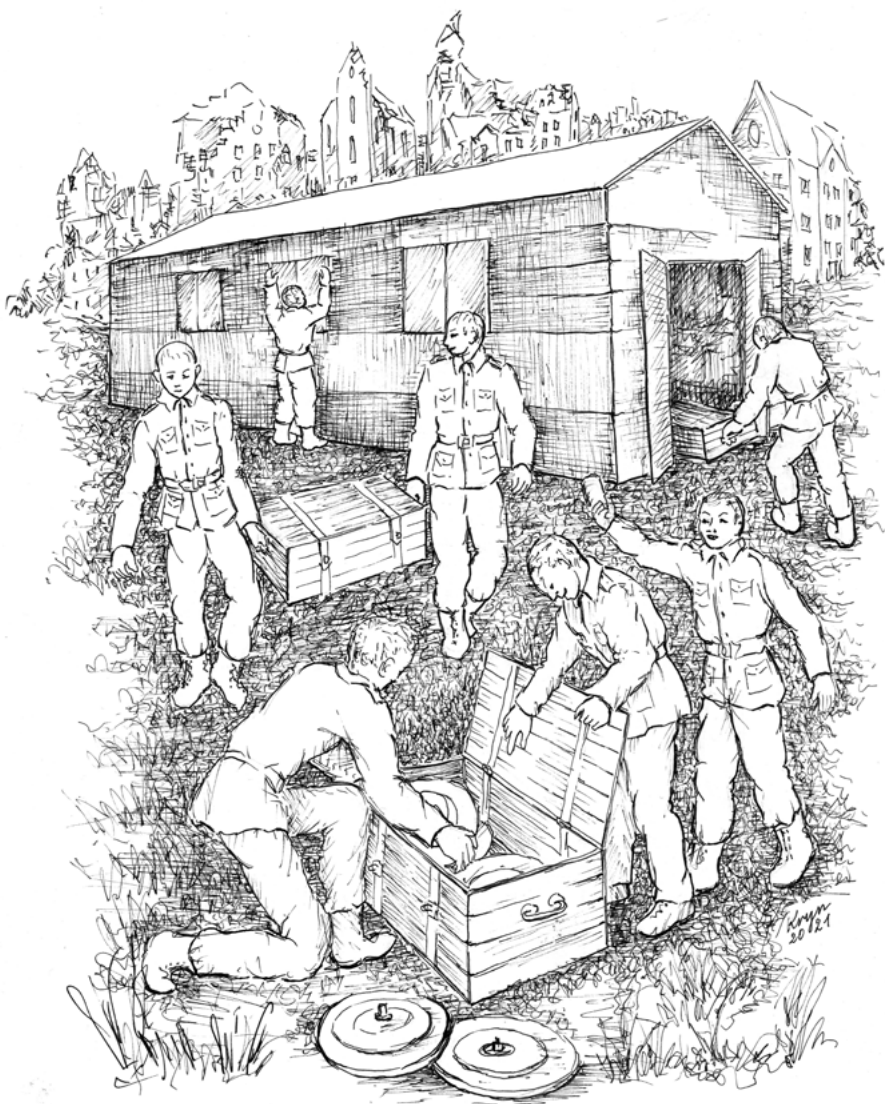
- Nu, rebiata! Piereryw w puti! My w Sznajdemiule! - usłyszeli od swych dowódców.

Z wagonów wysypała się gromada młodych chłopców z ogolonymi na zero głowami. Byli to rekruci, co to ledwo poczuli smak wojaczki. Jechali z Berlina na poligon w Gross Born. Transport zatrzymał się na stacji rozrządowej w Pile. Był czerwiec 1945 roku. Ciepło. Część więc pobiegła w kierunku położonego w pobliżu jeziora, by ochłodzić się i umyć po podróży. Większość ruszyła w kierunku zabudowań w poszukiwaniu zdobyczy. Najbliżej stał barak wypełniony skrzyniami. To one przykuły uwagę żądnych grabieży wojaków. Zabrali się więc do ich rozbijania.

Nagle okolicą wstrząsnęła potworna eksplozja. Wybuchły miny, które znajdowały się w skrzyniach. Pozostałość po niemieckiej obronie miasta. W powietrzu fruwały szczątki ludzkich ciał, opadając na ziemię nawet kilkaset metrów od miejsca wybuchu. Smród spalonego mięsa drażnił nozdrza.

W pilskim szpitalu pracował w tym czasie niemiecki lekarz wojskowy, Joseph Stukowski, który z racji swej profesji nie powędrował do obozu jenieckiego. Po latach wydał niewielką książeczkę pt. „Do końca w Pile” („Bis zuletzt in Schneidemühl”), w której tak wspomina to wydarzenie.

„W naszym szpitalu wyleciały drzwi z zawiasów, a szyby w oknach z zachodniej strony się rozsypały. Po jednej do dwóch godzin poczęły zajeżdzać pierwsze samochody z rannymi. Przybyło sześciu rosyjskich lekarzy wojskowych. Dostarczono 226 rannych, w większości z ciężkimi obrażeniami głowy. Ponad 36 godzin na trzech stołach operacyjnych pracowali lekarze, aby udzielić pierwszej pomocy. My pomagaliśmy także. Ciężko ranni zostali następnie sanitarkami przewiezieni do rosyjskiego szpitala wojskowego w Złotowie. Natomiast zmarłych pochowano na rosyjskim cmentarzu przy Logenstrasse”.





Wojna długo oszczędzała Piłę. Do stycznia roku 1945 miasto pozostawało praktycznie nietknięte. Ewakuowanym z innych miast Rzeszy mogło się wydawać oazą spokoju. Nawet nalot w dzień Zielonych Świątek 1944 roku nie zmienił tego stanu rzeczy. Był skierowany na obiekty przemysłowe i ... okazał się nieskuteczny. Bomby w większości chybiły.

To stało się zwiastunem nadchodzących dramatycznych wydarzeń. Piła była przeludniona, w połowie roku 1944 liczba mieszkańców, wliczając ewakuowaną z innych rejonów Rzeszy i robotników przymusowych, sięgała około 56 tysięcy.

W bezpośrednim zasięgu działań wojennych miasto znalazło się 26 stycznia 1945 roku. W południe rejon dworca głównego, zapełniony tłumem próbujących opuścić miasto, Rosjanie ostrzelali katiuszami. Od tej chwili każdego dnia od godziny 11 do 17 zasypywały one miasto. Przebywać można było tylko w piwnicach.

Taka była konsekwencja niemieckiej decyzji uczynienia z Piły twierdzy, która miała być broniona do ostatniego żołnierza. W jej rezultacie miasto wyszło z wojny potwornie zniszczone. Ocalały nieliczne budynki. Polska, powracając do Piły, przejmowała ruiny i zgłiszcza.



Każda wojna podczas swego trwania zbiera złowrogie żniwo. Jest to rzecz niejako wkalkulowana w jej ponury fenomen. Zgoła inaczej są odbierane tragiczne zdarzenia po ustaniu działań wojennych, które pociągały nierzadko liczne ofiary. Taka była wiosna 1945 roku w Pile - tragiczny czas dla ówczesnych mieszkańców miasta.

GINĘLI zarówno zwyciężeni, jak i zwycięzcy. Ci ostatni nawet częściej i liczniej. Rosjanie traktowali początkowo Piłę jak miasta niemieckie. Grabili ją więc i niszczyli bez skrępowań.

„W pierwszych tygodniach po wkroczeniu Rosjan - wspomina dr Stukowski - było Niemcom szczególnie ciężko. Zostali wyrzuceni ze swoich miejsc ukrycia i stracili przy tym resztkę tego, co jeszcze zdolali uratować. Wypędzonych z piwnic prowadzono płonącymi ulicami

śródmieścia do osiedli na skraju miasta. Jeszcze podczas ich wymarszu saperzy podkładali ogień w domach mieszkalnych, zwłaszcza w takich, które miały więcej niż dwa piętra. W piwnicach umieszczono kanistry z fosforem, a na klatkach schodowych miny talerzowe. Po tych przygotowaniach żołnierze detonowali ładunki. Skutkiem były gwałtowne eksplozje i silny ogień, co uniemożliwiało poruszanie się w okolicy wybuchu. Wille i jednopiętrowe domy zostały z powodu ich „małości” zachowane, ponieważ one nie należały do „kapitalistów”. Tak tłumaczyli swoje poczynania saperzy. Wszystkie maszyny z zakładów rzemieślniczych zostały przez Rosjan zabrane. Browar, Fea-Werke i Hansen-Werke doszczętnie zdemontowano”.



W maju w domach przy ulicy Śmiłowskiej został rozlokowany rosyjski batalion kolejowy. Do tej jednostki należało także wiele kobiet i dzieci. Rosjanie znaleźli w krochmalni spirytus. Rozpoczęła się wielka pijatyka. Gdy wystąpiły pierwsze oznaki zatrucia w postaci wymiotów i drgawek, wśród uczestników libacji zapanował strach. Śmierć obu oficerów była sygnałem alarmowym. Posłano konny wóz po doktora Stukowskiego, który przez tłumacza dowiedział się, że doszło tam do masowego zatrucia, spowodowanego prawdopodobnie alkoholem.

„Po przybyciu otoczyli nas mężczyźni, kobiety i dzieci, krzycząc i gestykułując - pisze lekarz w swych wspomnieniach. - Bez trudu można było dostrzec, że wielu z nich było pijanych. Dowódca batalionu i jego adiutant już nie żyli. Kazałem przynieść próbkę tego alkoholu. To był denaturowany spirytus (używany jako paliwo) o niebieskawym zabarwieniu. Na moje pytanie, kto go pił, zgłosiło się około 120 osób. Najpierw zajęliśmy się nieprzytomnymi, a dopiero później lżejszymi przypadkami, ale do zapadnięcia ciemności na zaimprovizowanym placu opatrunkowym, pod gołym niebem zdołaliśmy opatrzeć zaledwie około 60 nieszczęśników. Potem wybraliśmy 55 ciężko chorych i poleciliśmy dostarczyć ich do szpitala. Spośród nich w ciągu następnego dnia sześciu zmarło, a siedmiu całkowicie utraciło wzrok, wśród nich pewien kapitan. Ociemniali zostali później przewiezieni do rosyjskiego

szpitala w Bydgoszczy. To był wstrząsający widok, gdy ci młodzi żołnierze, wspomagani i prowadzeni przez naszych sanitariuszy, wsiadali do samochodów. Oszczędziła ich wojna, ale ich zdrowie zniszczyło pijaństwo - ten rosyjski nałóg”.



W marcu 1948 roku dr Stukowski, po zwolnieniu z łagru i przybyciu do amerykańskiej strefy okupacyjnej, był przesłuchiwany przez oficera wywiadu, który począł go wypytwać o to, jak wyglądało miasto, gdy je opuszczał.

- Piła pozostawała wciąż wyludniona - odpowiedział lekarz. - Zostało około 2 tysiące Niemców, którzy już nie posiadali żadnego dobytku. Przywędrowało około 8 tysięcy Polaków. W śródmieściu rzadko spotykało się człowieka. Z zapadnięciem ciemności mieszkańcy zaszywali się w swoich siedliskach. O odbudowie nie mówiło się jeszcze nic. Podczas mojego wyjazdu, na widok stosów gruzu i zgliszcz, zostałem zapytany przez rosyjskiego oficera politycznego:

- Co pan sądzi, jak długo będzie trwała odbudowa Piły?

- Jeżeli my, Niemcy, zatrzymamy Piłę, chyba jakieś 50 lat, jeżeli miasto będzie polskie, przynajmniej 100 lat.

Na te słowa odwrócił się do mnie polski woźnica i obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem. I słusznie, bo dr Stukowski bardzo pomylił się w swojej prognozie odbudowy Piły. Nie docenił siły woli, uporu i umiejętności tych, co miasto nad Gwdą przejęli, jak i tych, nielicznych wprawdzie, co tutaj żyli od dawna.

## Krwawy plon pewnego romansu



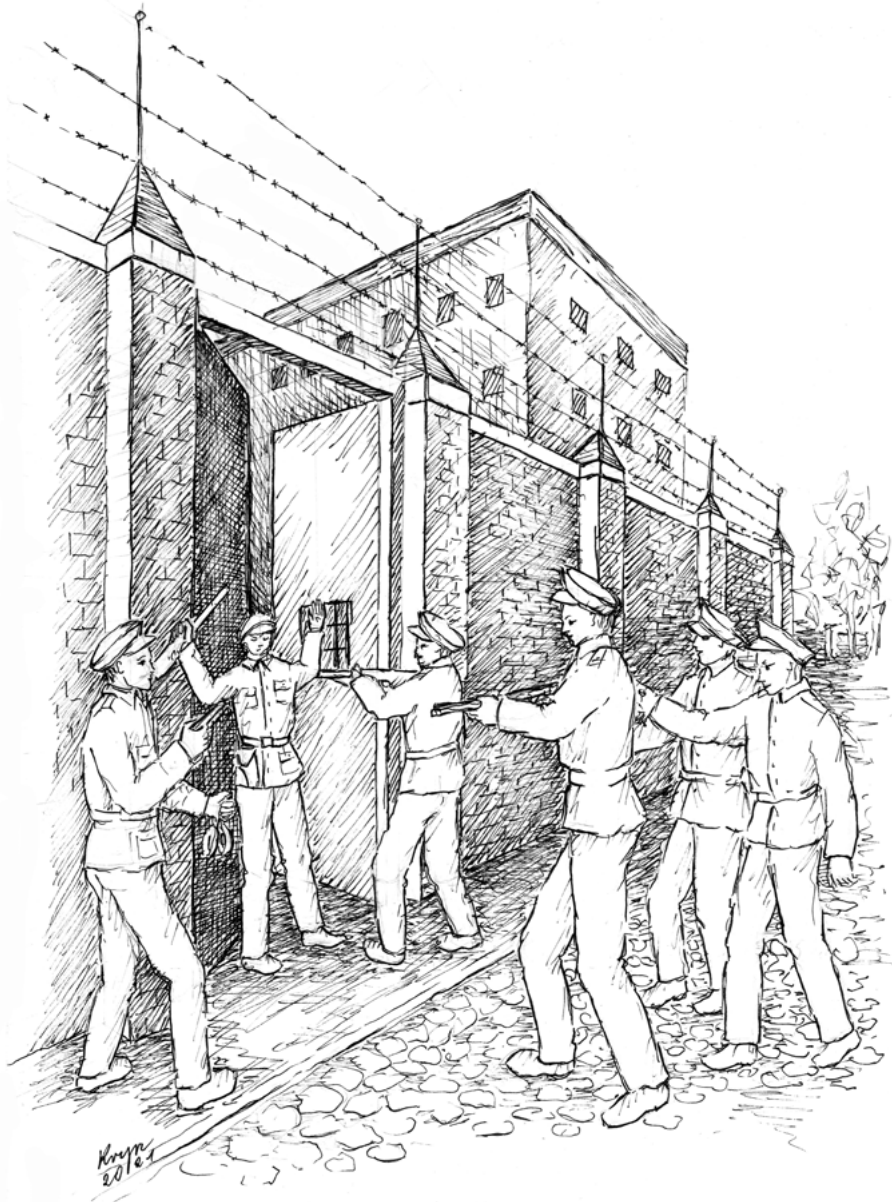
Wszystko zaczęło się z powodu pewnej pięknej kobiety o nie-modnym już dziś imieniu Janina. Jej brat znalazł się w wyrzyskim więzieniu za nielegalne posiadanie broni. Odsiadując tam wyrok sześciu lat pozbawienia wolności. W Janinie zakochał się milicjant Stanisław Bienias. Ojciec Janiny obiecał, że odda mu rękę córki, jeśli uwolni z więzienia jego syna. Zakochany milicjant postanowił spełnić to życzenie. Poprosił o pomoc kolegę, Mariana Myszkę, dezertera z MO, który był wówczas zastępcą dowódcy niewielkiego oddziału tzw. „żołnierzy wyklętych”. Tak powstał plan rozbicia więzienia w Wyrzysku - najbardziej spektakularnej akcji podziemia antykomunistycznego na Krajnie.

24 maja 1946 roku Marian Myszka nadał fonogram do MO w Wyrzysku o rzekomym napadzie w powiecie sępoleńskim. Dzięki temu fortelowi część funkcjonariuszy MO i UB opuściła Wyrzysk. Wówczas Jan Krywoszyn ps. „Czarny” podszedł do furty więzienia, zadzwonił, podając się za funkcjonariusza UB, konwojującego aresztanta. Nie został jednak wpuszczony, bo nie znał hasła. Mimo to nie zaprzestał dobijać się do bramy. Poirytowany strażnik wyszedł sprawdzić, co się dzieje. Wtedy pojмали go inni uczestnicy akcji, którzy po dostaniu się do środka obezwładnili drugiego strażnika. Następnie, podając się za żołnierzy AK, wezwali więźniów do opuszczenia cel. Zarekwirowali także broń znajdującą się w magazynie.

Efektom akcji było uwolnienie ponad czterdziestu więźniów, w tym osoby związane z założoną latem 1945 roku na terenie powiatu wyrzyskiego antykomunistyczną organizacją wojskową. Niektórzy z nich ukryli się bądź też zasilili antykomunistyczne grupy działające na Krajnie. Spora część wróciła jednak do więzienia już następnego dnia.

Rozbicie więzienia nie było jedynym celem „wyklętych”, chcieli także obrabować Miejską Komunalną Kasę Oszczędnościową. Plan nie powiódł się za sprawą Jana Grzesiaka – członka ORMO, który obronił budynek, choć w trakcie wymiany ognia został śmiertelnie ranny.





W tym czasie powrócili do Wyrzyska funkcjonariusze MO i UB. To ostatecznie zmusiło Juliana Bauca, dowódcę oddziału, i jego ludzi do odwrotu.

W dwa dni później Marian Myszka wraz z Janem Krywoszymem zaatakowali milicjantów w Kosztowie, zabierając jednemu z nich broń. Po kilku godzinach zostali otoczeni przez milicję i UB w zabudowaniach należących do krewnego Krywoszyna w Niezychowie. W trakcie strzelaniny zginął jeden z funkcjonariuszy, a drugi został ranny. Obaj „wyklęci” wyskoczyli w bieliznie przez okno i umknęli obławie.

Julian Bauc nie cieszył się jednak długo sukcesem w Wyrzysku. 2 lipca 1946 roku, około 3 nad ranem, pluton operacyjny milicji i UB z Wyrzyska otoczył w Kościerzynie Wielkim (Polinowo) gospodarstwo, którego właścicielką była siostra Mariana Myszkki – Stefania. Bauc podjął próbę przebicia się przez obławę, zdołał przebiec zaledwie kilka metrów, po czym trafiony serią z automatu, zginął na miejscu. Podczas przeszukiwania gospodarstwa w stodole natrafiono na ukrytych w sianie Stanisława Nowakowskiego oraz Jana Krywoszyna. Ten ostatni nie pozwolił się aresztować, strzelając sobie w klatkę piersiową. W trakcie tej akcji funkcjonariusze znaleźli również bunkier grupy Bauc/Myszkki, w którym znajdowała się broń, pieniądze i inne rzeczy.

Śmierć Bauca nie spowodowała zaprzestania działalności całej grupy. Na jej czele stanął Marian Myszka, który wykazał się dużym talentem dowódczym, wymykając się kolejnym obławom organizowanym przez „bezpiekę” na terenach powiatów złotowskiego i wyrzyskiego. Aktywność Myszkki sprawiła, że w obu powiatach niemal każde niewykryte przestępstwo przypisywano jego grupie. Działo się tak nawet po opuszczeniu przez niego Krajny. Wykreowało to także jego legendę - czołowego „żołnierza wyklętego” tego regionu.



Marian Myszka urodził się na Kujawach w rodzinie chłopskiej, ale dzieciństwo spędził w Liszkowie koło Łobzenicy. Po wyzwoleniu, w kwietniu 1945 roku zaciągnął do milicji w Złotowie. W październiku 1945 roku z nieznanych powodów zdezercerował i wstąpił w szeregi

grupy, której dowódcą był Julian Bauc ps. „Huragan”. Z zachowanej do dziś dokumentacji UB wynika, że była to „formacja terrorystyczno-rabunkowa” o zabarwieniu AK lub NSZ. Jej siedzibą był Kościerzyn Wielki (Polinowo) w gminie Wyrzysk. Tam Julian Bauc pracował jako szewc, korzystając z gościny siostry Myszki – Stefanii. Czasowo mieszkali tam także inni członkowie grupy. Z reguły jednak ukrywali się w pobliżu, gdzie mieli specjalnie przygotowany bunkier. Byli dobrze uzbrojeni. Posiadali karabin maszynowy, 4 automaty, 5 pistoletów, 10 karabinów. Dowodzili nimi ludzie, którzy samowważczo używali stopni wojskowych kapitana i porucznika.

Po śmierci kpt. Bauca dowództwo nad 12-osobowym oddziałem przejął por. Marian Myszk ps. „Łoś”. Pod jego dowództwem grupa działała jeszcze przez blisko dwa miesiące, skupiając się na rozbrajaniu milicjantów, biciu członków PPR oraz rekwizycji majątku państwowego i osób prywatnych.

Na przełomie sierpnia i września 1946 roku, widząc wzmożoną aktywność „bezpieki”, Marian Myszk rozpuścił oddział, zastrzegając jednocześnie, że - jak się sytuacja uspokoi - to wszyscy skontaktują się poprzez jego siostrę, Stefanię. Większość z członków grupy wpadła w ręce UB i otrzymała wysokie wyroki, w tym kilka wyroków śmierci. On sam pozostał nieuchwytny. Zmienił nazwisko na Wiktor Kowalski, ożenił się, wstąpił do PZPR i został komendantem straży pożarnej w kopalni Turów. Zginął w wypadku drogowym w 1952 roku, gdy jechał na akcję gaśniczą.



W rozbiciu aresztu wyrzyskiego w dniu 24 maja 1946 roku brał także udział Leon Meller, dezerterski z 1 Armii Wojska Polskiego, który w czerwcu 1946 roku stanął na czele najliczniejszej, antykomunistycznej formacji na Krajnie – oddziału „Jędrusia”. Grupa istniała stosunkowo krótko, a koniec jej był tragiczny. Niemal wszyscy jej członkowie trafili do więzień. Połowę z nich skazano na karę śmierci, dziewięć wyroków wykonano.

Członkowie oddziału składali przysięgę na wierność rządowi londyńskiemu i podporządkowani byli organizacji Wolność i Niezawisłość

(WiN). Wykonywali wyroki śmierci na aktywistach PPR, funkcjonariuszach UB i MO oraz żołnierzach sowieckich. Rekwirowali na potrzeby walki pieniądze, rowery, inwentarz, żywność, alkohol, papierosy i odzież - co stanowiło ich źródło utrzymania.

Działali niecałe dwa miesiące, a główną ich kwaterą było opuszczone gospodarstwo w Biegodzinie (k. Sypniewa) w ówczesnym powiecie wyrzyskim. Między innymi 21 czerwca 1946 r. w Dębnie zastrzelili Franciszka Kantarskiego, sołtysa wsi Izdebki, który był informatorem UB. 13 lipca 1946 roku rozstrzelali w Biegodzinie dwóch żołnierzy Armii Czerwonej. Tego samego dnia w Wąsoszu koło Krajenki zlikwidowali członka PPR, Władysława Ciesielskiego. Członkowie oddziału podejmowali również działania polityczne. Polegały one głównie na wspieraniu Polskiego Stronnictwa Ludowego oraz wywieraniu nacisku na działaczy PPR (np. poprzez wymierzenie chłosty).



Akcja na wyrzyskie więzienie stanowiła policzek dla ówczesnych władz. Dlatego z całą bezwzględnością postanowiono zwalczyć istniejące na Krajnie podziemie. Zadanie to powierzono Henrykowi Wątrobie – jednemu z najbardziej doświadczonych funkcjonariuszy UB w Bydgoszczy, byłemu partyzantowi GL ps. „Kozak”. To on doprowadził najpierw do kłęski oddziału Bauca, a potem „Jędrusia”.

Do starcia z ludźmi „Jędrusia” doszło 21 lipca 1946 roku we wsi Topola w gospodarstwie Edmunda Muracha. Miejsce to wskazał aresztowany łącznik, który pojawił się na zdekonspirowanej melinie. Walka trwała około czterech godzin.

„Bandy ci wzmogli ogień. A więc nie poddają się. Dałem znać naszym ludziom, by rzucili granaty. Rozległ się jeden huk, potem drugi... Nasi podczołgali się jeszcze pod okno, z którego bandyci walili ciągłymi seriami z erkaemu. Po chwili znów usłyszeliśmy huk, a z otwartego okna buchnęły tumany kurzu i dymu. Bandy ci przerwali ogień. Uchyliły się drzwi; jakby wahając się, stanął na progu bandyta z rękami podniesionymi do góry. Później już wychodzili kolejno” - wspomina Henryk Wątroba.

Wśród zatrzymanych nie było Leona Mellerera, „Jędrusia”, choć w czasie walki znajdował się razem ze swoimi podwładnymi. Schował się w specjalnie w tym celu przygotowanej skrytce. Wejście do niej zakrył gospodarz Edmund Murach, zasłaniając je dywanem i stawiając stół. To wszystko przywalone zostało dodatkowo gruzem, który powstał po wybuchu granatów.

Leonowi Mellerowi udało się przeżyć i wydostać z oblawy. Prawdopodobnie zamierzał dotrzeć do Bydgoszczy. Celu jednak nie osiągnął. 28 lipca 1946 roku znaleziono go powieszzonego koło stawów rybnych w Ślesinie koło Nakła nad Notecią. Okoliczności jego śmierci pozostają nieznane.

## Spis treści

Od autora .....	5
Upadek księstwa Dzierżykraja .....	7
Plwacz księciem na Ujściu .....	12
Kłęska czarnych krzyży .....	17
Żałosny koniec prywatnej wojny ambitnego kasztelana .....	22
Złoty wiek Łobzenicy .....	26
Pod patronatem królowej .....	31
Ojciec Mu Niko .....	36
Szwedzka zawierucha w Pile .....	41
Łańcuch śmierci .....	46
Czarownice z Młotkowa .....	51
Czasy bezhołwia i anarchii .....	56
Błyskotliwa kariera krwawego Johanna .....	61
Swawolna kupa imć Żbikowskiego .....	66
Bitwa o most .....	70
Manufaktura Angielczyka w Pile .....	75
Po przeciwnych stronach barykady .....	80
Heretyk z Piły .....	85
Wyspa polskości .....	90
Studnia nieszczęścia .....	95
Śmierć księdza z Miasteczka Krajeńskiego .....	100
Chłop historyczny .....	104
Podstępny porucznik Bartsch .....	109
Powstańcze boje o Wysoką .....	113
Wigilia pod nadzorem gestapo .....	118
Operacja Tannenberg .....	123
Kompania wyrzyska .....	128
Płonące strażnice .....	133
Bestia z Łobzenicy .....	138
Morzewska zbrodnia .....	144

Napad na pociąg w Kalinie .....	149
List z Bad Lausick .....	154
Generał „Wallenrod” i jego żołnierze .....	159
Ratuj się, kto może .....	164
Ostatni lot Olega Matwiejewa .....	169
Na gruzach miasta .....	174
Tragedia rodziny Wittigów .....	179
Tajemnice desantu na Piłę .....	184
Męczeństwo siostry Ksawerii .....	190
Tragiczna wiosna .....	195
Krwawy plon pewnego romansu .....	200



Ciesz się  
najlepszymi projektami...  
*kombinacją Twoich potrzeb  
z naszym profesjonalizmem*



LOGO

ULOTKI

PLAKATY

BANERY

GADŻETY

GAZETY

FOLDERY

KSIĄŻKI

STRONY WWW

IDENTYFIKACJA MARKI

TABLICE REKLAMOWE

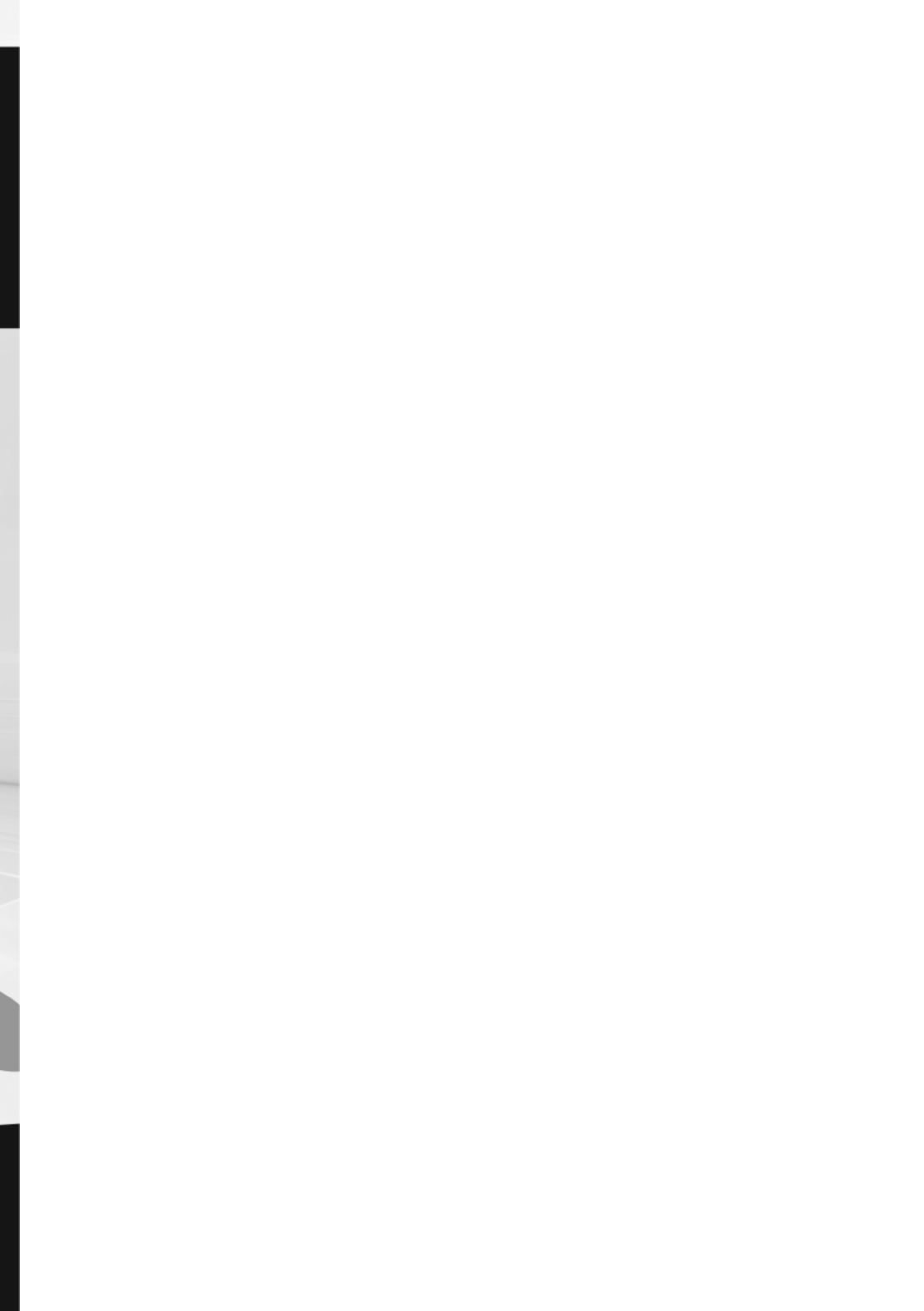
REKLAMA PRASOWA

KAMPANIE WYBORCZE

art wena

tel. +48 501 186 165  
e-mail: [grafika@art-wena.pl](mailto:grafika@art-wena.pl)  
[www.art-wena.pl](http://www.art-wena.pl)

**ART-WENA**  
STUDIO PROJEKTU GRAFICZNEGO  
UL. HUTNICZA 24, 64-920 PIŁA





Zbigniew Noska, od pokoleń Wielkopolanin, dzieciństwo oraz młodość spędził w Wągrowcu. Był absolwentem tamtejszego Liceum Ogólnokształcącego im. Powstańców Wielkopolskich. Ukończył polonistykę na UAM oraz organizację i zarządzanie na Uniwersytecie Warszawskim.

Pracował jako nauczyciel języka polskiego w LO w Wągrowcu, potem był wizytatorem metodykiem w inspektoracie oświaty. W 1975 roku w związku z powstaniem województwa przeniósł się do Piły, by najpierw pełnić funkcję rzecznika prasowego KW PZPR, a potem redaktora naczelnego „Tygodnika Piłskiego”. Po 1989 roku krótko był dyrektorem biura senatora Henryka Stoklosy, następnie redaktorem naczelnym „Tygodnika Nowego” oraz przez kilka lat „Radia 100”, a także prezesem spółki wydającej te media. Specjalizował się w publicystyce politycznej, jako autor ukazującego się od 1991 roku do dziś cyklu felietonów pt. „Obserwatorium” oraz serii wywiadów pt. „W cztery oczy”. Od zawsze jego pasją była historia i regionalistyka. Opublikował cykl artykułów na temat dziejów piłskich parafii pt. „Państwo Boga”, kultury ludowej Nadnotecia pt. „Legendsy Krajin”, „Przy kominku” oraz „Opowieści z przeszłości” - zbeletryzowane epizody z historii Piły i okolic.

W latach 2021/2022 Studio Projektu Graficznego ART-WENA wydało dwie jego książki: „Zaklęta w kamień. Podania, legendy i baśnie z powiatu piłskiego” oraz „Studnia nieszczęścia. Okruchy historii Piły i okolic”. Obecnie jest na emeryturze, ale nadal ściśle współpracuje z redakcją „Tygodnika Nowego”.



**powiat piłski**

Sfinansowano ze środków Powiatu Piłskiego

ISBN 978-83-938823-9-7



9 788393 882397